

Przes wzięty przez Marię Kozłminską



córka
Zofia Kozłminska

26-110 Skarżysko-Kamienna

Lipno
AK WSK

++ Szulc Zofia
z d. Łysakiewicz

MK: 798/1998¹ Pom.

SPIS ZAWARTOŚCI
TECZKI

Sauke Zofia
J: K-798/1998 Pom.
Lipno AK WSK

I./1. Relacja *k. 6 s. 1-7*

I./2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące relatora *k. 4 s. 1-4*

I./3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące relatora —

II. Materiały uzupełniające relację —

III./1. Materiały dotyczące rodziny relatora *k. 77 s. 1-131*

III./2. Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III./3. Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III./4. Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 —

III./5. Inne ... *skice k. 9 s. 1-10*

IV. Korespondencja

1) M. Kozimińskiej z Fundacji k. 30 s. 1-47

2) M. Kozimińskiej z M. Sobowińską

i B. Ziótkowskim k. 3 s. 1-6

V. Nazwiskowe karty informacyjne *k. 4*

VI. Fotografie *dział i kromografii*

1/1. Delaja: - Szulc Zofia z d. Lyskiewicz

1. Delaja Marii Kozminskiej o
działalności konspiracyjnej matki -
- Zofii Szulc z d. Lyskiewicz, napis
onyg. k. 6. s. 1-7



3/11/11 (1)

Relacja o mierzjącej uczeniowiec Kucm Dron

SZULC Zofia z domu Łysakiewicz,
ur. 17. listopada 1901 r. w Magnuszewie,
córka Stefana i Marii z domu Święteckiej.
Ukończyła Gimnazjum we Włocławku, na-
leżała do Harcerstwa. Studiowała w War-
szawie w Szkole Malarskiej na Wierabo-
nej, a także archeologię, którego interesowa-
ła się od dzieciństwa.

W 1928 r. wyszła za mąż za kolegę
z „Rodzinki Harcerskiej” z Włocławka,
Kazimierza Szulca, który w 1929 r. otrzy-
mał dyplom lekarza wraz z nominacją
na podporucznika. Kazimierz Szulc szedł
do demobilizacji w listopadzie 1946 r.
był w służbie czynnej. Mieszkał kolej-
no: w Warszawie, Sanoku, Staszowie, Ro-
kitnie Wołyńskim i Turowie w Warszawie
(od sierpnia 1939 r.) Prezydent kampanii
1939 r., Rumunii, Wallii we Francji 1940 r.
internowanie w Szwajcarii i od stycznia
1945 r. do listopada 1946 r. pracował w Spi-
talu wojskowym w Szkocji.

Zofia Szulc jako żona oficera udziela-
ła się w pracach „Rodziny Wojskowej” a
w Rokicie chodziła ćwiczyć na strzelni-
cy (miała własny pistolet, którego nie

oddane w 1939 r. mimo zangdu (nieumiech) Po zajciu Warszawy przez Niemców zostata zwerbowana do ruchu oporu. Ta wiadomosc pochodzi od jej brata Jana Lysakiewicza, który caly wojny mieszkal w mieszkaniu Szulców na ul. Batuckiego 20 w Warszawie, nalezial do A.K. uczestniczyl w Powstaniu Warszawskim i byl po wojnie wielokrotnie guzbiony przez V.B.

Lofia Szulc przyjechala do Czerwikowa w Styrii 1940 r. Ze wzgledu na cigla kę choroby sarcofy byla zwolniona przez niemieckiego lekarza z pracy przy kum-sarwej i pracowala do 1943 r. w gospodarstwie domowym i ogrodzie Swyde rodziców. Byla namawiana do podpisania listy „Angedensch“ (?) - kulturalnie odwołania. W latach jędzienoty przywala sig córce do przywala nosi do ruchu oporu, nic wżcej na ten temat nie mówięc, poza tym, ze po wojnie nie rjantala sig.

Rodzina Szulców przeprowadzila sig z Czerwikowa do Skarżyska-Kamiennej w 1948 r. Lofia Szulc zmarla 1. wrzesnia 1971 r. w Skarżysku-Kamiennej i jest pochowana na cmentarzu

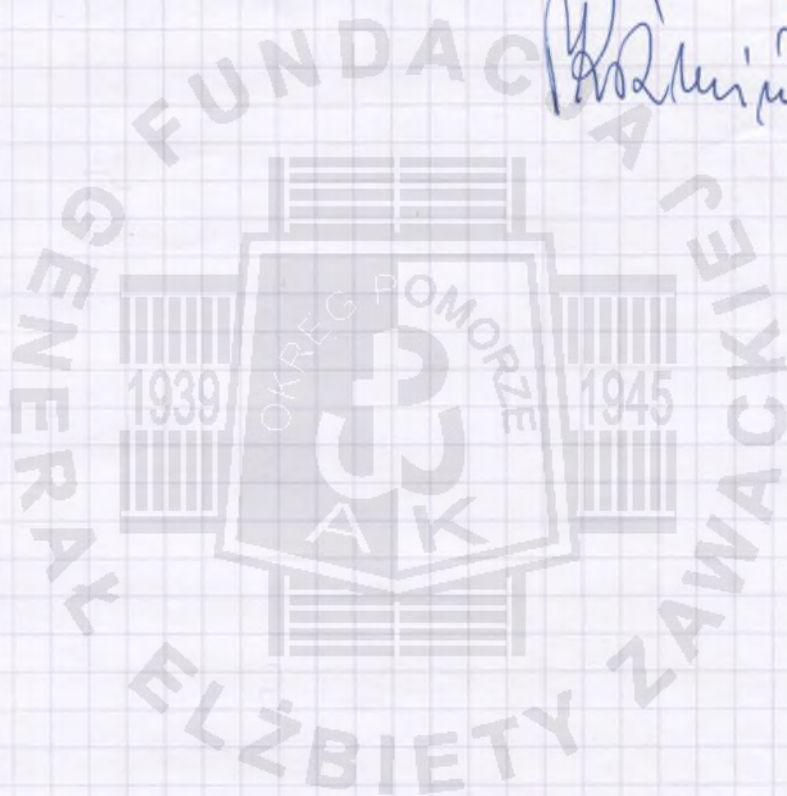


Parafia Św. Józefa.

I/1/3 (3)

Relewig sporządza córka Lefii Szulc
Maria Koźmińska z d. Szulc
zam. w Skarżysku - Kamiennym
ul. Krasieńskiego 31 ~ 16

W. Koźmińska



Co mien na pewno

1/1/8

W latach pięćdziesiątych zapytałam kiedyś moją Mamę, czy w czasie okupacji układała z Babcią do organizacji podziemnej. Bardzo się tym pytaniem zainteresowała i zapytała: „Słuch o tym mien?”

Wyjaśnienie było proste. Je - rocznik 1932, i mój brat o rok młodszy, wiedzieliśmy, że Ojciec jest internowany w Szwajcarii (kapitan lekarski) Pisyński do nas jako kobieta „ciocia Katarzyna Bogrowska (kuzynka przyjaciółki jego Matki — myślała, że Niemcy nie dali się obrazić na ten kamouflage) Na wszelkie pytania Niemców o Ojca, my, dzieci, odpowiadaliśmy: „nie wie mien”. Takie pytanie padało czasem na podwórku z listą Ingi, córki SS-mana Kuffa. Mama zamieszkała u nas tę tajemnicę.

Wszystkie wiadomości polityczne, pochodzące z nielegalnych źródeł (radio, gazetki) były omawiane przy dzieciach. Lecieliśmy u nas. Był tylko jeden wyjątek. Kiedy przychodziła Pani Aleksandra Koleszyńska (córka mamej cioci, który przeżył w obozie koncentracyjnym) lub przyjeżdżał „penion pan”, to wtedy wyprassano nas na podwórku. Wzneliśmy więc wtedy zgodnie z Bratem do wniosków, że to musi być „coś bardzo tajnego”. 7

Tak opowiedziałam Mamie, na co Ous: ^{1/1/5}
"tak, należałoby, ale się nie przyznaję,
my po wojnie, i nie lubiłam zmian te-
go zrobić, bo im nie wierzę". Mama ma-
je bardzo bolesnie przeżywała wszystkie
sfingowane procesy wielkich postaci z
A.K., nigdy nie wierzyła ani w dobrovol-
ne "przyznawanie się do win", ani we wiel-
kiego odszajni swoje dowody.

W listopadzie 1946 r. Ojciec wrócił z re-
gencji, dwa lata mieszkał w jenie-
w Czerwikowie. I znowu w 1948 r. wyjecha-
ł do Sierpysko-Kamieniej, pojawił
się ów "tajemniczy pan" i namówił Ma-
mę na wypróbowanie się na "Siemie Od-
rzańskie". Więcej już go nie widziałam.

Będąc w kwietniu 1993 r. w Czerwikowie
odwiedziłam Panią Aleksandrę Kotacyń-
ską () i zapytałam o to, czy
należałoby nam z moją Babcią i Mamą do
organizacji podziemnej. Na to mi odpo-
wiedziała: naturalnie, tylko już nie
pamiętam jakie były pseudonimy, pa-
mętam tylko swój - Konrad. Pani Aleksa-
dra zmarła 3. października 1993 r. i jest
pochowana w Czerwikowie. W Czerwi-
kowie takie wienko tej jedynej córki,
która mówiła mi, że tej Matki nie

11/6

dziatka wzmiankowi ma te tematy. Natomiast utodany brat mojej Mamy, Jan
 Lysalnicia, który przesławił moją Mamę o 28 lat,
 a u którego bywałam częściej w latach
 90., mówił mi parokrotnie, że moja Mama
 dlatego po przyjeździe nas, dzieci z War-
 szawy do Czerwikowa w listopadzie 1939 r.
 wróciła jęncie na parę miesięcy do W-wy,
 powiadając od początku okupacji została zwer-
 bowana do organizacji podziemnej. Tutaj-
 czy to Syn. że dom, w którym mieszkali-
 my był własnością jakiegoś wysokiego van-
 gerskiego oficera, mianemto w nim wielu wojsko-
 wych (na pewno: rodziny Kasprzykowskich
 i maso-Sukcowa) i dlatego żony ofice-
 rów zostały b. przeludnione "adulescencie".

Wyjeżdżając był świadkiem tego, powiadając
 w pierwszym dniu wojny przyjechał z Cze-
 wikowa do W-wy i pozostał w miejscu
 mieszkaniowym do Powstania Warszawskiego.
 Należał do A.K., był po wojnie funkcjo-
 nariuszem V.B.

Mama nie oddała w W-wie na ser-
 wanie Niemców swego pistoletu, z którego
 strzelała (b. dobrze!) na strażnicę w
 Rokietnie (wój. wotyżnicie) do 1939 r.

Maria Koźmińska
 Krasińskiego 31m 16
 26-110 Skarżysko - Kamienna

INTER Druk
 Warszawa

Aleksandra Kotacyńska 7/1/7

Głuchym

zm, 3. X 1993 - Czerwikow.

Konwalia v

pan?

córka Marie Buiakowska.

Wanda Mordasiewicz - Donska

- Tereza: nauycielka, harcerka
kurier AK!

Obroso -

Wacław Donski

córka Gabeł Hanna
Chmielna 8
Zielona Góra

Sobociń

Marie Lysaliewicz
Lofia Sulc (Lys)

B -
M -

1/2. Dokumenty - Skule Lofia z d. Lysakiewicz:

1. Skrócony odpis aktu urodzenia wydany przez USC w Magurszynie 9.04.1998, kserokop. oryg. k. 1 s. 1
2. Odpis skrócony aktu metryki wydany USC w Warszawie, 6.02.1998, kserokop. oryg. k. 1 s. 2
3. Odpis skrócony aktu zgonu Stefana Lysakiewicza, wydany w Czermichowie (USC) 21.02.1997, kserokop. oryg. k. 1 s. 3
4. Odpis skrócony aktu zgonu Lysakiewicza Lofii Marii, wydany USC w Skarżysko - Kamiennym 6.04.1998, kserokop. oryg. k. 1 s. 4



RZECZPOSPOLITA POLSKA

312/1

Województwo mazowieckie

Urząd Stanu Cywilnego w Maomuszenie

ODPIS SKRÓCONY AKTU URODZENIA

1. Nazwisko Lysakiewicz

2. Imię (imiona) Żoia Maria

3. Data urodzenia 17 listopada 1901 roku

4. Miejsce urodzenia Maomuszenie

5. Imię (imiona) i nazwisko rodowe (ojca) Stefan Lysakiewicz

6. Imię (imiona) i nazwisko rodowe (matki) Maria Swiatecka

Poświadczam zgodność powyższego odpisu z treścią aktu urodzenia Nr 126/1903

Maomuszenie, data 1999.04.09

miejsce na opłatę skarbową



m.p.

KIEROWNIK
Urząd Stanu Cywilnego
[Signature]
Irena Kuznecowa

1/12/2



RZECZPOSPOLITA POLSKA

URZĄD STANU CYWILNEGO w M. ST. WARSZAWIE

Województwo ODDZIAŁ ŚRÓDMIEŚCIE

Odpis skrócony aktu małżeństwa

I. DANE DOTYCZĄCE OSÓB ZAWIERAJĄCYCH MAŁŻEŃSTWO:

	Mężczyzna	Kobieta
1. Nazwisko	SZULC	ŁYSAKIEWICZ
2. Imię (imiona)	KAZIMIERZ JÓZEF	ZOFIA MARIA
3. Nazwisko rodowe	SZULC	ŁYSAKIEWICZ
4. Data urodzenia	lat 24	lat 27
5. Miejsce urodzenia	W PARAFII CHOCEŃ	W PARAFII MAGNUSZEW

II. DANE DOTYCZĄCE DATY I MIEJSCA ZAWARCIA MAŁŻEŃSTWA:

1. Data dwudziestego ósmego listopada tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego---
(28.11.1928) roku 2. Miejsce WARSZAWA

III. NAZWISKO NOSZONE PO ZAWARCIU MAŁŻEŃSTWA:

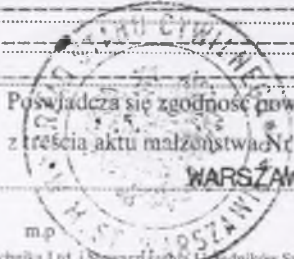
1. Mężczyzny SZULC
2. Kobiety SZULC
3. Dzieci SZULC

IV. DANE DOTYCZĄCE RODZICÓW:

A. Ojciec		
1. Imię (imiona)	SEWERYN	STEFAN
2. Nazwisko rodowe		
B. Matka		
1. Imię (imiona)	STANISŁAWA	MARIA
2. Nazwisko rodowe	BACZKOWSKA	ŚWIATECKA

V. ADNOTACJE O USTANIU LUB UNIEWAŻNIENIU MAŁŻEŃSTWA:

Miejsce na opłatę skarbową
10



Poswiadcza się zgodność powyższego odpisu z treścią aktu małżeństwa Nr I/3/147/28 WARSZAWA, data 1998.02.06

KIEROWNIK

Druk: KOMPAP S.A. na zlecenie Technika Ltd. i Spółdzielni Urzędników Stanzu Cywilnego Urzędu Stanu Cywilnego

1/2/3



RZECZPOSPOLITA POLSKA

URZĄD STANU CYWILNEGO w Czernikowie
Województwo wrocławskie

Odpis skrócony aktu zgonu

I. DANE DOTYCZĄCE OSOBY ZMARŁEJ:

- 1. Nazwisko Łysakiewicz - - - -
- 2. Imię (imiona) Stefan - - - -
- 3. Nazwisko rodowe Łysakiewicz - - - -
- 4. Stan cywilny żonaty - - - -
- 5. Data urodzenia 29 maja 1871 r - - - -
- 6. Miejsce urodzenia Lublin - - - -
- 7. Ostatnie miejsce zamieszkania Czernikowo - - - -

II. DANE DOTYCZĄCE DATY I MIEJSCA ZGONU:

- 1. Data zgonu 13 września 1950r - - - -
- 2. Miejsce Czernikowo - - - -

III. DANE DOTYCZĄCE MAŁŻONKA OSOBY ZMARŁEJ:

- 1. Nazwisko Łysakiewicz - - - -
- 2. Imię (imiona) Maria - - - -
- 3. Nazwisko rodowe Świątecka - - - -

IV. DANE DOTYCZĄCE RODZICÓW OSOBY ZMARŁEJ:

	Ojciec	Matka
1. Imię (imiona)	<u>Władysław</u>	<u>Fanna</u> - - -
2. Nazwisko rodowe	<u>Łysakiewicz</u>	<u>Perret</u> - - -

Miejsce na opłatę skorbowa

Pu-M-15



Poświadczam, się zgodność powyższego odpisu z treścią w księdze zgonów Nr 37/1950 Czernikowo, data 1997-02-21

KIEROWNIK
Urzędu Stanu Cywilnego

[Signature]



RZECZPOSPOLITA POLSKA

URZĄD STANU CYWILNEGO w SKARZYSKO-KAMIENNA

Województwo SWIĘTOKRZYSKIE

1/20/4

Odpis skrócony aktu zgonu

I. DANE DOTYCZĄCE OSOBY ZMARŁEJ:

- 1. NazwiskoSZULC.....
- 2. Imię (imiona)ZOFIA MARIA.....
- 3. Nazwisko rodoweŁYSAKIEWICZ.....
- 4. Stan cywilnyZAMEZNA.....
- 5. Data urodzenia17 listopada 1901 r.....
- 6. Miejsce urodzeniaMAGNUSZEW.....
- 7. Ostatnie miejsce zamieszkaniaSKARZYSKO-KAMIENNA ul. STAFFA 28 m.3.....

II. DANE DOTYCZĄCE DATY I MIEJSCA ZGONU:

- 1. Datapierwszego września tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego (01.09.1971 r.).....
- 2. MiejsceSKARZYSKO-KAMIENNA.....

III. DANE DOTYCZĄCE MAŁŻONKA OSOBY ZMARŁEJ:

- 1. NazwiskoSZULC.....
- 2. Imię (imiona)KAZIMIERZ JOZEF.....
- 3. Nazwisko rodoweSZULC.....

IV. DANE DOTYCZĄCE RODZICÓW OSOBY ZMARŁEJ:

	Ojciec	Matka
1. Imię (imiona)	STEFAN	MARIA
2. Nazwisko rodowe	ŁYSAKIEWICZ	SWIATECKA

Poświadczam zgodność powyższego odpisu z treścią aktu zgonu Nr 263/1971

SKARZYSKO-KAMIENNA data 06 kwietnia 1999 r.

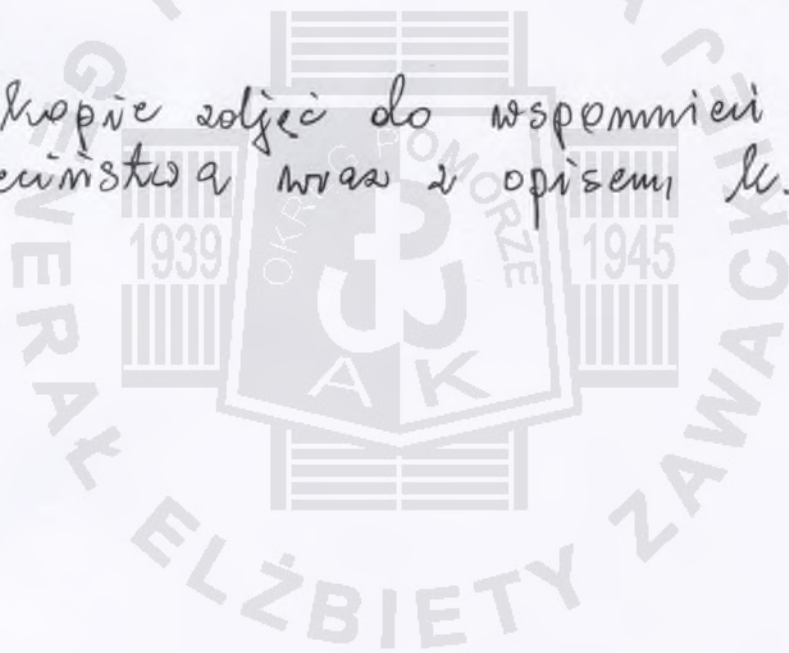
KIEROWNIK
Urzędu Stanu Cywilnego
KIEROWNIK
Urzędu Stanu Cywilnego

mgr Elżbieta Duda



III/1. Materiały dotyczące rodziny
Zofii Szulc z d. Łysakiewicz autorstwa
Marii Kozimińskiej z d. Szulc (córki)

1. Maszynopis z listem przewodnim k. 30 s. 1-40
- rodziny aptekarzy - z 30.01.2012
2. Wspomnienia z dzieciństwa
Marii Kozimińskiej z d. Szulc,
mpis k. 24 s. 41-87
3. Kserokopie zdjęć do wspomnień
z dzieciństwa wraz z opisem k. 23 s. 88-131



Jak do tego doszło?

Piszę wspomnienia o tych z rodziny, którzy już odeszli. Opieram się na nielicznych dokumentach, zdjęciach, przekazach bliskich z rodziny i własnej pamięci. Mój Dziadek, Stefan Łysakiewicz, był aptekarzem. Gdy wykorzystywałam do pisania wspomnień o Nim wszystkie dokumenty, pomyślałam, że nie powinny one pozostawać w moich rękach. Nawiązałam kontakt z Muzeum Farmacji w Warszawie – telefoniczny, listowny. Potem przyszła kolej na wizytę w siedzibie Muzeum Farmacji i przekazanie dokumentów. Oprócz nich przywiozłam ze sobą trochę dowodów mego zbieractwa i tego, co piszę. Przy okazji wyszło też na jaw, że w rodzinie było więcej farmaceutów. Padła propozycja, by ująć ich w jednej opowieści. Zwróciłam się do dwóch moich siostr „po Pradziadkach”, które również są wnuczkami aptekarzy, z prośbą o podanie mi podstawowych danych o życiu ich Dziadków. Anna Gromadowska, wnuczka Bolesława Jagielskiego, napisała – po prostu całą opowieść. Stąd w „Aptekarzach” występują dwaj „Dziadkowie” – mój, Stefan Łysakiewicz i Anuli – Bolesław Jagielski. Okazało się, że w tej rodzinie, dzięki Matce Anuli, istniała tradycja przekazywania historii rodziny – stąd, mimo braku dokumentów, powstała barwna opowieść o ciekawym i wspaniałym Człowieku. Halina Jasińska, wnuczka Antoniego Jana Świąteckiego, który zmarł kilkanaście lat przed Jej narodzeniem, nie mogła niczego pamiętać, nie miała też przekazów rodzinnych, a Jej sugestia, że dokumenty Dziadka zostały przez Jej Matkę oddane do Muzeum Farmacji w Warszawie, nie potwierdziła się. Wiedziała jednak, że Jej Dziadek pod koniec życia przeniósł się z Magnuszewa do Ostrowca Świętokrzyskiego i tam zmarł. Podała mi także podstawowe dane najbliższych Antoniego Jana Świąteckiego – żony i dzieci – imiona, daty urodzenia i śmierci. Stąd opowieść o mym Dziadku- Wujku jest tak uboga.

Aby ewentualny czytelnik nie pogubił się w zawłościach rodzinnych naszych „Aptekarzy”, pozwoliłam sobie zrobić „drzewka” rodzinne, ale poza paroma wyjątkami są tu umieszczone tylko te osoby, o których jest mowa w opowieściach. Nie są uwzględnieni ani potomkowie Władysława Łysakiewicza, syna Stefana, ani moje i mojego Brata dzieci, wnuki i prawnuki, ani dalsze pokolenia autorki opowieści o Bolesławie Jagielskim i wnuczki Antoniego Jana Świąteckiego.

Na koniec chciałabym podziękować Pani doc. dr hab. Iwonie Arabas za udzieloną pomoc w uzyskaniu materiałów z IPN-u o Janie Łysakiewiczu, a obydwu Paniom – z Muzeum Farmacji – Pani Dyrektor i Pani Anicie Chodkowskiej, za serdeczność, otwartość i zachętę do napisania „Aptekarzy”.

Maria Jadwiga Koźmińska

111/1/2

APTEKARZE

wspomnienia rodzinne





III/1/4

Oryginał tableau jest w Muzeum Farmacji w Warszawie. Oprócz nazwisk są wymienione tylko pierwsze litery imion.

W trzecim rzędzie od góry – pierwszy z lewej – Antoni Świątecki,
drugi – Stefan Łysakiewicz.



Wstęp

Moja – a właściwie nasza opowieść, bo nie śmiem tego nazwać historią – będzie o trzech aptekarzach z prawdziwego zdarzenia i czwartym – takim „przyuczonym”. To tak, jak ta opowieść o trzech muszkietierach, których było czterech. Co ich łączyło oprócz zawodu? Rodzina. Wszyscy czterej pochodzili spod zaboru rosyjskiego, trzej starsi urodzili się w XIX wieku, czwarty – na początku XX.

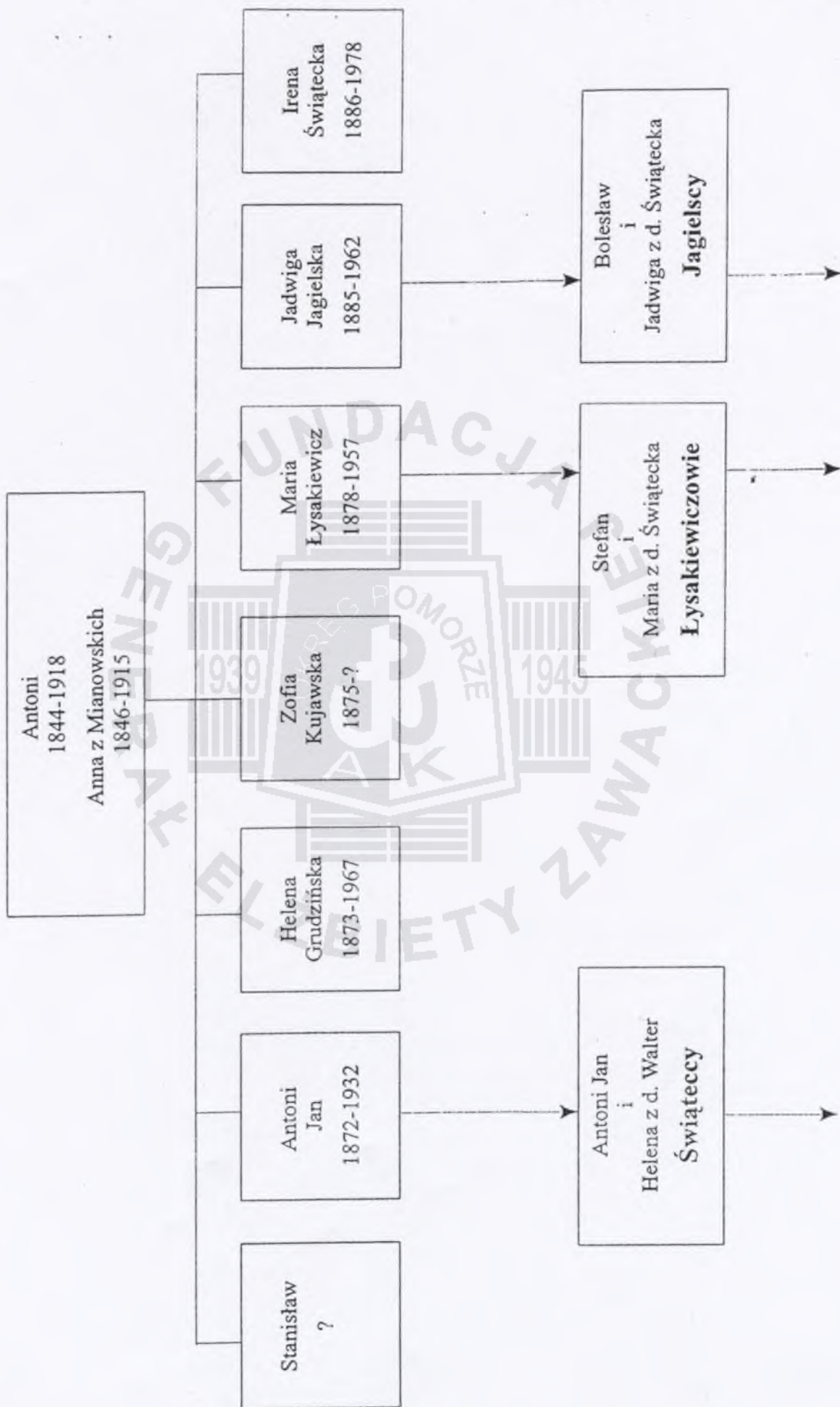
Dwaj otrzymali dyplomy „prowizora farmacji” na Uniwersytecie Warszawskim w 1899 roku. Trzeci, młodszy od nich o lat „naście”, zaczął studiować na tej samej uczelni, a skończył – daleko od niej.

Trzech starszych łączył także Magnuszew, a właściwie apteka w Magnuszewie – ale o tym potem.

Dlaczego nazywam to opowieścią? Ponieważ mamy bardzo różną ilość pewnych, udokumentowanych danych o każdym z nich.

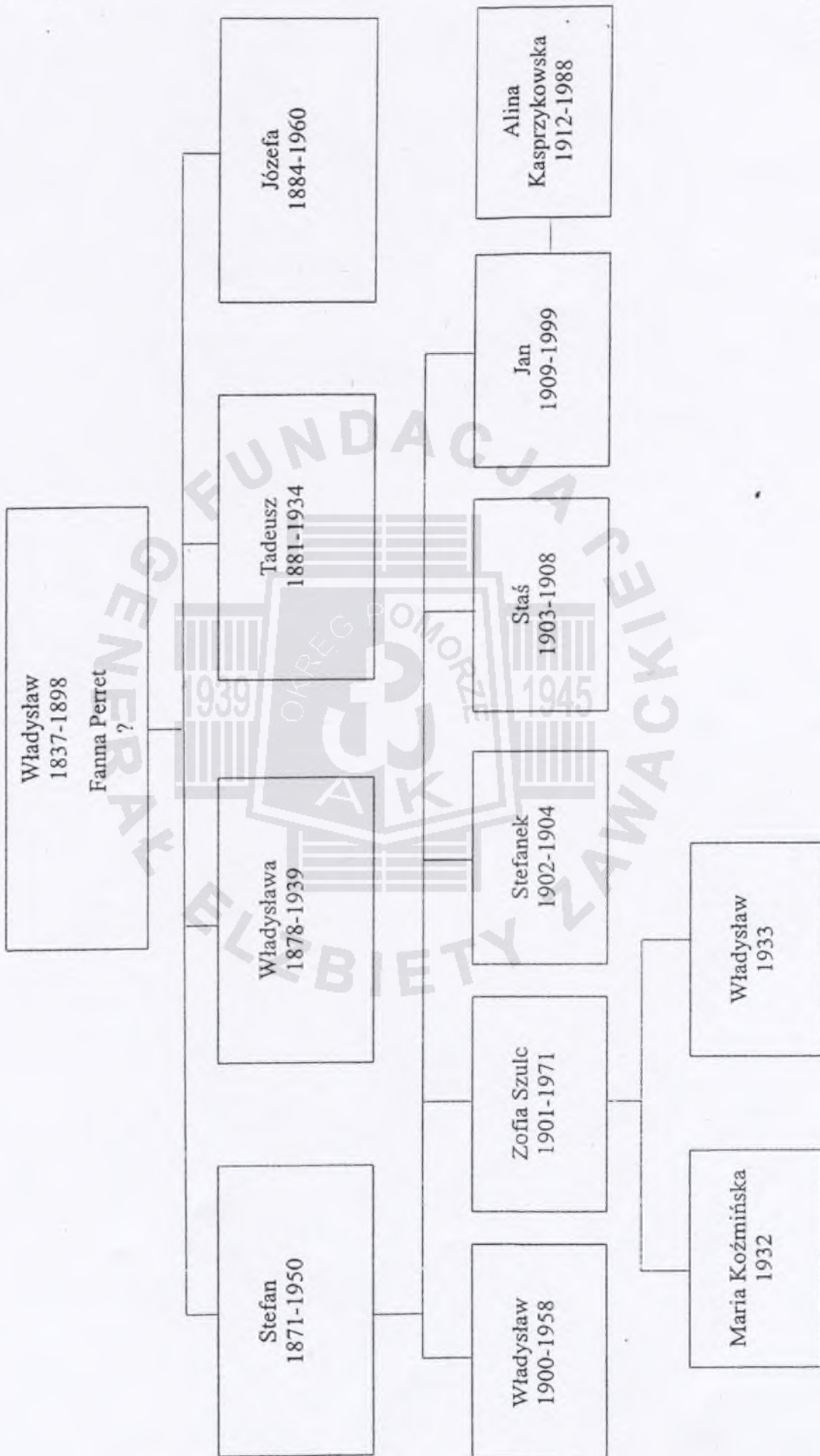
Czas ich wymienić. Byli to według starszeństwa: Stefan Łysakiewicz, Antoni Świątecki, Bolesław Jagielski i Jan Łysakiewicz, syn Stefana. Stefan Łysakiewicz był moim Dziadkiem. Pamięć moja sięga roku 1936. Każdego lata bywaliśmy u Dziadków w Czernikowie. Tam też spędziliśmy z Mamą całą wojnę pod ich opieką, gdyż mój Ojciec, lekarz wojskowy, odszedł na front i wrócił dopiero pod koniec 1946 roku. Byłam z Babcią i Dziadkiem bardzo zżyta i dobrze ich pamiętam.

Świąteccy „seniorzy”



III/1/6

Łysakiewiczowie



11/1/7

Mój Dziadek-Stefan Łysakiewicz.

m/1/8

Stefan Łysakiewicz, syn Władysława i Fanny z domu Perret, urodził się 27 maja 1871 roku w Lublinie. Ojciec Stefana pochodził z Tyszowiec; Fanna i Władysław Łysakiewiczowie przez długie lata mieszkali w Hrubieszowie, tam urodziło się młodsze rodzeństwo Stefana, tam on ukończył w 1887 roku czteroklasowe progimnazjum.

Praktyki uczniowskie w aptekach (w latach 1889-1892) odbył w Janowie – w aptecę Różańskiego i Łaszczowie – w aptecę Bronisława Koskowskiego. Jako pomocnik pracował (w latach 1892-1896) w Uściługu w aptecę Sielskiego i Hrubieszowie w aptecę Du Chateau. W dwa lata później, w 1898 otrzymał stopień prowizora farmacji na Uniwersytecie Warszawskim, potwierdzony dyplomem nr 4673 z 26 lutego 1899 roku. Powyższe dane czerpię z Formularza Regestracyjnego dla Farmaceutów, wypełnionego własnoręcznie przez Stefana Łysakiewicza 10 września 1919 roku dla Królewsko-Polskiego Ministerstwa Zdrowia Publicznego, Opieki Społecznej i Ochrony Pracy. W brudnopisie formularza, składanego w 1947 roku (był już pisany pod dyktando Dziadka) wymieniona jest jeszcze praktyka przed dyplomem (1897-1899) w aptecę Lilpota w Warszawie.

Po uzyskaniu dyplomu pracował niecały rok w aptecę Wichrowskiego w Piotrkowie Trybunalskim i zarządzał dwa lata apteką w Głownie. Potem była już trzyletnia dzierżawa apteki w Magnuszewie i krótka z Skępem, powrót na kilka miesięcy do Magnuszewa (zastępował Antoniego Świąteckiego). Koncesję na założenie własnej „wiejskiej apteki w osadzie Kikół, powiat lipnowski”, dostał w 1905 roku.

#

Gdy w roku 1899 Stefan Łysakiewicz otrzymywał dyplom, nie miał już obojga rodziców. Ojciec jego zmarł jako wdowiec 15 marca 1898 roku. W czasie pobytu w Warszawie przed dyplomem, Stefan bywał w podwarszawskim Zastowie u rodziny kolegi ze studiów, Antoniego Świąteckiego, który oprócz starszego brata Stanisława miał pięć młodszych sióstr: Helenę, Zofię, Marię, Jadwigę i Irenę. No i jak to bywa – koledzy zostali szwagrami, a ich zdjęcia są obok siebie na pamiątkowej fotografii ze zjazdu koleżeńskiego w 1908 roku. Ślub Marii i Stefana odbył się w Zerznie (obecnie Trakt Lubelski w Warszawie), 27 listopada 1899 roku. Być może dzięki małżeństwu i dzieciom, które sypnęły się „co rok to prorok”, ominęło Stefana Łysakiewicza powołanie do wojska carskiego na wojnę rosyjsko-japońską w 1904 roku. Z najbliższej rodziny poszli na front: młodszy brat Stefana – Tadeusz Łysakiewicz, Antoni Świątecki i drugi szwagier Antoniego Świąteckiego, mąż Zofii – lekarz Czesław Kujawski. Do końca pobytu w Magnuszewie było już na świecie czworo dzieci. Niestety dwaj synkowie zmarli – niecałe dwa lata mający Stefanek zmarł z Skępem w 1904, a pięcioletni Staś – w Kikole w 1908 roku. W rok później urodzony, najmłodszy Jan, był zdaje się oczkiem w głowie rodziców i oprócz okresu II wojny światowej spędził z nimi całe życie – aż do ich śmierci.

#

Wojna światowa 1914 roku zastała rodzinę Łysakiewiczów w Kikole. Front wojny dość szybko przesunął się na wschód i Kikół znalazł się pod panowaniem pruskim. Tak więc wojsko carskie i tym razem ominęło Stefana, a w 1919 roku do wojska, już polskiego, poszedł pierworodny syn Władysław, urodzony w 1900 roku w Głownie. Apteka w Kikole miała ponoć zbyt blisko konkurencję – do Lipna jest zaledwie 7 km. Wybrano miejsce bardziej odległe – Czernikowo;

III/1/9

stamtąd do następnej apteki w Lubiczu jest 16 km. Łysakiewiczowie przenieśli się do Czernikowa w 1931 roku i pozostali w nim do końca życia. Przez kilka lat apteka mieściła się w kolejno wynajmowanych domach, a do własnego, jeszcze niecałkowicie wykończonego, sprowadzili się w jesieni 1938 roku. Był to wówczas najokazalszy dom we wsi, ale na jego wybudowanie złożyły się – spadek po Święteckich w Zastowie i Łysakiewiczach w Hrubieszowie.

#

Okupacja, która we wrześniu 1939 roku zaczęła się na tych terenach niezmiernie krwawo i okrutnie, spowodowała natychmiastowy odruch buntu i chęć działania dla dobra Kraju i współobywateli. Ponieważ Dziadkowie moi mieszkali od kilku lat w Czernikowie, Kikół był odległy zaledwie o 14 km, znali ludzi z całej okolicy i byli powszechnie znani. Dość szybko zawiązał się ośrodek oporu i pomocy potrzebującym, choć możliwe, że jeszcze nie był podporządkowany żadnym strukturom organizacyjnym – ogólnopolskim, ani nawet rejonowym.

#

Teraz chciałabym opowiedzieć o tym, czym była apteka mego Dziadka dla mnie, kilkuletniego dziecka. Była miejscem niemal bajkowym, magicznym. Ciemna piwnica pod materialnią, do której schodziło się drewnianymi schodkami-drabinką. Stały tam jakieś balony, oplecione wikliną i inne zmagazynowane rzeczy, bo piwnica była chłodna i sucha. A w materialni – półki z maściami: „unguentum x”, „unguentum y”. Moździerze większe, mniejsze. Te do ucierania maści, te do proszków. W pomieszczeniu, do którego wchodził interesanci – zagroda z matowego szkła z wagami. Odważniki – maleńkie blaszki, których nie wolno było brać palcami. I tu znów półki wypełnione słojami i butelkami o specjalnych kształtach, z tajemniczymi napisami. I oszklona szafka, zawsze zamknięta na klucz, w której pojemniki na lekarstwa były inaczej oznaczone – napisy miały nie czarną, ale czerwoną obwódkę. A wykonywanie lekarstw według recept: rozsypywanie na kościane foremki równych porcji proszków by wsypać je do papierowych torebek, wykonanych z pasków pergaminu. A dzielenie globulek i czopków. A gotowanie „radix ipecacuanae” na miksturę wykrztuśną. A robienie saturacji. A pytanie: „ile lat ma to dziecko?” – zadawane, by sprawdzić, czy dawki leku są odpowiednie do wieku pacjenta. Były i mniej „czarowne” sprawy, jak produkcja płynów i maści przeciwko świerzbowi, pladze okresu wojny, obok szerzącej się gruźlicy, jaglicy...

Tajemnicze też były same recepty – te utarte zwroty i skróty: „mds”, „quantum satis”, „cito!” Zaś na półce jednej z szaf królująca księga mądrości – Farmakopea.

#

To wszystko było mi znane, widoczne. A czym się nie interesowałam i w związku z tym do dziś tego nie wiem? Mianowicie, na jakich zasadach funkcjonowała, w tym uporządkowanym („Ordnung muss sein”) państwie, a nie było to przecież Generalne Gubernatorstwo, ale według okupanta Prusy Zachodnie (Westpreussen!). Wszystkie sklepy, piekarnie, masarnie, restauracje zostały zabrane Polakom. Czy apteka mogła być własnością Stefana Łysakiewicza? Czy prowadził księgowość, płacił podatki? Czy tylko otrzymywał pensję? Czy musiał wyliczać się ze sprzedanych leków i środków opatrunkowych? Musiała jednak istnieć jakaś możliwość „oszukiwania” Niemców, bo mimo wszystko wiele aptek na tym terenie było ośrodkami pionu sanitarnego ruchu oporu.

Wracam do sprawy początku „ruchu oporu i pomocy”. Apteka w Czernikowie mogła stać się od pierwszych dni wojny, a zwłaszcza okupacji – niezależnym załączkiem oporu. Są jednak poszlaki, a mówił mi o tym Jan Łysakiewicz (brat Mamy), że moja Matka została w Warszawie zwerbowana, prawdopodobnie do KOP, zaraz na początku okupacji i że Jej powrót do Warszawy po odwiezieniu nas do Czernikowa w listopadzie 1939 i powtórny przyjazd do Czernikowa w styczniu 1940 roku, spowodował powiązanie działalności apteki Łysakiewiczów z konkretną strukturą organizacyjną. Tak też przypuszczał, na podstawie swych badań, dr Bogdan Ziółkowski, historyk z Włocławka, który badał okres okupacji na terenie Kujaw i Ziemi Dobrzyńskiej. Stąd było to moje „możliwe”.

W dalszych latach działalność została podporządkowana strukturom AK.

Okolo roku 1942 przybyła do pracy w aptecę mgr Stanisława Okońska, która była szefową pionu sanitarnego obwodu lipnowskiego AK, podległą Maryli Sobocińskiej, „Ryśce”. Potwierdza to w swej książce pt. „Szkice z dziejów Wojskowej Służby Kobiet” Elżbieta Zawacka (generał brygady Elżbieta Zawacka – zmarła 10 stycznia 2009 roku). Myślałam, że mgr Stanisława Okońska była specjalnie przysłana (dzięki kontaktom Maryli Sobocińskiej), do Czernikowa. Wprawdzie nie można się tego dowiedzieć z relacji pani Okońskiej, którą złożyła w 1977 roku w Archiwum AK w Toruniu. Jest tylko potwierdzony jej pobyt w Czernikowie, brak nawet dokładnych ram czasowych. Dopiero w maju 2010 roku z rozmowy z panią ppłk. Marylą Sobocińską dowiedziałam się, że był to „przypadek”, wykorzystany do szkolenia sanitarnego na terenie gminy Czernikowo, czyli praktycznie w mieszkaniu Łysakiewiczów, bo pani Stanisława Okońska ze swą Matką mieszkały u nas. Pani Stanisławie Okońskiej należałaby się osobna opowieść. Była wspaniałą kobietą!

Do czerwca 1943 roku warunki funkcjonowania apteki były mniej więcej stałe. Na piętrze mieszkali kolejni Niemcy. Od 1941 roku była to rodzina SS-mana, Bernarda Rufa, naprzeciwko były – gmina, posterunek policji i ...szpicel. Czyli – „najciemniej jest pod lampą”. Do apteki, poza godziną policyjną, mógł przyjść każdy, a że często przechodził z apteki do mieszkania, to już inna sprawa.

Zmiana w warunkach pracy apteki i życia rodziny nastąpiła w czerwcu 1943 roku. Dla przysłanego nadzorca apteki – Niemca – trzeba było opuścić mieszkanie przy aptecę. „Treuchender” – nie wiem nawet, czy był aptekarzem – na pewno był złodziejem. Kradł i sprzedawał pijakom spirytus apteczny. Na tym tle wybuchła awantura z moim Dziadkiem, który nie wyobrażał sobie, że można oszukiwać pacjentów (wiązało się to z fałszowaniem nalewek przez nadzorcę). Sprawa zakończyła się natychmiastowym wyrzuceniem Dziadka z pracy w dniu 31 marca 1944 roku. W ciągu lata Dziadek czasami dojeżdżał pożyczonym rowerem do apteki Stefana (?) Niteckiego w Lubiczu, ale nie wiem, czy pracował tam, czy było to tylko podtrzymanie

1/1/11

kontaktów organizacyjnych. Potwierdzałyby to moje wspomnienie, że ten rok był rokiem biedy, wyprzedawania ubrań, zegarków itp. Latem jedynym oficjalnym źródłem pieniędzy były nasze, mój i Brata, zarobki w szkółce leśnej, gdzie pracowaliśmy w związku z nakazem pracy dzieci od 10-tego roku życia (pracowały i młodsze) i brakiem szkoły dla polskich dzieci. Na tym tle pamięta się, jako rzecz nadzwyczajną, paczkę z mąką pszenną, przyslaną przez rodzinę Jagielskich aż z Kraśniczyna!

#

Po przejściu frontu, tym razem na zachód, w styczniu 1945 roku Łysakiewiczowie wrócili do swego domu. Apteka i dom przedstawiały żalony widok. Podłogi zasłane słomą, w której można było znaleźć najróżniejsze rzeczy: lekarstwa, granaty, ekskrementy. Lekarstwa – powysypywane, powylewane (może „coś” jest na spirytusie?) Także na podwórku, w ogrodzie. Dziadek sprzątał aptekę, ratował, co dało się uratować. Przemęczenie i zdenerwowanie doprowadziło w marcu 1945 roku do wylewu krwi do mózgu i lewostronnego paraliżu. Medycyna w tamtych czasach- zwłaszcza w Polsce tuż po wojnie – nie dysponowała takimi możliwościami ratunku, jak obecnie. Dziadek do końca życia został przykuty do łóżka. Całe szczęście, że umysł i pamięć działały sprawnie, był więc niezawodną pomocą w prowadzeniu apteki przez swego syna Jana. Oficjalnie do śmierci był prowadzącym aptekę. Nie doczekawszy, na swoje szczęście, upaństwowienia apteki, Stefan Łysakiewicz zmarł 13 września 1950 roku i jest pochowany na cmentarzu parafialnym w Czernikowie.

#

A jaki był w kontaktach z ludźmi, z rodziną? Czym się interesował, czy miał jakieś pasje? Co wiem o Nim od starszych w Rodzinie, co sama pamiętam? Nie miał łatwego charakteru. Był wybuchowy, stanowczy i uparty, ale... gołębiego serca. Moja Babcia mówiła mi, że aby zapobiec awanturze, zawsze, gdy On wybuchnął, Ona przed odezwaniem się... liczyła – do dziesięciu, do stu, w zależności od potrzeby. Mnie zalecała to samo, gdy protestowałam zbyt gwałtownie na jakieś zalecenia czy zakazy. Również Jego syn – Jan, który był „zaopatrzeniowcem” apteki mówił mi, że Dziadek nie godził się na sprowadzanie do apteki żadnych podejrzanych, reklamowanych nowinek. Był w tej sprawie nieugiętym konserwatystą.

#

A zapatrywania polityczne? Lekko lewicujący, fanatyczny wprost wielbiciel marszałka Józefa Piłsudskiego, ale chyba nie należał do żadnej partii, nic o tym nie wiem. Urodzony i wychowany w zaborze rosyjskim, syn powstańca 1863 roku, pamiętający niedole sybiraków, rusyfikację, wojnę polsko-bolszewicką 1920 roku, na pewno był daleki od „koloru czerwonego”. Pamiętam, gdy wiosną 1943 roku Niemcy podali wiadomość o odkryciu grobów w Katyniu i wiele osób posądzało Niemców o tę zbrodnię – mieliśmy przecież od paru lat na oczach ich okrucieństwa – Dziadek powiedział: „jedni drugich warci, mogli to zrobić Rosjanie”. Hrubieszowskie progimnazjum, które ukończył, było zapewne o kierunku humanistycznym. Języki – rosyjski wykładowy, łacina, niemiecki. Dom dwujęzyczny, polsko-francuski, bowiem Matka była francuskojęzyczną Szwajcarką, Babka ze strony Łysakiewiczów też francuskojęzyczna. Hrubieszów, miasto zamieszkałe przez Żydów, Polaków, Ukraińców, Rosjan i... Francuzów.

3/1/12

Cerkiew, kościół, synagoga. Z takiego środowiska, z takiej rodziny, wychodzi się otwartym, akceptującym różnych Ludzi, byleby byli Ludźmi. Nigdy w domu Dziadków nie słyszałam, by kogokolwiek oceniano według wyznania, wykształcenia, zamożności. Byli ludzie, którym się w tych czasach wierzyło, lub nie wierzyło. Byli ci, którzy mogli pomagać i ci, którym trzeba było pomagać.

#

W Czernikowie chyba przez całą okupację byli lekarze. Wojna zastała w Czernikowie doktora Krauzego, który nielegalnie wyjechał z rodziną do Kraśniczyna, gdzie aptekarzem był szwagier Babci – Bolesław Jagielski. (Dr Krauze nie bezpodstawnie obawiał się nacisków na podpisanie „Volkslisty” – był ewangelikiem, możliwe, że o niemieckich korzeniach, żarliwym Polakiem) Po wyjeździe dr. Krauzego nastąpił „Volksdeutsch” Leon von Przewoski, a pod koniec okupacji Niemiec o nieznanym mi nazwisku. Mimo to zdarzały się sytuacje, że ktoś przychodził do apteki „po poradę”, dostawał lekarstwo i bywało, że za darmo, gdy wiedziało się, że tam „aż bida piszczy”. Właśnie w takich chwilach okazywało się to wspomniane przeze mnie „gołębie serce” Dziadka. Przed wojną z darmowych leków korzystali pracownicy okolicznych majątków, za których miał płacić pracodawca. Wiem, że wielu z nich miało długi w aptecce Dziadka, których już nigdy nie zwrócili.

#

Mieszkając przez całe życie w większych i mniejszych miasteczkach i wsiach, Dziadkowie współżyli z całą społecznością. Grali w teatrykach amatorskich – w Kikole, w Czernikowie. Dobry słuch, głos, umiejętność gry na pianinie, przydawały się bardzo w tych warunkach. Dziadek należał też do Ochotniczej Straży Pożarnej. W Kikole był zapewne pierwszym posiadaczem „bicykla”, na którym na dalekie spacery woził dwoje swych najstarszych dzieci – Władysława i Zofię, podwożąc je po kawałku wzdłuż trasy. W tych czasach wiejskie dzieci na widok roweru wołały „diabeł, diabeł!!!” i chowały się w opłotki.

Nas, swe wnuki, w czasie okupacji prowadził na dalekie spacery wokół Czernikowa – nad jeziora – Zacisze i Steklińskie, do nadwiślańskich lasów. Pamiętam, jak ktoś spotkany na takiej wędrownicy zapytał Go, dlaczego to robi, a Dziadek odpowiedział, że musi trenować przed „ostatnią, wielką drogą”. Okrutny los nie pozwolił Mu przez ostatnie lata życia na to ulubione wędrowanie.

Z cech osobistych mego Dziadka muszę wymienić: nie palił i nigdy nie pił alkoholu. Żadna okazja nie była dostatecznym powodem, by sięgnąć po kieliszek. Ani święta, ani imieniny. Może dlatego nie należał do żadnego „towarzystwa brydzowego”. Nie znaczy to, że nie lubił kontaktów ze znajomymi, wymiany myśli i wiadomości – tych z oficjalnych gazet niemieckich, które czytał i komentował i tych, które dochodziły do nas tajnymi drogami, z radia londyńskiego. To pozwalało przetrzymać ciężkie lata okupacji – terror, utratę wielu bliskich znajomych i biedę.

113



СВИДѢТЕЛЬСТВО.

Совѣтъ Императорскаго Варшавскаго Университета симъ объявляетъ, что Аптекарскій Помощникъ Стефанъ Владиславовичъ Лысаневичъ, выслушавшій положенный курсъ наукъ по Фармацевтическому Отдѣленію Императорскаго Варшавскаго Университета, на основаніи § 52 и слѣдующихъ параграфовъ Высочайше утвержденныхъ 18 (30) Декабря 1845 года. правилъ испытанія фармацевтовъ, Медицинскимъ Факультетомъ сего Университета удостоенъ по экзамену званія Провизора и утверждень въ этомъ званіи Совѣтомъ того же Университета 19 Ноября 1898 года.

Въ удостовѣреніе чего, дано ему, г. Лысаневичу, сіе свидѣтельство, за надлежащею подписью и съ приложеніемъ печати. Г. Варшава, Февраля 26. дня 1899 г.

Ректоръ Императорскаго Варшавскаго Университета, Дѣйствительный Статскій Совѣтникъ

[Handwritten signature]

За Декана Медицинскаго Факультета, Дѣйствительный Статскій Совѣтникъ

[Handwritten signature]

Секретарь Совѣта, Статскій Совѣтникъ

[Handwritten signature]

№ *4673*



Примѣчаніе. Деньги садку омыи за свидѣтельство внесены въ Варшавское Губернское Казначейство подъ кантаци. за № 27400.

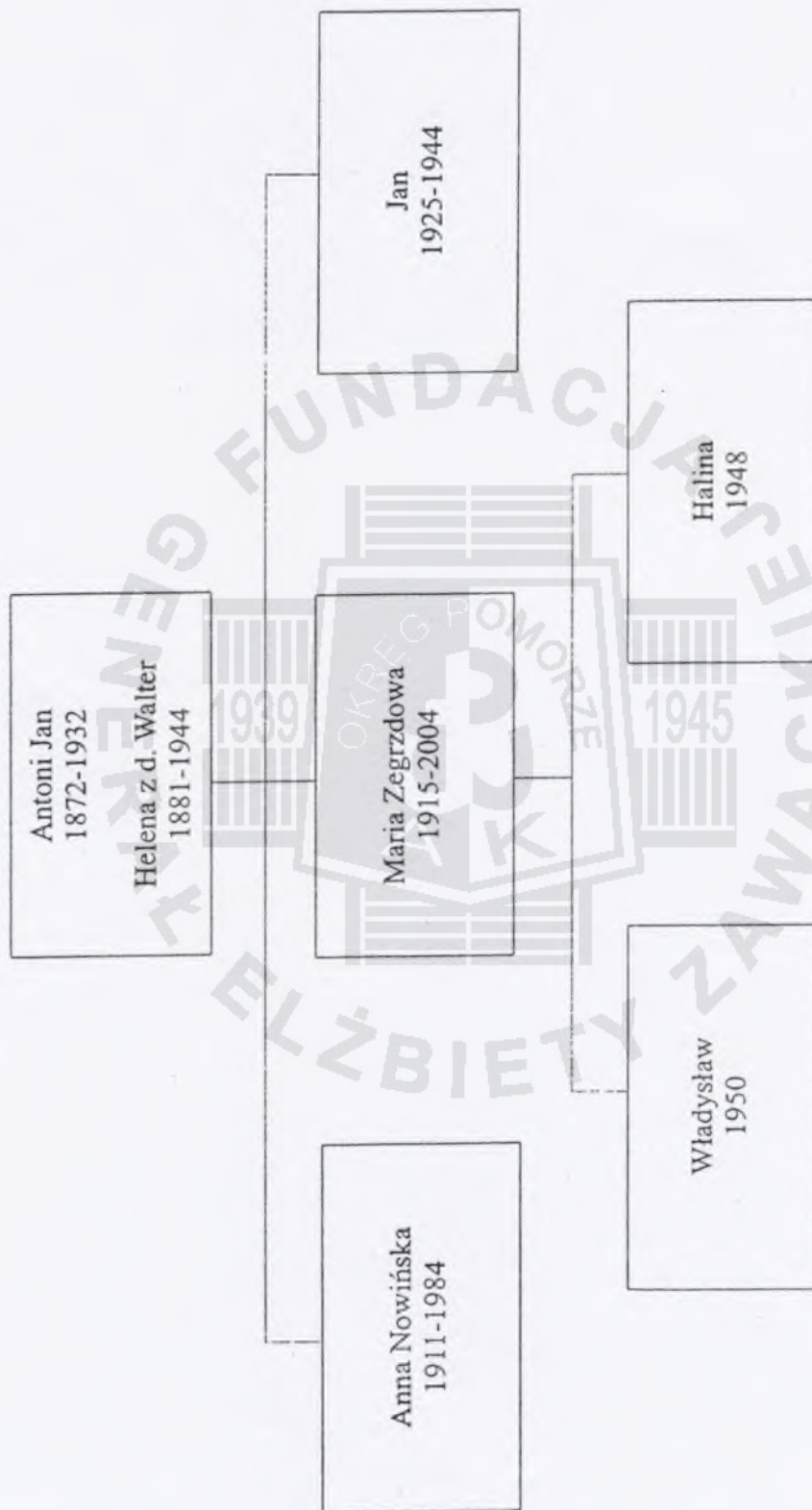
7/1/14

Taki sam dyplom miał zapewne Antoni Jan Świątecki.

Oryginał tego dyplomu – o rozmiarach zbliżonych do formatu A3 – był złożony i stąd widoczne zagniecenia. Zagaął w Czernikowie, zdażyłam tylko zrobić kserokopię.



Świąteccy „juniorzy”



III/11/15

Antoni Jan Świątecki

11/1/16



młody...

...na wojnę rosyjsko-japońską...



...w podeszłym wieku

III/1/17

Mój Wujek – Dziadek Antoni Jan Świątecki.

Leży przede mną odpis skrócony aktu zgonu, który dostałam parę dni temu z USC w Ostrowcu Świętokrzyskim: „Świątecki Antoni Jan, żonaty, lat 70, urodzony w Kaliszu, zmarł 7 listopada 1932 roku.”

Chciałam mieć choć jeden dokument Antoniego Jana Świąteckiego, bo jego wnuczka nie ma żadnych dokumentów Dziadka, a od niej dowiedziałam się tylko, że żył w latach 1872-1932, zmarł w Ostrowcu Świętokrzyskim i tam został pochowany. Poprzednio myślałam, że jest pochowany w Magnuszewie lub na „rodzinnym” cmentarzu Świąteckich w Zerznie, ale tam nie znalazłam jego grobu (obecnie ul. Cylichowska w Warszawie). Chciałam też upewnić się co do miejsca jego urodzenia i miałam nadzieję, że dowiem się dokładnej daty urodzenia. A tu niespodzianka – błąd w dokumencie, według którego Antoni Jan powinien był urodzić się w 1862 roku, a jest to niemożliwe. Mam bowiem przed sobą dwa inne dokumenty i... tradycję rodzinną. Pierwszy, to świadectwo szkoły powiatowej o pięciu klasach, które w 1861 roku otrzymał siedemnastoletni Antoni Świątecki, który według tego „patentu” urodził się w 1844 roku. Akt zgonu tegoż, spisany w 1918 podaje wiek zmarłego – 74 lata, a to potwierdza rok urodzenia – 1844. Według zaś tradycji rodzinnej Pradziadek Antoni Świątecki, brał udział w Powstaniu Styczniowym mając dziewiętnaście lat. Na zdjęciu grupowym powstańców, podpisanym ręką jego córki – Marii rzeczywiście wygląda jak dzisiejsi maturzyści. To wszystko zgadza się, a dotyczy Ojca naszego Antoniego Jana, który miał jeszcze starszego brata Stanisława. Nie wierzę, by ojcostwo mego Pradziadka przypadło w okresie uczęszczania do powiatowej szkoły w Łęczycy. Z przykrością muszę więc zakwestionować wiarygodność aktu zgonu Antoniego Jana w punkcie dotyczącym wieku zmarłego, tym bardziej, że grzebali go nie obcy ludzie, a najbliższa rodzina – żona, dwie córki i siedmioletni syn.

#

Antoni Jan. Antoni po ojcu i Dziadku Mianowskim, Jan po Dziadku Świąteckim. Antoni, Jan, Stanisław, a z imion kobiecych Anna, Maria, Jadwiga, Zofia i Julia lub Julianna powtarzały się i powtarzają nadal we wszystkich gałęziach rodziny Świąteckich. Tak mało wiem o tym, bądź co bądź, bliskim Wujku – Dziadku. W rodzinie mej Babci mówiło się o nim „aptekarsz-malarz”. Miał zdolności, które ponoć po nim odziedziczyła jego siostrzenica, czyli moja Mama, a po niej – mój Brat. Trzy zdjęcia Antoniego Jana, które miała w swych zbiorach moja Babcia – to trzy etapy jego życia – wczesna młodość, okres wojny rosyjsko-japońskiej i wiek podeszły, bo przecież nie zmarł jako starzec. Dziwne są koleje nie tylko ludzkich losów lecz także wiadomości o ludziach, którzy stosunkowo niedawno odeszli, żyją ich wnukowie, prawnukowie, i nie mają żadnych dokumentów swych przodków, ani nawet ustnych przekazów o ich losach. Przechował się w rodzinie „patent” z 1861 roku, jest też list pisany w 1845 roku przez koleżankę do „Juleczki”, Babki Antoniego Jana, a dokumentów dotyczących Jego – nie ma. Jego ubogi życiorys muszę oprzeć na tym, co wiem o rodzinie Świąteckich i wiadomościach pośrednich, takich jak list Pradziadka i wspomnienia Heleny Grudzińskiej, siostry Antoniego Jana.

Rodzina Matki pochodziła z Kalisza lub kaliskiego. Rodzina Ojca – z Dąbia. Anna z Mianowskich i Antoni Świąteccy mieszkali w Kaliszu i tam urodziły się prawdopodobnie wszystkie ich dzieci, to jest: Stanisław (?), Antoni Jan (1872), Helena Rozalia (1873), Zofia (1875), Maria (1878), Jadwiga (1885) i Irena (1886).

III/1/18

Helena Grudzińska spisała swe wspomnienia w roku 1964 z okazji setnej rocznicy Powstania Styczniowego. Miała wtedy skończone dziewięćdziesiąt lat, ale pamięć świetną – wszystkie osoby wymienione z nazwiska, z którymi pracowała po ukończeniu gimnazjum – znalazłam w encyklopedii PWN. Jej wspomnienia mają jednak tę wadę, że pisząc o wielu wypadkach w rodzinie nie podaje nawet roku, nie mówiąc już o dokładniejszej dacie. Pisze na przykład o przeprowadzce rodziny Świąteckich z Kalisza do Warszawy, a jedynymi wskazówkami, kiedy to mogło nastąpić są stwierdzenia: „zapisano nas do gimnazjum II na ulicy Wilczej. Ja i Zosia poszliśmy od razu do 7 i 6 klasy”; lub: „Bywały ciekawe koncerty w Dolinie Szwajcarskiej. Filharmonia powstała później”; lub: „Każdej niedzieli po nabożeństwie u Świętego Krzyża szło się na wystawę obrazów. Nie było jeszcze gmachu Zachęty, a wystawa mieściła się w Pałacu Potockich na Krakowskim Przedmieściu”. Jeśli to było gimnazjum ośmioklasowe, a Helena ukończyła je mając siedemnaście lat, to przeprowadzka do Warszawy mogła mieć miejsce około 1888 roku. Po opisie losów starszego z braci, Stanisława, studenta medycyny, który za udział w manifestacji w rocznicę Konstytucji Majowej został zesłany na dokończenie studiów w Kijowie, a następnie do pracy w Kazachstanie, gdzie zmarł na tyfus – następuje w opisie połączenie losów obydwu braci następującymi słowami: „Wybuchła wojna japońska. Antoś, młodszy mój brat, został powołany do wojska. Staś umarł i Matka nasza przeniosła się do Magnuszewa z młodszymi siostrami, aby prowadzić aptekę Antosia do Jego powrotu z wojny. Antoś szczęśliwie powrócił po skończonej wojnie. (1905 ? – przyp. M.K.) Ożenił się i do końca PRAWIE życia mieszkał w Magnuszewie i prowadził aptekę”: Tyle o bracie Antonim napisała jego siostra Helena, a Stefanowi Łysakiewiczowi ten paromiesięczny, powtórny pobyt w Magnuszewie, przypadł na czas wojowania szwagra z Japończykami. A jak doszedł Antoni Jan do ukończenia studiów na Uniwersytecie Warszawskim w 1898 roku? Był już około dziesięciu lat w Warszawie. Czy studiował „jak Pan Bóg przykazał”? Ile lat trwały w XIX wieku studia na farmacji? Czy musiał też tak, jak Stefan Łysakiewicz odbywać po kolei praktyki ucznia i pomocnika w aptekach? Tego wszystkiego nie wiem. W każdym bądź razie spotkał na swej drodze przed skończeniem studiów kolegę, który został jego szwagrem i tak połączyły się rodziny Świąteckich i Łysakiewiczów.



Antoni Jan Świątecki ożenił się z Heleną Walter (1881-1944), z którą miał troje dzieci: Annę (1911-1984), Marię (1915-2004) i Jana (1925-1944). Do żadnego wojska w czasie I wojny światowej prawdopodobnie już nie został powołany, ale Ojciec jego w liście do przyjaciela – zaraz po opisie losów rodziny swej córki Jadwigi Jagielskiej – pisze: „syn poniósł skutek wojny (w Aptece w Magnuszewie, powiat kozienicki) na 2500 Rs strat”. O udziale Antoniego Jana w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku też nic nie wiem.

Gdy umierał mój Dziadek, Stefan Łysakiewicz, ja miałam osiemnaście lat. Wnuczka Antoniego Jana urodziła się w szesnaście lat po śmierci swego Dziadka, a to, i na dodatek wojna, w czasie której mogły zaginąć dokumenty, wpłynęło na tę wielką różnicę w ilości informacji o mym Dziadku i jego koledze – szwagrze. Wnuczka Antoniego Jana powiedziała mi jeszcze o wspomnieniu swej Matki Marii, która zdawała maturę w żałobie po Ojcu, a było to w Ostrowcu Świętokrzyskim. To „PRAWIE” we wspomnieniach siostry Heleny zgadza się z tym, że pod koniec swego życia Antoni Jan Świątecki przeniósł aptekę do Ostrowca Świętokrzyskiego, tam zmarł i tam został pochowany.

Żona jego – Helena – oraz obydwie córki – Anna i Maria, są pochowane na Powązkach w Warszawie. Tam też jest symboliczny napis, poświęcony poległemu w Powstaniu Warszawskim, synowi – Janowi.

10/11/19



RZECZPOSPOLITA POLSKA

Województwo świętokrzyskie

Urząd Stanu Cywilnego w Ostrowcu Świętokrzyskim

ODPIS SKRÓCONY AKTU ZGONU

I. Dane dotyczące osoby zmarłej:

- 1. Nazwisko Świątecki
- 2. Imię (imiona) Antoni Jan
- 3. Nazwisko rodowe Świątecki
- 4. Stan cywilny żonaty
- 5. Data urodzenia lat 70
- 6. Miejsce urodzenia Kalisz
- 7. Ostatnie miejsce zamieszkania Ostrowiec Świętokrzyski

II. Dane dotyczące daty i miejsca zgonu:

- 1. Data siedmego listopada tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego (07.11.1932) roku
- 2. Miejsce Ostrowiec Świętokrzyski

III. Dane dotyczące małżonka osoby zmarłej:

- 1. Nazwisko Świątecka
- 2. Imię (imiona) Helena
- 3. Nazwisko rodowe Walter

IV. Dane dotyczące rodziców osoby zmarłej:

Ojciec	Matka
Antoni	Anna
Świątecki	Mianowska

Poświadczają zgodność powyższego podpisami

Ostrowiec Świętokrzyski z treścią aktu zgonu Nr 01.10.2010

data Z upoważnienia KIEROWNIKA USC

Kierownik Urzędu Stanu Cywilnego mgr Teresa Lukierska INSPEKTOR



Opłatę skarbową w kwocie 22 zł zapłacono w dniu 09.10.2010 r. nr pokwitowania 58 1020 2674 0000 2002 0003730
 opłata skarbową
 na konto UM Ostrowiec Świętokrzyski

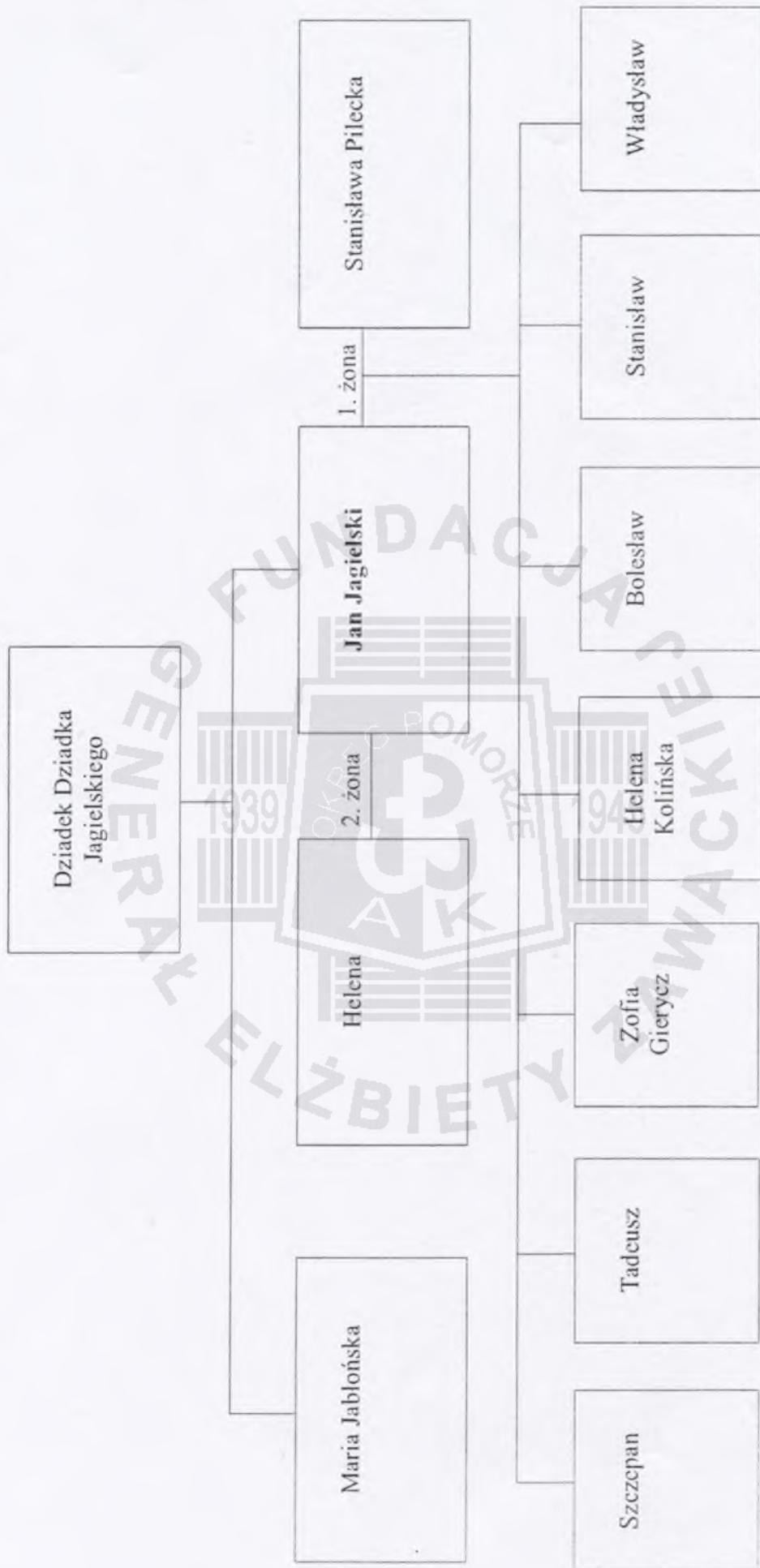
M-15 PTH „Technika”, Gliwice

11/1/20

To jest dokument, w którym muszę zakwestionować prawdziwość wieku zmarłego – Antoni Jan Świątecki zmarł mając 60 lat.

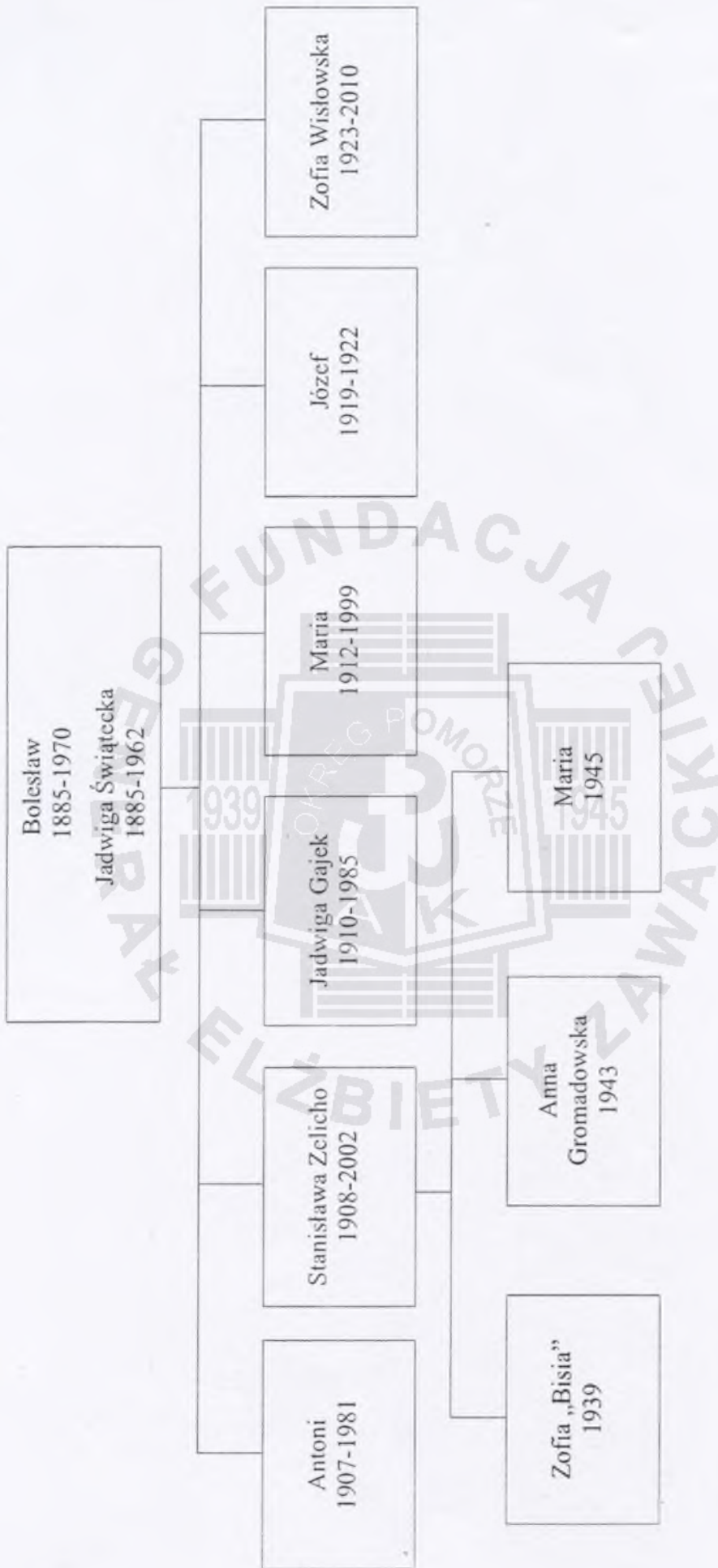


Jagielscy „seniorzy”



III/1/2A

Jagielscy „juniorzy”



III/1/22

Bolesław Jagielski

III/1/23



z żoną Jadwigą (ze Świąteckich)



W Kraśniczynie z wnuczkami – Zofią „Bisią” i Anulą, autorką wspomnień o Dziadku – 28 maja 1944 roku

III/1/24

Dziadek Bolesław Jagielski (zwany dalej Dziadkiem)

Urodził się 23 maja 1885 roku jako kolejne dziecko Jana i Stanisławy z Pileckich, w majątku Wacyn pod Radomiem, który jego dziadek, powstaniec listopadowy otrzymał po powrocie z zesłania od władz carskich jako dzierżawę wieczystą, po konfiskacie rodzinnej Przysuchy.

Wspomniany dziadek Bolesława (dziadek Dziadka) po powstaniu listopadowym został zesłany na Sybir zostawiwszy żonę z roczną córeczką Marią. Jego syn Jan, a ojciec Bolesława, urodził się już po powrocie z zesłania. Maria z Jagielskich Jabłońska, starsza siostra Jana, walcząca w powstaniu styczniowym u Langiewicza dosłużyła się stopnia porucznika.

Dziadek Bolesław miał dwóch starszych braci: głuchoniemego Szczepana (ogłuchł mając 2 lata po przebytych zapaleniu opon mózgowych, ożeniony z również głuchoniemą Aliną. Poznali się w Instytucie Głuchoniemych w Warszawie przy Placu Trzech Krzyży); Tadeusza (wszelki ślad po nim i jego rodzinie zaginął w czasie rewolucji bolszewickiej) i dwie starsze siostry: Zofię Gieryczową i Helenę Kolińską, oraz młodszych braci (obaj legionści): Stanisława i Władysława (przy jego urodzeniu umiera matka).

#

Po śmierci żony, ojciec, nie będąc sam w stanie zapewnić opieki dzieciom, żeni się po raz drugi, mając nadzieję, że żona Helena, z zawodu nauczycielka, pomoże mu w wychowywaniu i edukacji dzieci. Niestety stosunki między macochą a pasierbami nie układały się dobrze. Z tego też powodu rodzeństwo szybko opuszcza dom rodzinny.

Dziadek Bolesław uzdolniony matematycznie pragnie studiować matematykę. Jednak posłuszny woli rodziny rozpoczyna studia na farmacji w Warszawie. Młodego studenta porywają hasła socjalistów. Bierze udział w manifestacji 1-majowej, po której zostaje aresztowany i przez władze carskie zesłany do Rosji, gdzie w Kazaniu ma możliwość dokończenia studiów.

#

Już jako magister odbywa praktykę w Magnuszewie, w aptece Antoniego Świąteckiego, gdzie poznaje jego młodszą siostrę, a swoją przyszłą żonę, Jadwigę.

Młodzi pobierają się 12 lipca 1906 roku mając po 21 lat. Z pomocą finansową rodziców kupują aptekę w Kraśniczynie, niewielkiej miejscowości na Lubelszczyźnie, 17 km od Krasnegostawu, zamieszkałej w dużej części przez społeczność żydowską. Z Kraśniczym związane będą losy rodziny aż do końca II wojny światowej. Do wybuchu I wojny światowej przychodzą na świat starsze ich dzieci, Antoni w 1907, Stanisława w 1908 (Babcia Jadwiga rodzi ją 2 miesiące przed terminem 16 sierpnia w Magnuszewie, przebywając na letniku u swego brata Antoniego Świąteckiego), Jadwiga w 1910 i Maria w 1912.

Bolesławowi odpowiada spokojne życie małego prowincjonalnego miasteczka. Wychowana w mieście, najpierw Kaliszu, a następnie w Warszawie Jadwiga nie jest zachwycona wyborem męża, traktuje przeniesienie do Kraśniczyzna i oddalenie od bliskich początkowo jak zesłanie, lecz powoli to akceptuje. Integruje się z miejscową społecznością, także żydowską, prowadzi działalność społeczną, charytatywną i, co w rodzinie poczytywano za pewnego rodzaju dziwactwo,

m/1/25

zaczyna naśladować wiejski styl życia.

Tragiczne zmiany następują w życiu rodziny w roku 1914. Wybuch wojny światowej. Rosjanie zaczynają deportacje ludności zamieszkałej na Lubelszczyźnie w głąb Rosji. Bolesław kupuje wóz drabiniasty, pakuje nań rodzinę i przez kilka tygodni ukrywa się z nią po lasach, w nadziei, że uda się przeczekać wywózki. Jednak zostają dopadnięci późną jesienią i zmuszeni do wyjazdu. Do pociągu pozwolono im zabrać tylko bagaż podręczny. Inne spakowane rzeczy, jak ciepła odzież, pościel i inne przedmioty niezbędne do życia muszą nadać na bagaż. Bagaż ten zaginie. Odnajdzie się po kilku miesiącach całkowicie spleśniały, nie do użytku.

Po długiej podróży zostają wysadzeni na małej stacyjce niedaleko za Smoleńskiem i pozostawieni samym sobie, bez właściwie żadnych środków do życia, bez rzeczy.

Bolesław zostawia rodzinę na peronie i idzie szukać jakiegokolwiek schronienia dla umęczonych podróżą głodnych i zziębniętych dzieci. Znajduje szkołę, w której dostaje tymczasowe pomieszczenie, a więc upragniony dach nad głową, ale bez jakichkolwiek sprzętów. Po sprowadzeniu tam rodziny dostaje wysokiej gorączki i pada półprzytomny. Aby nie leżał na podłodze, żona z dziećmi wyjmują z zawiasów drzwi i na nich kładą chorego ojca. Najgorsza na wygnaniu jest pierwsza zima. Rosyjskie mrozy i brak ciepłej odzieży Jadwiga przypłaca gruźlicą, z której potem szczęśliwie udaje jej się wyleczyć. Przeżyli dzięki pomocy i życzliwości miejscowej ludności wiejskiej.

Dalsze losy rodziny na zesłaniu układały się coraz lepiej. Udaje się im przenieść do Smoleńska, gdzie działa bardzo dobrze zorganizowana Polonia i tam, korzystając z pomocy rodaków, otworzyć polską aptekę. Jadwiga jak zawsze pomaga w pracy w aptece oraz pracuje jako pielęgniarka, ukończywszy kursy sanitariuszek Czerwonego Krzyża.

Dzieci uczą się w domu, w którym istnieje surowy zakaz mówienia, choćby słowa, po rosyjsku, chociaż język ten mimo woli przyswajają sobie w kontakcie z rówieśnikami.

Wszyscy radośnie witają upadek caratu w lutym 1917 roku, wiążąc z tym wydarzeniem nadzieję na zmianę losu Polski i Polaków. 1 maja 1917 roku obydwójce Dziadkowie uczestniczą w uroczystym pochodzie, niosąc wiązanki czerwonych tulipanów, wyraz poparcia dla nowej demokratycznej władzy. Jednak te nadzieje szybko skończyły się wraz z wybuchem Rewolucji Październikowej. Rozpoczęły się masowe aresztowania, również ludności polskiej. Dziadek w aptecce gromadzi spirytus, który staje się najcenniejszym środkiem płatniczym. Dzięki polskiemu informatorowi ulokowanemu w miejscowym sowieckim organie bezpieczeństwa dowiaduje się o umieszczeniu jego nazwiska na liście czerezwyczałki (potoczna nazwa WCzK, czyli organizacji poprzedzającej NKWD i KGB w Rosji sowieckiej).

Następuje ucieczka rodziny z Rosji Sowieckiej. Zgromadzony przez Dziadka spirytus stał się przepustką do wolnej Polski. Oplaceni kolejarze przetransportowali całą rodzinę do tworzącej się właśnie polskiej granicy. Ze Smoleńska wywieziono ich w oplombowanych wagonach towarowych. Załadunek wyglądał w ten sposób, że po zapadnięciu zmroku z koczującej wiele dni na dworcu w Smoleńsku grupy ludzi, wyprowadzano po jednej osobie do stojących kilkaset metrów dalej na bocznicach wagonów. Osoba taka, kiedy w hali dworcowej pojawił się umówiony kolejarz przewodnik, na dany znak odrywała się od grupy i szła po ciemku za nim, cały czas w znacznej odległości, aby nie zwrócić niczyjej uwagi. Po załadowaniu wszystkich oczekujących rodzin wagony oplombowano i tak rozpoczął się powrót do Polski, z nocnymi postojami dla krótkiego rozprostowania kości, z kilkoma przesiadkami, na koniec nawet do wagonów osobowych.

Mimo wielu przeszkód (np. jazda przez płonący las) udaje się wszystkim późną jesienią przekroczyć granicę (chyba w okolicy Mińska) i znaleźć w dopiero co odrodzonej wolnej Polsce.

#

Wracają do Krańcizyna. Apteka splądrowana i rozszabrowana przez Rosjan nie istnieje.

11/1/26

Tak o tym pisał już 4 czerwca 1917 r. Antoni Świątecki (senior) do swego przyjaciela: „.....aptekę w Kraśniczynie pod Rejowcem moskale spalili – zięcia Jagielskiego z żoną i 4 dzieci zabrali do Rosyyi, nie mam od nich żadnej do tego czasu wiadomości.....”

Warszawska rodzina Babci załatwia Dziadkowi pracę w aptece przyklinicznej w Warszawie. Jednak Dziadek z tego nie korzysta. Odbudowuje swoją aptekę w Kraśniczynie. Tu przychodzi na świat jeszcze kolejnych dwoje dzieci. W 1919 roku Józef, który niestety umiera jako trzyletnie dziecko, najprawdopodobniej na zapalenie opon mózgowych i w 1923 najmłodsza Zofia. Życie w Kraśniczynie pozwala Dziadkowi realizować swoje pozazawodowe pasje, polowanie (ma dwa ukochane psy myśliwskie Buca i Stukułkę) i grę w brydża, w której był prawdziwym mistrzem. Brydż pozostał zresztą jego ulubioną rozrywką prawie do końca życia. Kocha też, w przeciwieństwie do Babci, życie towarzyskie i zabawy. Jest świetnym tancerzem.

Rok 1920. Wojna z bolszewicką Rosją. Bolesław zostawia rodzinę i aptekę, i idzie na ochotnika do wojska. Jadwiga z najstarszym 13-letnim synem Antonim pozostaje w Kraśniczynie strzec dopiero co odtworzonej apteki. Młodsze rodzeństwo zostaje odesłane do Warszawy, do ciotki Ireny Świąteckiej na ulicę Wspólną. 12-letnia Stanisława opiekująca się małym chorowitym braciszkiem Józiem wspomina potem, że gdy nawała bolszewicka szła na Warszawę, były to najstraszniejsze dni w jej życiu. Zdawało się jej, że świat się wali. Z dala od rodziców, których nie miała już nadziei jeszcze kiedyś zobaczyć, jako najstarsza czuła się odpowiedzialna za młodsze rodzeństwo. Jednak zwycięska Bitwa Warszawska pozwoliła znów wszystkim się połączyć.

20-lecie międzywojenne to czas wychowywania i kształcenia dzieci. Rodzina żyje ubogo. Mała prowincjonalna apteka nie przynosi dużych dochodów. Dzieci muszą się uczyć poza domem mieszkając po stancjach. Po kolei kończą edukację, wyprowadzają się z domu i zakładają własne rodziny. Dom pustoszeje. Dziadkowie coraz więcej poświęcają się pracy społecznej, Dziadek w ochotniczej straży pożarnej, Babcia wśród polskiej i żydowskiej biedoty.

W 1937 roku dotyka Dziadka poważna choroba serca. Znany profesor kardiologii z Warszawy wydaje na Dziadka wyrok. Radzi sprzedać aptekę, ponieważ nie widzi już jego powrotu do zawodu. Ten jednak nie poddaje się. Zwalczy chorobę i o wiele lat przeżyje profesora, który postawił tak niefortunną diagnozę.

#

Wszystko ulega zmianie po wybuchu II wojny światowej. Kraśniczyn staje się bezpieczną przystanią, do której wracają dzieci ze swoimi rodzinami, aby tu przetrwać okupację. Dom pęka w szwach, a chroni wszystkich Matka Boska w wybudowanej przez Babcie obok domu kapliczce. Chroni skutecznie. Jak mało która rodzina, nasza przetrwała okupację w komplecie, choć wiele razy jej członkowie mogli mówić o naprawdę cudownym ocaleniu.

W czasie okupacji Dziadkowie z najmłodszą córką Zofią rozpoczynają współpracę z miejscowymi strukturami AK. Babcia nie pozwala na pracę w konspiracji członkom rodziny mającym małe dzieci. Apteka zaopatruje partyzantów w leki i materiały opatrunkowe. Zofia wykazuje się dużą inwencją w zaopatrywaniu oddziałów AK również w żywność. Potrafiła na przykład zawieźć do lasu transport pieczywa prosto z niemieckiej piekarni. Pomagała jej w tym dobra znajomość języka niemieckiego.

Babcia zajmowała się również pomocą miejscowej ludności żydowskiej do czasu wywiezienia przez Niemców do obozu na Majdanku. Po likwidacji miejscowych Żydów, na jakiś czas do Kraśniczyna przywieziono transport Żydów z Węgier, później również wywiezionych. Jedna z przybyłych Żydówek węgierskich chciała zostawić Babci swoje kosztowności, które jak twierdziła, nie są jej już potrzebne. Babcia odmawia ich przyjęcia. Wtedy kobieta ta zwraca się w kierunku kilkuletniej wnuczki Babci, znajdującej się akurat w aptece i przypina jej małą broszkę z laki ze słowami: „Ta broszka nie ma dużej wartości materialnej, ale niech pozostanie jako

pamiętka po nas, że byliśmy tu w drodze do zagłady”. Wnuczka ta (Bisia) przechowuje tę broszkę z wielkim pietyzmem do dziś.

#

III/1/27

Po przyjeździe sowietów Dziadek i córka Zofia zostają aresztowani. Najpierw trzymani są w miejscowym areszcie urządzonym w piwnicy jednego z prywatnych domów, potem przewiezieni do Krasnegostawu. Dokładnych informacji dotyczących okresu aresztowania i doznanych represji rodzina nie ma, ponieważ oboje wykreślili te okrutne czasy z pamięci i nigdy nie chcieli do nich wracać we wspomnieniach.

Wiadomo że Zofia, wtedy jeszcze bardzo młoda dziewczyna, po ucieczce z więzienia wraca do domu w nocy i jeszcze tej samej nocy musi go opuścić ostrzeżona, że grozi jej rozstrzelanie. Od jesieni do wiosny błąka się i ukrywa w różnych miejscach pod przybranym nazwiskiem – Zofia Krzycka. Między innymi, w klasztorze na Wiktorynie, 6 km za Lublinem, skierowana tam przez znajomego rodziny, księdza Stopniaka. Siostry prowadziły tam ochronkę dla zagubionych i osieroconych wojną dziewcząt. Zajmowały się haftem szat kościelnych, ucząc haftu przebywające tam dziewczęta. Haft pozostanie ulubionym zajęciem Zofii w wolnych chwilach, kiedy będzie już lekarzem. Tam w czasie pobytu Zofii miało miejsce ciekawe zdarzenie. Przybyli dwaj oficerowie z armii Berlinga ze zleceniem wyhaftowania sztandaru. Sztandar po uzgodnieniu z oficerami wykonano w dwóch kolorach, jedna strona biała, druga czerwona. Na stronie białej znalazła się Matka Boska Częstochowska, a na czerwonej Orzeł Biały i napis Bóg, Honor i Ojczyzna.

Dziadek po wyjściu z więzienia zostaje ostrzeżony, że odbywają się skryte mordy ludzi, którzy uniknęli aresztowania, lub zostali z aresztu wypuszczeni ze względu na otaczający ich duży szacunek miejscowej ludności. Natychmiast opuszcza Kraśniczyn, a już najbliższej nocy ma miejsce niewyjaśnione włamanie do jego pokoju.

Po opuszczeniu Kraśniczyna przez kilka miesięcy pracuje w aptece w Narolu, małym miasteczku koło Tomaszowa Lubelskiego. Następnie przenosi się do Markuszowa, gdzie właścicielką apteki jest jego znajoma, pani Jakubowska. W tej aptece pracuje do przejścia na emeryturę w 1967 roku, czyli do osiemdziesiątego drugiego roku życia.

Apteka w Kraśniczynie zostaje zamknięta, ponieważ Babcia, choć doskonale radziła sobie z jej prowadzeniem, jednak nie miała wymaganych uprawnień. Apteka, choć nieczynna, zostaje razem z innymi w 1951 roku upaństwowiona, to znaczy zajęty zostaje jej cały majątek, meble, naczynia i leki. Zarząd aptek w Lublinie chcąc otworzyć ponownie aptekę, proponuje Dziadkowi powrót i zatrudnienie, lecz ten stanowczo odmawia.

#

Upaństwowienie aptek zastaje Dziadka w Markuszowie, akurat kiedy poczynił tam duże inwestycje. Ponieważ zajęto również kasę apteki, zostaje kompletnie bez grosza.

Po upaństwowieniu apteki, zażądano od Dziadka przedstawienia dyplomu ukończenia farmacji. Dokument ten zdeponowany w Izbie Aptekarskiej w Lublinie uległ spaleni w czasie wojny. Bez większej nadziei Dziadek pisze do ZSRR o przysłanie odpisu i o dziwo dokument taki w krótkim czasie otrzymuje. Nie jest znany los tego dokumentu.

Dziadek dalej samodzielnie prowadzi aptekę w Markuszowie. Mieszka w pokoju z kuchnią bez wygod na zapleczu apteki. Jediną pomocą jest odziedziczona po poprzedniczce pracownica, Karolina Sieńko, która utrzymuje w aptece porządek oraz wykonuje prace pomocnicze, jednocześnie pełniąc funkcję gospodyni Dziadka. Była to osoba warta wspomnienia, ponieważ

III/1/128

niezwykle przywiązana do Dziadka, służyła mu wiernie do końca jego pobytu w Markuszowie. Po jego wyjeździe zamieszkała u swoich krewnych i niedługo potem zmarła. Babcia nigdy nie zamieszkała w Markuszowie. Nie pozwolił jej na to stan zdrowia. Do śmierci w marcu 1962 roku przebywała u swoich córek, często odwiedzana przez Dziadka.

Prowadzona jednoosobowo przez Dziadka apteka w Markuszowie zostaje uznana za najlepiej prowadzoną w województwie lubelskim. Żaden remanent nie wykazał nigdy najmniejszego manka, ani innej nieprawidłowości. Sobie tylko znanymi sposobami Dziadek zdobywał leki tzw. deficytowe, po które przyjeżdżali ludzie z okolicznych miejscowości, nawet z Lublina. Za swą wzorową pracę otrzymuje liczne dyplomy uznania i inne nagrody oraz wyróżnienia.

Apteka, mimo że miała oficjalne godziny otwarcia, praktycznie była czynna całą dobę, ponieważ Dziadek mieszkając przy aptece był zawsze do dyspozycji w nagłej potrzebie. Również w okresie żniw i innych pilnych prac polowych, pełen zrozumienia dla miejscowych rolników obsługiwał ich do późnych godzin wieczornych, a nawet nocnych.

#

Jak pamiętają wnuki, często odwiedzające Dziadka, po zamknięciu apteki i okiennic oddawał się „łapaniu” (łapanie polegało na uchwyceniu najmniej zagłuszonego pasma), i słuchaniu Wolnej Europy. PRL-owskiego radia nie słuchał. Z lewicowych idei wyleczył się raz na zawsze w 1918 roku i do końca życia pozostał żarliwym antykomunistą. Mówiono w rodzinie, że z socjalizmu, podobnie jak Piłsudski wysiadł na przystanku niepodległość.

Wiele w tym czasie czytał. Uwielbiał powieści historyczne. Cenił Kraszewskiego, a trylogię Sienkiewicza znał całą chyba na pamięć. Do współczesnej literatury miał stosunek sceptyczny. Pożyczone od wnuków „Młode lwy” Irwina Shaw odesłał z lakonicznym komentarzem „książka paskudna, język plugawy”.

Ulubioną rozrywką były sobotnie spotkania brydżowe. Partnerami do brydża byli proboszczowie z okolicznych parafii, Markuszowa, Kurowa, Końskowoli i Garbowa. Grano zawsze na pieniądze, a atmosfera tych spotkań była czasem pełna gorących emocji. Dziadek na ogół ogrywał pocziwych księży. Musiała mu bardzo nie iść karta, aby wieczór zakończył na minusie.

#

Dziadek miał swoją tajemnicę. Przez całe dorosłe życie nosił w piersi kulę, która utkwiała mu w worku osierdziowym. Różne były wersje jej pochodzenia. A to, że zakradł się jako chłopak do pokoju myśliwskiego ojca i nakryty uciekając sam się postrzelił, a to, że się w młodości pojedykował. Jaka była prawda, tę tajemnicę zabrał ze sobą do grobu.

Po przejściu na emeryturę zamieszkał u najmłodszej córki w Bielsku Podlaskim, ale był w stałym ruchu, odwiedzając pozostałe dzieci, krążąc między Bielskiem, Warszawą i Gdańskiem. Kochał robienie prezentów wnukom, a także prawnukom, których dochował się w ostatnich latach życia. Tak było przez dwa lata, póki nie zachorował na raka płuc.

Po rocznej chorobie zmarł 3 maja 1970 roku, w wieku 85 lat i jest pochowany w rodzinnym grobie na cmentarzu w Zerznie (obecnie ul. Cylichowska w Warszawie).

III/1/29



RZECZPOSPOLITA POLSKA

Województwo podlaskie

Urząd Stanu Cywilnego w Bielsku Podlaskim

ODPIS SKRÓCONY AKTU ZGONU

I. Dane dotyczące osoby zmarłej:

- 1. Nazwisko Jagielski
- 2. Imię (imiona) Bolesław
- 3. Nazwisko rodowe Jagielski
- 4. Stan cywilny wdowiec
- 5. Data urodzenia 23 maja 1885 r.
- 6. Miejsce urodzenia Radom
- 7. Ostatnie miejsce zamieszkania Bielsk Podlaski

II. Dane dotyczące daty i miejsca zgonu:

- 1. Data trzeciego maja tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego
(03.05.1970) roku - Miejsce Bielsk Podlaski

III. Dane dotyczące małżonka osoby zmarłej:

- 1. Nazwisko -----
- 2. Imię (imiona) -----
- 3. Nazwisko rodowe -----

IV. Dane dotyczące rodziców osoby zmarłej:

	Ojciec	Matka
1. Imię (imiona)	<u>Jan</u>	<u>Stanisława</u>
2. Nazwisko rodowe	<u>Jagielski</u>	-----

Poświadczam zgodność powyższego odpisu z treścią aktu zgonu Nr 122/1970

Oplatek skarbowy w wysokości 22 zł. uiszczono dnia: 2011-08-16 Nr pokwitowania: Przelew.
 Bielsk Podlaski data 23.08.2011



Kierownik
 Z- Urzędu Stanu Cywilnego
 Urzędu Stanu Cywilnego
Wiesława Wołojik

Jan Łysakiewicz

III/1/50



w latach dwudziestych (z lewej)



i osiemdziesiątych
(fot. Władysław Szulc - siostrzeniec)

III/1/31

Mój Wujek – Jan Łysakiewicz.

Wspominałam już o nim w opowieści o Dziadku. Urodził się 9 października 1909 roku w Kikole, w powiecie lipnowskim, tam też spędził dzieciństwo i „pobierał pierwsze nauki”. Kiedy trzeba było pójść do gimnazjum, nie wybrano pobliskiego Włocławka ani Lipna. Może z troski Rodziców o najmłodszego, ale raczej ze względów finansowych wybór padł na Warszawę, gdzie moja Babcia podjęła pracę i zamieszkała z synem i córką Zofią, która po maturze we Włocławku wstąpiła do Miejskiej Szkoły Sztuk Zdobniczych w Warszawie. Jedynym „urzędowym” śladem ich pobytu w Warszawie jest meldunek z dnia 14 lutego 1924 roku w dowodzie osobistym mej Babcy. Jan ukończył 8-klasowe gimnazjum nie wieńcząc nauki maturą ze względu na ciężkie zapalenie opon mózgowych. Nie miał więc ani możliwości, ani może ochoty na studia. Nie był też powołany do wojska, nie dostał również przydziału mobilizacyjnego w 1939 roku. Z książeczki wojskowej Jana Łysakiewicza wydanej w 1960 roku dowiadujemy się, że kwalifikacja z roku 1949, brzmiąca: „przeniesiony do rezerwy bez odbycia zasadniczej służby wojskowej”, została zmieniona z dniem 1 stycznia 1960 na: „zwolniony od powszechnego obowiązku wojskowego”.

#

Dziedziczenie przez syna zawodu i warsztatu pracy ojca nie było nowością. Nic więc dziwnego, że Dziadek zbliżając się do sześćdziesiątki chciał przekazać swą wiedzę i aptekę synowi.

W latach trzydziestych, poprzedzających budowę własnego domu, już w Czernikowie, Jan otrzymał pełnomocnictwa od Rodziców i załatwił sprawy spadkowe w Hrubieszowie i Wawrze, a następnie prowadził budowę domu. Równocześnie był „zaopatrzeniowcem” apteki i również pracował w aptece.

#

Lata 1939-1945 były jedynym okresem w Jego życiu, gdy był rozdzielony z Rodzicami. We wrześniu 1939 roku przyjechał do Warszawy, zamieszkał z nami (Ojciec mój odszedł na front) i pozostał, po naszym wyjeździe do Czernikowa, w naszym mieszkaniu na Bałuckiego. Utrzymywał się z produkcji i sprzedaży kosmetyków. W 1943 roku ożenił się z wdową po poległym oficerze – Aliną Presz, z domu Kasprzykowska.

Nie wiem, jakie były Jego koleje w organizacjach podziemnych do powstania AK. Wiem tylko, że zgrupowanie w godzinie „W” miał w Śródmieściu (ul. Śniadeckich?). Po upadku powstania uciekł z transportu i znalazł się w Jędrzejowie. Tam został aresztowany i z niemieckiego więzienia uwolnił Go czołg radziecki, który staranował bramę więzienną. Najszybciej, jak tylko mógł, przyjechał do Czernikowa.

#

Działalność Jana Łysakiewicza, jako aptekarza, podzieliłabym na następujące okresy:

Nauka i praca w aptece pod okiem Ojca, na pewno od skończenia gimnazjum do wybuchu wojny 1939, choć możliwe, że już wcześniej zaznajamiał się z tajnikami wiedzy farmaceutycznej.

Okres powojenny, gdy prowadził rodzinną, prywatną aptekę z pomocą Rodziców. Koniec

tego okresu to jednoczesna niemal śmierć Ojca (13 września 1950) i upaństwowienie apteki 1/32 (8 stycznia 1951).

W ostatnim okresie był zatrudniony przez „Cefarm” jako „kierownik punktu aptecznego”. Ponieważ takie stanowisko jest podane w świadectwie pracy, które otrzymał 31 stycznia 1991 roku, to przypuszczam, że osoba, która od pewnego czasu pracowała z Nim w aptece, także nie miała ukończonych studiów farmaceutycznych. Okres ten zakończył się odejściem z pracy „na własną prośbę” z dniem 7 lipca 1960 roku.

#

Jak perfidne były ówczesne władze w stosunku do byłych właścicieli aptek i ich spadkobierców, mogą ukazać dwa zachowane pisma. Jedno – Centrali Aptek Społecznych w Bydgoszczy – z 15 października 1951 roku, powołujące się na uchwałę Rady Ministrów z 1950 roku, polecające, by połowa czynszu za lokal apteczny była wypłacana Marii Łysakiewicz. Co za troska! Matka Jana, już wówczas wdowa, mieszkała razem z synem, prowadzili wspólne gospodarstwo. Nie było prawdą, na co powoływało się wyżej wymienione pismo, że była „ujawnioną w księdze wieczystej współwłaścicielką posesji”, ponieważ księga wieczysta została założona dopiero w 2004 roku.

W latach 80-tych apteka nadal była w domu Łysakiewiczów. Świadczy o tym pismo Wujka z 1982 roku, domagające się podwyższenia czynszu wobec panującej inflacji i grożące „eksmisją” apteki w razie niespełnienia Jego żądań. Możliwe, że aptekę wyprowadzono do Ośrodka Zdrowia dopiero w 1991 roku, ponieważ taką datę nosi drugie pismo, łaskawie zrzekające się telefonu – zabranego wraz z apteką – słowami : „pragniemy, aby telefon nam już zbędny, wrócił nieodpłatnie do pierwotnego właściciela”

#

Powstałe po 1989 roku Stowarzyszenie Byłych Właścicieli Aptek i Wytwórni Farmaceutycznych oraz ich Rodzin „APTEKARZE” korespondowało z Wujkiem zawiadamiając o swej działalności. Zachował się dowód wpłaty składki na rzecz Stowarzyszenia (z 1993 roku), ale myślę, że Wujek nie miał już sił ni ochoty walczyć o zwrot apteki, czy nawet o rekompensatę.

Został wprowadzicie oficjalnie przez Urząd Gminy uznany jedynym właścicielem posesji (na podstawie ustawy z 1971 roku), ale poczuwał się do tego, że spadkobiercami po Jego Rodzicach są potomkowie Jego rodzeństwa.

#

Kim był Wujek i z czego żył po zwolnieniu się z pracy w aptece? Renty, a tym bardziej emerytury w tym wieku nie dostał. Miał do dyspozycji dom i 0,66 ha ogrodu ze starym sadem. Został rolnikiem, płacącym podatek gruntowy i zobowiązany – zresztą już od 1945 roku – do oddawania kontyngentów żywca itp. Kontraktował byczki, chował maciory na „przychówek”, czasem udało Mu się sprzedać w punkcie skupu jabłka. Dopiero po 1989 roku ktoś życzliwy pomógł Mu uzyskać rentę, którą, możliwe, że otrzymał dopiero w 1991 roku, a więc po osiemdziesiątce!



RZECZPOSPOLITA POLSKA

URZĄD STANU CYWILNEGO w m.st. Warszawie
Województwo mazowieckie Oddział Mokotów

Odpis skrócony aktu małżeństwa

I. DANE DOTYCZĄCE OSÓB ZAWIERAJĄCYCH MAŁŻEŃSTWO:

	Mężczyzna	Kobieta
1. Nazwisko	Łysakiewicz	Presch
2. Imię (imiona)	Jan	Alina Eugenia
3. Nazwisko rodowe	Łysakiewicz	Kasprzykowska
4. Data urodzenia	09 października 1909	22 stycznia 1912
5. Miejsce urodzenia	Kikoń	Psków

II. DANE DOTYCZĄCE DATY I MIEJSCA ZAWARCIA MAŁŻEŃSTWA:

1. Data /08.03.1943/r. 2. Miejsce Warszawa

III. NAZWISKO NOSZONE PO ZAWARCIU MAŁŻEŃSTWA:

- 1. Mężczyzna Łysakiewicz
- 2. Kobiety Łysakiewicz
- 3. Dzieci Łysakiewicz

IV. DANE DOTYCZĄCE RODZICÓW:

- A. Ojciec Stefan Adam
- 1. Imię (imiona) Łysakiewicz Kasprzykowski
- 2. Nazwisko rodowe Maria Adalina Alina
- B. Matka Świętecka Dmochowska
- 1. Imię (imiona)
- 2. Nazwisko rodowe

V. ADNOTACJE O USTANIU LUB UNIEWAŻNIENIU MAŁŻEŃSTWA:



Posiadać się zgodzić powyższego odpisu z treścią aktu małżeństwa Nr V/131/68/43 Warszawa, data 26.04.1998

Urząd Stanu Cywilnego Warszawa
26.04.1998
Zob. Tobiasz



III/1/53

III/1/34

#

Życie osobiste skomplikowało się Mu już wcześniej. W końcu lat czterdziestych opuściła Go żona. Dzieci nie mieli, rozwodu nie przeprowadzili. Na początku lat pięćdziesiątych związał się, z będącą w takiej samej sytuacji rodzinną kobietą, która przyjechała do Czernikowa ze swą Matką i Córką. Ta rodzina zyskała dom, zamieszkując na piętrze, co umożliwiło także prowadzenie gabinetu dentystycznego nowej pani domu. Tak pozostało, aż do Jej śmierci w 1992 roku.

A kim był Jan Łysakiewicz w społeczeństwie Czernikowa w latach powojennych? Naturalnie – członkiem Ochotniczej Straży Pożarnej przez wszystkie lata, aż do śmierci. To koledzy – strażacy nieśli Jego trumnę od kościoła aż na cmentarz na swych ramionach, a pożegnała Go syrena strażackiego samochodu. Za ofiarną pracę – udział w konkursach drużyny, organizowanie wycieczek po całej Polsce – już w 1967 roku otrzymał złoty medal zasługi dla pożarnictwa. Przyczynił się także do zbudowania szkoły podstawowej, której brak dawał się bardzo we znaki. Szkoła, zbudowana społecznie – jeszcze przed akcją „tysiąc szkół na tysiąclecie” – została oddana w 1951 roku, a plan szkoły otrzymał Wujek od profesora Politechniki Warszawskiej, którego znał z kontaktów AK-owskich w Warszawie. Plan powstał jako praca magisterska i został przekazany komitetowi budowy szkoły – bezpłatnie.

Wujek pracował także w Banku Spółdzielczym w Czernikowie i był przez pewien czas Prezesem Zarządu tego banku.

#

Jednak największą Jego pasją było myślistwo. Strzelcem był wspaniałym rzeczywiście – zastrzelił jednym celnym strzałem w oko dzika, który orał łąki leżącego naganiacza – co nie przeszkadzało, że i fantazja myśliwska ponosiła Go czasami. Opowiadał mi kiedyś, jak byłby zamarzył siedząc pod drzewem, gdyby nie zając, który pociągnął za spust dubeltówki i obudził Go! Lubił psy, konie i gołębie. Psy w domu były zawsze, jak pamięć moja sięga. Stado „winerków” i „bocianów” krążyło nad domem i ogrodem.

#

Był towarzyski, bardzo elokwentny, o świetnej pamięci ludzi i zdarzeń. Za młodu – wysoki, przystojny, śniady brunet z piwnymi oczami. Lubił tańczyć – przed wojną biegał do Ciechocinka na dancingi – pił z umiarem. Dlaczego, a to wiem na pewno, mimo współżycia z wieloma miejscowymi osobami, był bardzo nieufny wobec ludzi?

Zrozumiałam to niedawno. Choć sama pamiętam lata po 1945 roku i wiedziałam, że nie wszystko można mówić przy wszystkich, to jednak to, co przeczytałam w udostępnionych mi materiałach IPN-u, poraziło mnie.

#

Przed paru laty – w maju 2007 roku – dowiedziałam się, że w bydgoskim IPN-ie są, pod konkretnymi numerami, materiały o Wujku. Nie miał jednak w tym czasie, że ze względu na zmianę przepisów o IPN-ie dostępu do nich historyk, z którym utrzymywałam kontakt. Gdy w ubiegłym roku (2010) pisałam obszernie wspomnienie o Wujku dla potomnych, zabrakło mi

11/1/35

wiadomości o udziale Wujka w Powstaniu Warszawskim. Nigdy mi o tym nie mówił, choć w ostatnich latach Jego życia przegadaliśmy niejedną wieczór; a ja nie pytałam. Moja prośba skierowana do IPN-u, o te materiały, spotkała się z odmową. Możliwość wglądu w te materiały otrzymałam dopiero w listopadzie 2010 roku dzięki pomocy Muzeum Farmacji w Warszawie, za co jestem bardzo wdzięczna Pani Dyktor doc. dr hab. Iwonie Arabas.

Z materiałów IPN-u – choć nie znalazłam w nich wiadomości o udziale Wujka w powstaniu – dowiedziałam się, że w 1953 roku Jan Łysakiewicz znajdował się na liście „8 figurantów”, nazwanych „Zdrajcy”. Znaleźli się na tej liście: miejscowy lekarz, dentystka, były, nieujawniony członek AK, „kułak”, organista, pracownik spółdzielni – z Czernikowa i pobliskich wsi. Były konkretne donosy i zalecenia obserwowania „figurantów”. Zastanawiająca była ilość – ze względu na niewielki teren – wymienionych, jedynie pod pseudonimami, agentów UB. Z treści donosów wynikało, że bywają oni u „figurantów” np. na przyjęciach lub spotkaniach towarzyskich, a także sami dostarczają wiadomości „z wrogich, imperialistycznych rozgłośni”, by wciągnąć w dyskusje „figurantów”.

Z okresu wojny pamiętam jednego donosiciela w Czernikowie. Nawet dzieci wiedziały, że Jędrzejewski to szpicel. Po wojnie UB zdołało wciągnąć, różnymi metodami, wielu do współpracy. Nic więc dziwnego, że Wujek, doświadczony wezwał i przesłuchał (o czym wiem) – był nieufny.

I nie pomogła budowa szkoły, praca w banku, działalność w Ochotniczej Straży Pożarnej. Skazony przynależnością do AK – „figurantem” i wrogiem Polski Ludowej pozostał.

Zmarł 15 marca 1999 roku i jest pochowany w Czernikowie – z Rodzicami.



III/1/36



RZECZPOSPOLITA POLSKA
URZĄD STANU CYWILNEGO w Czernikowie
Województwo kujawsko-pomorskie

Odpis skrócony aktu zgonu

I. DANE DOTYCZĄCE OSOBY ZMARŁEJ:

- 1. Nazwisko Łysakiewicz
- 2. Imię (imiona) Jan
- 3. Nazwisko rodowe Łysakiewicz
- 4. Stan cywilny wdowiec
- 5. Data urodzenia 09 października 1909r
- 6. Miejsce urodzenia Kikół
- 7. Ostatnie miejsce zamieszkania Czernikowo ul. Słowackiego 33

II. DANE DOTYCZĄCE DATY I MIEJSCA ZGONU:

- 1. Data 15 marca 1999 roku
- 2. Miejsce Czernikowo

III. DANE DOTYCZĄCE MAŁŻONKA OSOBY ZMARŁEJ:

- 1. Nazwisko
- 2. Imię (imiona)
- 2. Nazwisko rodowe

IV. DANE DOTYCZĄCE RODZICÓW OSOBY ZMARŁEJ:

	Ojciec	Matka
1. Imię (imiona)	<u>Stefan</u>	<u>Maria</u>
2. Nazwisko rodowe	<u>Łysakiewicz</u>	<u>Świątecka</u>

1. Imię (imiona)
 2. Nazwisko rodowe.
 Powiadcza się zgodność powyższego odpisu z treścią aktu zgonu Nr 157/1999 data 1999-03-26



KIEROWNIK
[Signature]
 Urzędu Stanu Cywilnego
 1 Jedynego Dyktanda

Postscriptum

III/1/37

Przedstawię teraz moje dotychczasowe zmagania z IPN-em i ich wyniki. Byłam w trakcie pisania wspomnień o Wujku i bardzo brakowało mi czegoś konkretnego o Jego udziale w Powstaniu Warszawskim. Przypomniał mi się ostatni list pana dr. Bogdana Ziółkowskiego, w którym wyraził nadzieję, że po zmianie przepisów o korzystaniu z zasobów IPN-u dotrze do wiadomości o Wujku. List był z maja 2007 roku i sugerował, że są tam wiadomości o działalności Wujka w AK – podczas wojny i po jej zakończeniu. Podawał także numery zasobów IPN-u, w których znajdują się te wiadomości. Do IPN-u w Bydgoszczy napisałam 4. grudnia 2009 roku z prośbą o te materiały wiedząc, że panu Bogdanowi Ziółkowskiemu zaszkodzić już nie mogę, ponieważ było to po jego śmierci. W lutym 2010 roku dostałam pismo z IPN-u, że materiały przesłano do Krakowa ze względu na moje miejsce zamieszkania. Kraków zaś powiadomił mnie, że ze względu na daleki stopień pokrewieństwa (ni matka, ni żona, ni córka) nie mam prawa otrzymać tych materiałów. Miałabym, gdybym była dziennikarzem lub naukowcem. Przysłano mi nawet kwestionariusze na taką ewentualność. W czerwcu 2010 roku zaryzykowałam bardzo swobodną, niemal żartobliwą rozmowę z panem „X”, prowadzącym sprawę w Krakowie. Powiedziałam między innymi, że dziwi mnie taka niezbornosc przepisów – według jednych mogę być i jestem spadkobierczynią doczesnych dóbr po Janie Łysakiewiczu, a według innych nie mam prawa wiedzieć, co spotykało Go ze strony UB w „wolnej Polsce”. Moje pismo z 4. grudnia 2009 roku wyrażało bowiem chęć poznania losów Wujka w związku z pisaniem przeze mnie wspomnień o rodzinie. To powtórzyłam panu „X”. Wtedy on rzekł, że to byłoby do załatwienia, gdybym miała rekomendację naukowca – „doc. dr. hab.”. Skąd tu wziąć takowego? Myślałam o toruńskim archiwum AK, ale tu moje kontakty kończą się na pani archiwistce. Aliści w miesiąc później pojechałam do Warszawy, do Muzeum Farmacji, by oddać dokumenty i pamiątki po Maciu. Ten wyjazd był poprzedzony kontaktami listowymi, rozmowami telefonicznymi i wysłaniem przeze mnie starych książek, na które reflektowało Muzeum Farmacji. W trakcie rozmowy powiedziałam o trudnościach w uzyskaniu z IPN-u dokumentów, dotyczących Wujka. A na to panie: „my pani pomożemy, pani dyrektor zwróci się do IPN-u z odpowiednim pismem”. Było to już po naszej rozmowie, że w rodzinie było więcej aptekarzy, których można by ująć w jednej opowieści. Dostałam to pismo i tym razem pisząc do IPN-u w Bydgoszczy nie powoływałam się na związki rodzinne, ani na poprzednią moją prośbę. Pomogło! Teraz dokumenty zostały przesłane do Delegatury IPN-u w Kielcach. Pojechałam tam 17. listopada 2010 roku, zapoznałam się z całą dokumentacją i wynotowałam sobie potrzebne mi ustępy. Wyjaśniono mi, że na razie, w związku z brakiem jakichś tam zarządzeń, nie mogę dostać kserokopii. (Przedtem dawano je bezpłatnie, a teraz ma to być płatne, ale na razie nie

1.

III/1/38

wiadomo ile). Przeczytałam całość, choć na dobrą sprawę tylko dwie stronicie dotyczyły Wujka, nie były to jednak zeznania Wujka o przynależności do AK i udziale w Powstaniu Warszawskim. Przeczytałam całość, bo to dało mi – ze źródła – obraz całej ohydy i podłości tych służb i metod ich postępowania: prowokacji, wykorzystywania przy werbowaniu szpicli ludzkich słabości, urazów do innych ludzi, itd., itp. Całość tych dokumentów to kilkanaście kart formatu A4. Jest to pismo opracowane przez ppor T. Maciejczyka (?), a za wykonanie zawartych w nim poleceń odpowiedzialny został – w terminie do 15.VII 1953 roku – ppor Jerzy Nawrocki (?) ref (erent?) sekcji III wydziału III. Pismo było skierowane do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, Dep. III w Warszawie w ślad za pismem z 27.12.1952 r. z przebadania rozpracowania „Zdrajcy”. W części dotyczącej Wujka i innych osób z Czernikowa i okolicznych wsi napisano: obiektowe rozpracowanie „Zdrajcy”.

Założona sprawa na 8 figurantów:

1. *Masalski Franciszek 14.V.1908*
2. *Czajkowski Zdzisław s. Karola 1907. w Sp. Sam. Chłopskiej w Czernikowie*
3. *Michalski Kalikst 1895 – kułak, nieujawniony AK*
4. *Nalaskowski Bolesław 1891 muzyk, organista Mazowsze*
5. *Zacharski Piotr 1898 Działyń*
6. *Rylich Kazimierz Mazowsze 1913*
7. *Łysakiewicz Jan s. Stefana, pochodzenie społeczne inteligencja pracująca, z zawodu aptekarz, Czernikowo*
8. *Stefańska Maria z d. Śliwińska, c. Feliksa ur. 16. 8. 1917 Łysołaje pow. Lublin z zawodu dentystka, mężatka (jedno dziecko) zamieszkała w Czernikowie.*

Wymienieni wspólnie odwiedzają się przebywając najczęściej u Czajkowskiego względnie Stefańskiej, niejednokrotnie do późnej nocy, gdzie prowadzą wrogie rozmowy, szkalujące ZSRR i Rząd Polski Ludowej. Poza tym na podstawie agenturalnych danych stwierdza się, że grupa ta przejawia wrogą działalność w formie szeptanej propagandy, zaczerpniętej z wystłuchiowanych audycji radiowych, nadawanych z krajów imperialistycznych, otrzymanych od agentury (podkreślenie moje – M Koźmińska), która podaje, że członkowie scharakteryzowanej grupy utrzymują również kontakty z byłymi członkami AK z terenów innych powiatów i tak: informator ps. „Leśnik” podaje – w domu Czajkowskiego Stanisława zebrali się Romanski Piotr, (według mnie chodzi o Piotra Romanowskiego, zięcia Kasprowiczów z „Zygmuntowa”, który bardzo ofiarnie działał na terenie Wymyślina i został na wniosek ppłk. Maryli Sobocińskiej „Ryśki” – odznaczony za tę działalność. Piotr Romanowski był kuzynem Czajkowskich. Uwaga moja – Maria Koźmińska) Kolankiewicz Ludwik, Kawecki Wincenty i niejaki ich znajomy Dulkiiewicz inspektor z powiatu aleksandrowskiego. Byli tam również Czajkowski Zdzisław z Torunia, Glaszyk Eugeniusz i Jędrzejewski Edward. (Jak doszliśmy wspólnie do wniosku z Marylką Bułakowską, chodzi tu o jej ojca, Eugeniusza Głaszczyka i zarazem

111/1/39

meża pani Aleksandry Kołaczyńskiej, która pracowała w gminie i działała w pionie legalizacji AK. Dopisek mój – Maria Koźmińska). W prowadzonych rozmowach na temat pracy w organizacji AK z okresu okupacji z wypowiedzi Czajkowskiego wyczuwało się, że i w obecnej chwili bierze on udział w jakiejś nielegalnej pracy. Informator ps. „Lis” podaje, że do Masalskiego często przychodzą Stefańska i miejscowy ksiądz Kuszyński, którzy wieczorami wysłuchują radia zagranicznego i długo wieczorami komentują nad zasłyszonymi audycjami. Informator ps. „Dąb” w doniesieniu swym z dnia 7. 3. 1953 podaje, że w dn. 8. 2. 53 u Masalskiego odbyło się przyjęcie, na którym byli dr. Sylwestrowicz z Torunia i lekarz wojskowy w stopniu p.pułk. również z Torunia, oraz prokurator z Bydgoszczy o nieznanym nazwisku oraz jeszcze jeden obywatel też nie znany mi, rzekomo sędzia z Torunia”. Na końcu całej broszury jest takie zalecenie:

„Natomiast do sprawy Masalskiego należy za pomocą agentury „Leśnik” i „God” ustalić osoby postronne mogące potwierdzić ich obecną wrogą działalność na odcinku wsi”

Jestem pewna, że z wymienionych „8 figurantów” nikt już nie żyje. Pani Maria Stefańska zmarła w 1992, Wujek w 1999 roku, grób dr. Masalskiego jest blisko grobu Łysakiewiczów. Nikt z nich już nie powie, kto sześćdziesiąt lat temu był w ich towarzystwie, a zwał się „Leśnik” lub „Lis” albo „Dąb” czy „God”, bo przecież nie stali pod oknami, by podsłuchiwać rozmowy, a z treści donosów wynika, że sami dostarczali wiadomości z „imperialistycznego radia”, by wysłuchiwać dyskusji....i donosić. Nie dziwię się, że Wujek miał zaufanie do tak niewielu osób, a i to nie ustrzegł się przed donosicielami. Zresztą, jeśli było już wiadome, że należał do AK, to ten fakt raz na zawsze ustawiał Go w pozycji podejrzanego – mógł budować szkołę, być w zarządzie banku, dostawać nawet złoty medal za zasługi dla straży pożarnej – a „podejrzanym” lub nawet „zdrajcą” w dokumentach UB pozostał.

----- * -----

W materiałach, które czytałam, jest też dział zatytułowany „charakterystyka nowo zwerbowanych agentów”: „Błysk”, „Lubomir”, „Dąb”, „Biały”, „Bernard”, „Star” – z tym, że dalej operuje się tylko tymi pseudonimami, a nazwiska w ogóle nie są wymienione. Podane jest tylko – albo cel, (np. rozpracowanie określonej osoby), albo w jaki sposób został zwerbowany (na podstawie kompromitujących materiałów o współpracy z okupantem). Tu wychodzi niesamowita perfidia „służb bezpieczeństwa” – werbuje się zdrajcę z okresu okupacji, by śledził tych, którzy z okupantem walczyli. Jest też w tych materiałach zalecenie, by przesłuchiwać siedzących w więzieniu na podstawie wyroku z roku 1948 „byłych członków organizacji AK z okresu okupacji i po

III/1/40

wyzwoleniu" (z terenu Grudziądza). Cel – „dążyć do rozszyfrowania zajmowanych funkcji organizacyjnych i zasięgu działalności organizacji oraz do ujawnienia osób współpracujących z tą organizacją” Czyli propozycja – powiesz, doniesiesz, skrócimy ci wyrok.

----- * -----

Mam obiecanie w Delegaturze IPN Kielce, że jeśli znajdą jakieś materiały z przesłuchań Wujka, to je dostanę. W ankiecie-zapotrzebowaniu wpisałam też nazwiska: Maria Łysakiewicz, Stefan Łysakiewicz i Zofia Szulc.

W połowie listopada 2011 roku miałam zamiar zadzwonić do IPN-u w Kielcach, ale nie zdążyłam, bo ubiegł mnie pan, który udzielał mi informacji w poprzednim roku i zawiadomił mnie, że nie znaleziono żadnych dodatkowych materiałów, dotyczących rodziny Łysakiewiczów i Zofii Szulc. Nie chce mi się w to za bardzo wierzyć – chyba, że zostały zniszczone.

2012 HRP
30. stycznia 2011 roku.

To "Postscriptum" zostało napisane do "Srebrnej nitki w APTEKARZACH" biografii Jana Łysakiewicza (taniej-rodzinnej) ponieważ są tam wspomnienia - i to przez powojenne skiby - ludzie z terenu Czerniwoła i okolic - może coś się z tego "Archiwum" przejdzie.

M. R. K. S. S. S.

P.S. Zdecydowałam się dokonać to po mojej najbliższej mowicie telefonicznej

14. 05. 2013

Wstęp

W każdym prawie domu gromadzi się sporo fotografii. Teraz jest nawet, powiedziałaabym, istny szal fotografowania – naturalnie w kolorze – i, co na szczęście, umieszczania zdjęć w albumach. Nie wiem jednak, czy za parę lat będzie wiadomo gdzie, a także kiedy zdjęcia te były robione. A może nawet nie zawsze na pewno będzie wiadomo, kto na nich jest. A co dopiero mówić o zdjęciach starych! Tu naprawdę nie zawsze wiadomo „kto, kiedy i gdzie”.

Mysząc już od dawna nad jakimś uporządkowaniem zdjęć rodzinnych, zwłaszcza tych najstarszych, napotykałam na problemy. Nie wystarczy bowiem umieścić je w albumie, bez objaśnień. Za mało wtedy mówią. Opisywać? Jak? Są poza tym różnych wielkości, co przy obecnych albumach uniemożliwia ten sposób.

Postanowiłam więc dla dzieci, wnuków i pra.. zrobić przewodnik po rodzinie. Na tyle, na ile pamiętam osoby opisywane, co o nich słyszałam lub czego się dowiedziałam z dokumentów. Niestety nie mogę sobie pozwolić na zlecenie badań w Archiwach Państwowych. Korzystam więc z danych zawartych w Urzędach Stanu Cywilnego, ale te obejmują dane ze stu lat, a więc w chwili obecnej mogę sięgnąć najdalej do roku 1898. To co robię nie będzie sprawą zakończoną, zamkniętą. Wprost przeciwnie – każdy, kto będzie w posiadaniu mojego przewodnika będzie mógł dopisać zebrane przez siebie wiadomości i ewentualnie przesać je kuzynom. Dla chętnych prowadzenia dalszych badań podaję Archiwa Państwowe, w których powinny znajdować się dokumenty rodzinne. Ten wstęp jest zaadresowany zarówno do rodziny Łysakiewiczów, jak i Szulców, a może także Świąteckich.

To co piszę opieram na swoich wspomnieniach i subiektywnych ocenach. Uzyskałam też wiadomości od innych członków rodziny. Najwięcej od Cioci Siasi (Stanisławy Zelicho, ciotecznej siostry mej Mamy), a także od Niny Konopackiej (z d. Łysakiewicz), Zosi (Agnieszki) Szulcowej, Krysi Szulcowej, Janusza Szulca, Basi Godlewskiej (kuzynki Niny ze strony Matki), która znała Ciocię Józję Łysakiewicz i Alinę Łysakiewicz oraz od mojego Brata, Władysława Szulca, który dodatkowo przyczynił się wykonując repliki zdjęć.

Skąd jesteście? Z których to, panie Kowalskich? Poznańskie. Łęczyckie. Kujawy. Lubelskie. Ciechanowskie. Potem losy wiodły do Włocławka, Torunia, Warszawy, zatrzymywały na chwilę lub na lata, w różnych miejscach Polski: Hrubieszów, Kikół, Czernikowo, Sanok, Rokitno, Skarżysko, Cisna, Konstancin-Jeziorna, Katowice, Warszawa, Warszawa, Warszawa...

Młodzi z różnych stron Polski spotykali się w szkołach, na studiach, a czasem na balach. Pobierali się i wędrowali po Polsce. A z jakich rodzin pochodzili? Z różnych. Z bogatszych i biedniejszych. Właściciele ziemskich, mieszczan, inteligencji. Polskich, niemieckich, francuskich (?), szwajcarskich. Wszyscy na tej ziemi poczuli się Polakami. Władysław Łysakiewicz sj – syn Szwajcarki i Polaka tak samo walczył w Powstaniu Styczniowym jak Antoni Świątecki z polskiej rodziny. Józef Szulc zginął w wojnie 39r. tak samo jak Jan Gorzechowski. Zginęła – bez śladu – zamordowana przez Niemców Jadwiga Szulcówna i wywieziony do kopania okopów – Eugeniusz Szulc tak, jak zginął w bezkresach Sybiru Stanisław Świątecki. Nawet nie zawsze wiemy, gdzie są ich mogiły. Dlatego pozwalam sobie zrobić osobny spis miejscowości (i ewentualnie bliższych danych), gdzie są pochowani ci z naszych rodzin, o których wiemy, gdzie leżą. Adresy żyjących – zamieszczę tylko za ich zgodą.

Najstarsze ślady.

Najstarszym śladem rodzinnym jest list, którego kopię zamieszczam, a treść na tyle, na ile udało nam się przeczytać, przytaczam (dosłownie, z błędami). To trochę po to, by wprowadzić w atmosferę ówczesnego karnawału. Jest połowa lutego 1845 r. Panna Zuzanna Porębińska (przyjaciółka, kuzynka?) pisze do Juleczki zaczynając od życzeń imieninowych.

III/1/42

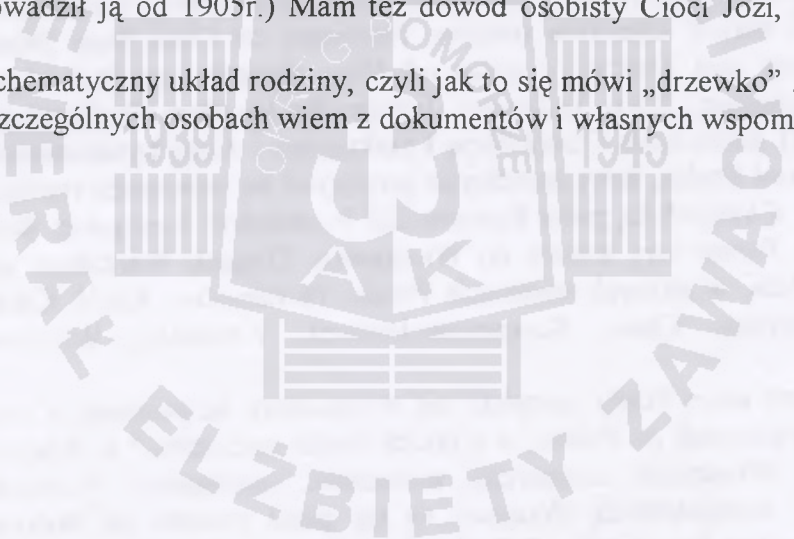
Następnego dnia – 16 lutego – są imieniny Julianny. A więc jest to list do Julianny Dziewulskiej. Ta rozbawiona, roztańczona i roztrzępana Julianna (poszukująca męża), mieszkająca w Kaliszu, prawdopodobnie już wkrótce wyszła za mąż za kawalera Mianowskiego i wychowała pięcioro dzieci: Stanisława, Aleksandra, Marię, Julię i Annę. (Wszystkie wiadomości o nich pochodzą od Cioci Siasi. Sprowokowałam ją do barwnej opowieści pytając, kto to byli Mianowscy – gimnazjaliści ze zdjęcia oraz Klemens Modelski. Podam je dalej, przy „drzewku” Mianowskich i Świąteckich). Ta ostatnia – Anna – w 34 lata później urodziła moją Babcie – Marię Świątecką, późniejszą żonę Stefana Łysakiewicza sj. Drugi ślad to kopia świadectwa ukończenia gimnazjum w Łęczycy w 1861r. przez 17-letniego Antoniego Świąteckiego. To on po kilku latach ożenił się z Anną Mianowską, córką Juleczki. Mieszkali w Kaliszu. Gdy synowie ich – Stanisław i Antoni skończyli gimnazjum – Świąteccy sprzedali domy w Kaliszu i kupili dom i ziemię w Zastowie pod Aninem. Umożliwiło to studia synom w Warszawie. Stanisław skończył medycynę, Antoni farmację. Antoni miał na studiach kolegę, pochodzącego z Lubelskiego, Stefana Łysakiewicza. Gdy kończyli studia, Stefan nie miał już obojga rodziców. Może dlatego zaczął bywać w Zastowie i poznał tam przyszłą swą żonę – Marię.

Kopia dyplomu Uniwersytetu Warszawskiego z 1898 roku, wydane Stefanowi Łysakiewiczowi i zdjęcie ze zjazdu koleżeńkiego z 1908 roku są następnymi śladami.

Z rodziny Babci Szulcowej z domu Bączkowskiej, najstarszymi posiadanymi przeze mnie dokumentami są metryki urodzenia Babci i jej siostry Heleny, później Baranowskiej.

Dość dokładnie (choć nie bez pewnych niejasności) drogę życiową Dziadka Łysakiewicza poznałam z ankiety, jaką wypełnił w 1919 roku starając się o akceptację prawa prowadzenia apteki w Kikole (prowadził ją od 1905r.) Mam też dowód osobisty Cioci Józi, a także jej „Kennkartę”.

Przedstawiam teraz schematyczny układ rodziny, czyli jak to się mówi „drzewko”. Następnie to wszystko, co o poszczególnych osobach wiem z dokumentów i własnych wspomnień.



Moi Dziadkowie – „Maciowie” – Łysakiewiczowie.

Dlaczego „Maciowie”?

W domu moich Dziadków często przebywała bratanica Dziadka – Janina, zwana w rodzinie Ninką. Ninka mieszkając u moich Dziadków w Czernikowie chodziła do pierwszej i drugiej klasy szkoły powszechnej. Bywała także potem w czasie wakacji. Zaczęły się jej mylić „mama” z „ciocią” i z tego wyszła „Macia” już jako imię własne, a konsekwencją tego był „Mać” i „Maciowie”. My młodszy w rodzinie przejęliśmy już na zawsze te „imiona” i nigdy inaczej nie mówiliśmy.

Odkąd ich pamiętam?

Moja pamięć sięga czasów, gdy mieszkali w Czernikowie, w domu Kasprowiczów (obecnie posterunek policji). Przedtem, tj. od przyjazdu do Czernikowa w 1931 r. mieszkali w sąsiednim drewnianym domu pana Wojciechowskiego – krawca. W tym domu urodziłam się ja, teraz ten dom

wygląda nieco inaczej (jest obudowany cegłą). Ten dom, który pamiętam, stoi przy obecnej ulicy Słowackiego, odchodzącej od szosy Sierpc – Toruń i dalej biegnącej w stronę lasów nadwiślańskich. Przy tej ulicy stał dworek dawnego majątku Czernikowo – niski, z zajazdem dla bryczek okalającym klomb z płaczącym jesionem. W tym dworku po parcelacji (ale już przed wojną) była gmina, a został spalony w styczniu 1945 r. przez cofających się Niemców. Zabytkowy kościół (XIV – XVII w.) stoi w środku wsi, przy dawnej szosie (teraz jest zrobiony objazd).



Bardzo stare zdjęcie dworu w Czernikowie. Pamiętam ten jesion bardzo rozrośnięty. Obecnie budynek gminy stoi bliżej ulicy.



Kościół w Czernikowie, na lewo plebania. Zdjęcie zrobione latem 1948 r., teraz ulica jest zabudowana

Kto w tym czasie z rodziny mieszkał w Czernikowie, Kto tam przyjeżdżał? Z Maciami mieszkał Wujek Janek, czyli najmłodszy ich syn. Bywało zaś mnóstwo osób – z rodziny i znajomych. Oto grupa osób zebrana tam latem 1933 r. W oknie od lewej – Tadeusz Łysakiewicz (brat Macia), obok jego córka Ninka (naturalnie głaszcząca psa), pan psa, czyli Wujek Janek. U góry moja Mama i profilem – Ojciec. W sukni w kropki – Władysława Żelechowska (zaprzyjaźniona z domem krawcowa z Lipna) i Macia. Siedzą od lewej - dr Wiesbaum („pam boli” – tak go nazywałam) ze mną na kolanach, Mać z moim Bratem na kolanach i mecenas Turant.



Zdjęcie zrobione latem 1933 r.

I drugie zdjęcie – stoją dwie Marie Łysakiewiczowe – żona Wujka Władka i Macia. Siedzą Stefan, syn Wujka Władka i Ninka. Na krześle Mać i z psem – przyjaciel rodziny z czasów kikolskich – Gienek Różański.

Bywały tam także – siostra Maci – Helena Grudzińska i siostra mego Ojca – Jadwiga, matka Ninki – Ksawera, siostra Macia – Józefa. Dom był gościnny, choć nieduży. Połowę jego zajmowała apteka, w drugiej były dwa pokoje i kuchnia. W takich warunkach zapadła decyzja o budowie własnego domu. Kupiono plac leżący po drugiej stronie ulicy (za mojej pamięci bujało tam zboże) od pani Zofii Stachowskiej, właścicielki resztówki po majątku. Ale o tym –potem.

A co było przedtem, czego już nie ogarniam pamięcią? To, co wiem, opieram na nielicznych, dostępnych mi dokumentach, dotyczących prowadzenia apteki, aktach urodzenia i zgonów, świadectwach ślubów – uzyskanych z Urzędu Stanu

Cywilnego, fotografiach i nielicznych, niestety,

opowieściach rodzinnych. Najwięcej o kolejach życiowych Dziadka, związanych z nauką zawodu i pracą, dowiedziałam się z „Formularza Regestracyjnego dla Farmaceutów”, wypełnionego własnoręcznie przez Niego 10. września 1919 r. Uzupelnieniem tego jest ankieta dla władz pisana w 1947 r. (ręką Aliny Łysakiewicz) i odbitka ksero dyplomu (nie mam niestety oryginału), wydanego w 1899 r. przez Uniwersytet Warszawski. I właśnie to, że większość danych mam z tych dokumentów wpływa na większą ilość pewnych wiadomości o życiu Dziadka niż Babcia.

Moja Babcia – Maria ze Święteckich Łysakiewiczowa – czyli po prostu Macia.

Urodziła się 3. grudnia 1879 r. w Kaliszu. Jej rodzicami byli: Anna z Mianowskich i Antoni Świętecki. Mianowscy pochodzili z Kalisza lub Kaliskiego, Święteccy z Dąbia, małego miasteczka pod Łęczycą. Pradziadkowie Święteccy dość długo mieszkali w Kaliszu. Dopiero, gdy dwaj najstarsi synowie mieli iść na studia – sprzedali dwa domy w Kaliszu, kupili dom i dość dużo ziemi pod Aninem (chyba Zastów). Młodych Święteckich było siedmioro, w kolejności starszeństwa: Stanisław (lekarz), Antoni (aptekarz o uzdolnieniach malarskich), Helena (nauczycielka), Maria, Zofia (lub Zofia, Maria), Jadwiga, Irena. Nie wiem, jakie wykształcenie otrzymała Maria. Znała francuski, grała, ładnie śpiewała, miała zdolności pedagogiczne, co przydało się jej w życiu. Miała niecałe 20 lat, gdy wyszła za mąż, za kolegę swego starszego brata Antoniego, czyli za mego Dziadka – Stefana Łysakiewicza.



Drugie zdjęcie z Czernikowa.

III/1/45

Mój Dziadek – Stefan Łysakiewicz sj. – czyli Mać.

Urodził się 27. maja 1871 r. w Lublinie. Rodzicami Jego byli: Fanna z domu Perret i Władysław sj Łysakiewiczowie. Nie wiem czym był Lublin w drodze życiowej Pradziadków Łysakiewiczów. Władysław Łysakiewicz urodził się w Tyszowcach, Fanna Perret była francuskojęzyczną Szwajcarką (może nauczycielką w polskich domach?). Długie lata ich życia były potem związane z Hrubieszowem, gdzie Władysław Łysakiewicz był urzędnikiem. Tam urodziły się kolejno ich dzieci: Władysława, Tadeusz, Józefa. W Hrubieszowie Dziadek skończył w 1887 r. czteroklasowe „Progimnazjum” o kierunku humanistycznym. Uczono tam greki, łaciny, niemieckiego; a ponieważ język rosyjski był wykładowym, a polski i francuski – rodzinnymi, ukraiński zaś językiem w Hrubieszowie „miejscowym” (tak zresztą jak i żydowski) – w chwilach humoru Dziadek śpiewał nam piosenki w różnych językach. Nie wiem, co robił od skończenia szkoły do 1. października 1889 r. Od tej daty zaczynają się praktyki uczniowskie: pół roku w aptece Różańskiego w Janowie Lubelskim oraz dwa i pół w aptece Koskowskiego w Łaszczowie (lubelskie). Potem następowały już praktyki pomocnika: około dwóch lat w aptece Sielskiego w Uściługu Wołyńskim (obecnie Ukraina) i przeszło dwa lata w aptece Duchateau w Hrubieszowie – do lipca 1896 r. W „Formularzu Regestracyjnym” następuje dwuletnia przerwa (lipiec 1896 – sierpień 1898 r.). Wprawdzie już pod koniec 1898 (19. listopada) Dziadek zdawał egzamin dyplomowy na Uniwersytecie Warszawskim na stopień prowizora farmacji, co potwierdza dokument wydany 26. lutego 1899 r. (za nr 4673), a pisana w 1947 r. ankieta wspomina o jeszcze jednej praktyce – „przed dyplomem”, wymieniając pełne lata 1897-1899 i miejsce – aptekę Lilpopa w Warszawie. W „Formularzu Regestracyjnym” od 1. sierpnia 1898 r. do 1. marca 1899 r. wymieniona jest jako miejsce pracy (już jako prowizor farmacji) apteka Wichrowskiego w Piotrkowie Trybunalskim. Potem jest apteka w Głownie pod Piotrkowem (tu już zarządza apteką) od 1.



Na odwrocie tego zdjęcia Babci było coś napisane ręką Dziadka i skrupulatnie zamazane. Pozostał tylko podpis: Twój Stefan i data 6 października 1899 r. Może tak wyglądała w dniu ślubu?

maja 1899 r. do 15. czerwca 1901 r. Na ten okres przypada już założenie rodziny. Jak do tego doszło? Jak się poznali? Otóż kolegą ze studiów Dziadka był starszy brat Babci – Antoni. Nie wiem właściwie, jak te studia wyglądały wobec tylu praktyk i to trwających prawie do dyplomu. Czy było to coś w rodzaju studiów zaocznych? W każdym bądź razie młodzi znali się dość długo, bo jak wieść rodzinna niesie (Ciocia Siasia!) Babcia długo namyślała się nad przyjęciem oświadczyn, ponawianych parokrotnie. Ciocia Siasia opowiadała mi autentyczną anegdotę, że gdy ktoś w grze towarzyskiej zapytał Babcie: „jeśli ci się tak nadarza, czemu nie chcesz aptekarza?” – odpowiedziała: „nie mam chętki na te cętki” (był podobno piegowaty, choć ja tego nie pamiętam). No, ale wreszcie zdecydowała się. Ślub ich odbył się 27. listopada 1899 r. w parafii Zerzno, gmina Wawer.

Odtąd wędrowali razem od miasta do miasta, a właściwie częściej miasteczka, i od apteki do apteki. Wkrótce przyszło na świat czworo dzieci: Władysław-Antoni, (29. sierpnia 1900 r. w Głownie), Zofia-Maria (17. listopada 1901 r.), Stefan Stanisław (21. listopada 1902 r.) i Stanisław – wszyscy w Magnuszewie.

W tym miejscu muszę wyjaśnić pewną sprawę. Wujek Janek twierdził, że dwaj synowie Dziadków zmarli w Kikole w przeciągu paru miesięcy, a Macia mówiła mi, że mały synek zmarł im w Skępem. Poszukiwania

III/1/46

prawdy zaczęłam więc od aktów zgonu, znalazłam je w Skępem i w Kikole. Z nich dowiedziałam się, że obaj (Stefan i Stanisław) urodzili się w Magnuszewie, tu jednak nie ma metryki Stanisława. Datę jego urodzin podaję więc tylko przybliżoną, na podstawie aktu zgonu (w dawnych aktach zgonu był podawany wiek zmarłego, a nie data urodzenia). Przesłano mi za to metrykę Władysława! Tłumaczę to tym, że choć Wujek Wladek na pewno urodził się w Głownie (potwierdza to akt zgonu), ale chrzczeni byli razem we troje w Magnuszewie (Władysław, Zofia, Stefan). Ich akty urodzenia mają kolejne numery: 125, 126 i 127 z 1903 r. (nie było jeszcze na świecie Stanisława).

Po trzyletnim (1901-1904) pobycie w Magnuszewie (dzierżawa apteki) parę miesięcy mieszkali w Skępem i tu 6. stycznia 1904 r. zmarł im czternastomiesięczny Stefan. Wreszcie w listopadzie 1905 r. Dziadek otrzymał od Płockiego Urzędu Lekarskiego koncesję na założenie „wiejskiej apteki w osadzie Kikół”. Kikół, niegdyś miasto, w wiekach XII-XV był siedzibą kasztelanii. Do dziś zachował się układ osady z rynkiem, z którego wybiegały ulice. Na wzgórzu nad jeziorem stoi kościół i nieco dalej piękny pałac klasycystyczny z XVIII wieku. Obecnie szosa okrąża łukiem piękne jezioro i nie przebiega przez rynek.

Z Kikółem związali się na długie lata. Tu mieszkała z nimi ciotka mojego Dziadka, Feliksa, która zmarła tam w wieku 85 lat (23. lutego 1912 r.). A z dzieci – zmarł w wieku 5-ciu lat Stanisław (16. listopada 1908 r.) i urodził się najmłodszy – Jan (9. października 1909 r.). Córka Zofia chodziła do gimnazjum we Włocławku, ale kiedy najmłodszy Jan miał pójść do gimnazjum Babcia, ze względów na kłopoty finansowe, była zmuszona przyjąć pracę w Warszawie. Dzięki Cioci Józii dostała pracę w internacie i mieszkała tam z dziećmi. Mama moja chodziła do szkoły malarskiej na Wierzbowej i na wykłady z archeologii, a Wujek Janek do gimnazjum. Nie wiem, ile lat trwał ich pobyt w Warszawie, ale przypuszczam, że kilka. Jedynym śladem, jaki znalazłam w tej sprawie, jest meldunek w dowodzie osobistym Maci z 14. lutego 1924 r. (Warszawa, ulica Nowolipki). W listopadzie 1928 r. moja Mama wyszła za mąż i po skończeniu studiów przez Ojca w 1929 r. wyjechali do Sanoka. Macia z Wujkiem Jankiem wrócili do Kikoła. Kikół był jednak niezbyt dobrym miejscem dla apteki, odległość 7 km od powiatowego Lipna była, jak na tamte czasy, zbyt mała. Wybór padł na bardziej odległe Czernikowo (23 km od Lipna).

No i wracamy w opowieści do Czernikowa. Kiedy została podjęta decyzja o budowie własnego domu, należało postarać się o fundusze na ten cel. Apteka nie dawała takich możliwości. Okoliczne dwory były zadłużone u Dziadka, który wydawał lekarstwa pracownikom majątków na podstawie „umowy” z ich właścicielami, a ci nie oddawali długów. Przypuszczam, że i inni ludzie byli coś niecoś winni, bo Dziadek nikomu nie odmawiał pomocy. Wujek Janek, już prawie 30-letni, bez obowiązków, dostał pełnomocnictwa od Rodziców i sprzedał plac w Aninie (spadek po Pradziadkach Świąteckich) oraz domek w Hrubieszowie (spadek po Pradziadkach Łysakiewiczach). Do tego dołożyła swoją część spadku Ciocia Józia.



Zdjęcie Dziadka nie ma daty, jest Jego najwcześniejszym w moich zbiorach.

III/11/48

Łysakiewiczowie



Maria (jeszcze Świątecka – 6.10.1899)



Stefan – najstarsze zdjęcie w moich zbiorach



Po przeszło czterdziestu latach (1942 rok) z córką Zofią i wnukami – Marią i Władysławem – Szulcami, którymi opiekowali się całą wojnę

Wstęp po raz drugi

11/1/48

Kiedy przed kilku laty, tzn. ok. roku 1998, pisałam wstęp do kroniki rodzinnej, miałam nadzieję, że na podstawie posiadanych dokumentów i zdjęć, a także dokładając do tego zasoby swej pamięci, napiszę szybko, sprawnie, zrobię odbitki ksero w ilości odpowiedniej do aktualnej liczby najmłodszych członków rodziny i ...osiadę na laurach. Tak się jednak nie stało. Dopóki czerpałam wiadomości o moim Dziadku - Stefanie Łysakiewiczu - z Jego dokumentów, miałam konkretne dane, dołożyłam trochę ze swej pamięci. Ale z kobietami w rodzinie jest dużo trudniej. Zarówno Babcia - Maria Łysakiewiczowa, jak i moja Mama nie gromadziły ankiet, życiorysów - nie były im one potrzebne. Po napisaniu rozdziału „Moi Dziadkowie - Maciowie-Łysakiewiczowie”, w którym zawarłam podstawowe dane o Nich, miałam zamiar napisać jak ja Ich pamiętam, co wiem ponad te suche dane z dokumentów. W tym momencie przerwałam pisanie, a przyczyniło się do tego kilka spraw, które tu pokrótce postaram się naświetlić. Właśnie kończyłam wyżej wspomniany rozdział, gdy zmarł Wujek Janek (15.03.1999). Z Jego śmiercią wiązały się nie tylko sprawy urzędowe (spadek), ale też konieczność zajęcia się schedą. Ten obowiązek przypadł w udziale mnie. W związku z tym bywałam przynajmniej parę razy w ciągu roku w Czernikowie i w czasie jednego z tych pobytów odwiedziłam Fundację Archiwum Pomorskiego AK w Toruniu. O istnieniu tej placówki wiedziałam od kilku lat, miałam jednak opory przed napisaniem do nich z pytaniem o przynależność do AK mojej Babci i Mamy. Bardzo chciałam mieć to potwierdzone przed pisaniem Ich życiorysów. Wolałam jednak pójść tam osobiście i stało się to 11.09.2001 r. Relacji złożonych osobiście nie znalazłam, zgodnie zresztą z wypowiedzią z lat pięćdziesiątych mej Mamy: „nie ujawniłam się, bo im nie wierzę”. Ta wypowiedź Mamy dotyczyła naturalnie lat bezpośrednio po wojnie, no i właściwie dalszych też (na październiku 1956 r. Mama również się zawiodła), a czasów, w których mogłaby bez obawy przyznać się do swej działalności - nie dożyła. W Archiwum Pomorskim Armii Krajowej stwierdziłam, że instytucja ta jest żywa, otwarta na wszelkie wiadomości i relacje, wydaje kolejne tomy materiałów - zarówno pozycje książkowe jak i materiały z kolejnych corocznych listopadowych sesji, poświęconych walce z okupantem, ze szczególnym uwzględnieniem roli kobiet. Właśnie na takiej sesji listopadowej w 2002 r., na którą zostałam zaproszona, jedną z osób przedstawiających swój referat był pan dr Bogdan Ziółkowski, historyk z Wyższej Szkoły Handlowej we Włocławku. Zbiera on materiały o walce podziemnej, szeroko rozumianej, na terenie Wschodnich Kujaw i Ziemi Dobrzyńskiej, na której leży Czernikowo. Zwróciłam się do niego, mając nadzieję na uzyskanie informacji u źródła, a okazało się, że to ja stałam się informatorką. Zostałam zobowiązana przez niego do napisania życiorysów nie tylko tych członków rodziny, którzy w czasie wojny mieszkali w Czernikowie, ale także wszystkich najbliższych z rodziny oraz tego, co pamiętam o znajomych z okresu okupacji, czyli ewentualnych kontaktach. Ta praca zajęła mi dość dużo czasu, w związku z tym także rozwinęły się nasze kontakty telefoniczne z panem Ziółkowskim i korespondencja, której odbitki, niestety początkowo pisane przez kalkę, mam zgromadzone i na które będę się powoływać w dalszym pisaniu o rodzinie.

Tak się złożyło, że niewiele wcześniej byłam poproszona przez panią Agnieszkę Pruszyńską, kustosza Działu Zbiorów Specjalnych przy Głównej Bibliotece Lekarskiej w Warszawie o napisanie biogramu Ojca. Przekopanie się przez wszystkie brudnopisy, notatki i ankiety czynione lekarskim charakterem pisma nie było proste, wymagało też konsultacji z wieloma osobami współpracującymi z Ojcem w Skarżysku, bo ten okres, w przeciwieństwie do służby wojskowej, nie był przez Ojca dokładnie dokumentowany. Praca dla Głównej Biblioteki Lekarskiej została zrobiona zupełnie inaczej, niż na początku zamierzałam robić kronikę rodzinną, co ze względu na adresata, jest zupełnie zrozumiałe. Włączyła się w wykonanie tej pracy moja Córka Anna i dzięki temu praca jest wydrukowana, zamieszczone zdjęcia są w kolorze i wyraźne (to nie kserokopie!). Dzięki tej pracy miałam zebrane dane o Ojcu, które zamieściłam w krótkim Jego życiorysie dla pana Bogdana Ziółkowskiego. To pociągnęło za sobą nową sprawę: Włocławskie Towarzystwo Naukowe wydaje Włocławski Słownik Biograficzny, a zastępcą przewodniczącego Komitetu Redakcyjnego jest pan Bogdan Ziółkowski. Zainteresowała go osoba mego Ojca, który był absolwentem Gimnazjum Ziemi Kujawskiej i czynnym na terenie Włocławka harcerzem. Komitet Redakcyjny W.S.B. wyznaczył kryteria, wg których kwalifikuje osoby umieszczane w słowniku -

✕ 27.11.1952
† 2.08.2009

są to z całej historii Włocławka ludzie, którzy bądź to urodzili się lub kończyli szkoły we Włocławku i zaznaczyli się swym życiem w historii Włocławka lub szerzej – w Polsce lub poza nią – bądź przybyli doń i tu działali na różnych polach. Są więc biskupi i działacze z ostatnich lat: nauczyciele, lekarze, strażacy i przedstawiciele innych zawodów. Szczególnie wiele jest osób, które swe życie poświęciło w walce o wolność Polski. Biogram mego Ojca znalazł się w 2. tomie słownika, który został wydany wiosną 2005 r. W związku z tym też miałam sporo pracy – korespondencja, wybieranie i przesyłanie potrzebnych dokumentów, korekta biogramu. Moje doświadczenie z dotychczasowej pracy nad kroniką rodzinną jest takie, że z całej masy zdjęć jakie mam, tylko niewielka część będzie wykorzystana. Na to, żeby wszystkie zdjęcia warte pokazania i opisanie zamieścić w kronice, należałoby przyjąć zupełnie odmienną metodę, a mianowicie: oryginał zdjęcia plus opis, a więc kronika w jednym egzemplarzu.

Pewnego popołudnia niedzielnego w listopadzie 2006 r.

Miałam już napisane „migawki rokitniańskie”. Zadzwoiłam do Brata z pytaniem o obrazki Mamy z 1936 roku, by uściślić pewną sprawę, o której pisałam. Rozmowa zeszła na Rokitno. Moje pytanie „jak nauczyłeś się czytać?” – i odpowiedź pokrywająca się z tym, co napisałam w „migawkach”. Zaczęliśmy drażyć temat, co pamiętamy z Rokitna. Strony świata pokrywają się w naszej pamięci. Położenie dworca kolejowego, domu Muśka, kościoła, batalionu KOP-u, miejsca za batalionem, gdzie Tata polował za żaby (też pomysł!), których udka nawet nam smakowały. Nie przypuszczałam jednak, że mój młodszy, bądź co bądź o 360 dni Brat pamięta takie rzeczy, których ja nie pamiętam, a mianowicie przejście drogi do miasteczka (Rokitna zasadniczego) pod torami, co potwierdza mapa, układ ulic za kościołem, położenie na zachód od nas bożnicy (lub domu modlitewnego), stare dęby lub park za dworcem kolejowym. Wspólnie – azalie kojarzą nam się z południowo-zachodnią stroną od naszego domu, a więc z terenem, gdzie przebiegała kolejka wąskotorowa.

Najbardziej jednak zadziwił mnie taki fenomen pamięci. Kiedy tak w rozmowie wędrowaliśmy po ulicach Rokitna i doszliśmy do bramy, za którą zaczynał się teren wojskowy, Brat powiedział, że to miejsce kojarzy Mu się ze „Starym kapralem” Stanisława Moniuszki! Nie pamiętał Murdzy, nie pamiętał tej lekcji, na której Tata uczył go tej pieśni przy akompaniamencie pani Helenki. A przecież ona mieszkała właśnie tam, przy samej bramie (to był dom dowódcy batalionu!).

Pamiętał za to maskę pośmiertną Chopina, stojącą na pianinie (zapewne właśnie u pani Helenki), czego z kolei ja nie pamiętam.

Warto wymieniać wspomnienia!

Macia

Jak Ją opisać? Jak połączyć to, co pamiętam, z tym, co teraz wiem o Jej działalności w czasie okupacji. Jej humor, dobroć, mądrość – z bezgraniczną odwagą, bo trzeba było taką mieć, by w tych okrutnych czasach należeć do organizacji podziemnej i działać. Nie pamiętam Jej takiej, jaka jest na zdjęciu z najstarszego dowodu osobistego, wydanego przez Urząd Gminy w Kikole i podpisanego przez wójta gminy – pana Wróblewskiego – dnia 23 lipca 1920 r.



Macia – 1899 r.



Mać

Według opisu w dowodzie:

„o wzroście średnim, czarnych włosach i piwnych oczach”.

Rodzina Łysakiewiczów od piętnastu lat mieszkała już w Kikole. Z okresu prawdopodobnie poprzedzającego rok 1920 mam tylko jedno zdjęcie grupowe, zrobione zapewne po przedstawieniu amatorskim. Były to czasy, gdy taka działalność kulturalna była dość powszechna w małych miejscowościach i ze wspomnień Maci wiem, że oboje występowali w przedstawieniach. Na tym zdjęciu Macia jest w stroju ludowym i oboje z Maciem mają jednakowo założone ręce. Jest też Wujek Włodek (w pierwszym rzędzie, pierwszy od lewej strony).

Rok 1920 – rok wydania dowodu Maci – to już początek niepodległości Polski, a jednocześnie wojna z bolszewikami i najstarszy, dwudziestoletni syn Władysław, już od przeszło roku jest w wojsku.

Wspominałam już poprzednio – w rozdziale o Maciu – o pobycie Maci w Warszawie. Nie wiem, ile lat pracowała w Warszawie i mieszkała wraz z dwójką dzieci – moją Mamą i Wujkiem Jankiem – na Nowolipkach. Musiały to być lata gimnazjalne Wujka Janka (urodzonego w 1909 r.), który ukończył tu ośmioklasowe gimnazjum. Jedyna data meldunku w Warszawie w dowodzie osobistym Maci to rok 1924. Do Kikoła wrócili już tylko we dwoje, tzn. Macia i Wujek Janek. Apteka w Kikole ze względu na bliskość Lipna nie dawała dostatecznego dochodu i Maciowie przenieśli się do Czernikowa w 1931 roku.

W pierwszym domu, pana Wojciechowskiego, urodziłam się ja, ale dopiero na tle drugiego domu, w którym mieszałam już na pewno w 1933 roku, widzę w pamięci Macię. Była już wtedy bardzo tęga, zupełnie siwa i tylko czarne brwi nad piwnymi oczami pozostały te same. Z tych lat, do których sięgam pamięcią, a musiały to być lata 1936-1939, pamiętam Ją zawsze uśmiechniętą, radosną, choć bardzo zajętą domem, ogrodem i gośćmi, których zawsze było pełno. Mać – cały dzień zajęty apteką – nie było nigdy żadnych wyznaczonych godzin otwarcia apteki – każdy mógł przyjść, kiedy potrzebował – był mało widoczny w domu. Rodzice z nami przyjeżdżali latem z Rokitna do Czernikowa, a z całej, bądź co bądź długiej podróży koleją, pamiętam tylko przystanki w Warszawie.

Odwiedzaliśmy wtedy wszystkich z rodziny mieszkających w stolicy – Ciocie: Józję i Władzię Łysakiewiczówny, mieszkające na ulicy Śniadeckich, na piątym i szóstym piętrze pod numerem dwudziestym trzecim i stryjków Szulców – Waclawa na Pradze, na Małej 12/8 i Tadeusza – w Radości, a także zwiedzaliśmy ogród zoologiczny i świeżo otwarte Muzeum Wojska Polskiego i inne miejsca znaczące w Warszawie, jak Grób Nieznanego Żołnierza. Potem chyba na jakiś czas zostawialiśmy bez Rodziców u Maciów, ponieważ pamiętam z tych okresów bliskość Maci.

Siadywała przy mnie długo wieczorami, gdy nie mogłam zasnąć. Nie opowiadała mi bajek. Nie wiem dlaczego, ale z dzieciństwa nie pamiętam żadnych „Grimmów” ani „Kopciuszków” i „Królewień”. Opowiadała mi ze swojego dzieciństwa o zabawach w ogrodzie, schodzącym do Prosny w Kaliszu. Nie wiem dlaczego, ale zawsze myślałam, że ten ogród był Jej dziadków, a nie rodziców, jak się wiele lat potem domyśliłam, przeczytawszy z Jej aktu zgonu, że urodziła się w Kaliszu. Myślałam, że Zastów, Anin, Wawer – to były miejsca jej najwcześniejszego dzieciństwa. Opowieści snuły się, okno pokoju sypialnianego wychodziło na zachód, na ulicę, za którą jeszcze szumiało zboże, tam, gdzie później powstał ogród. Na ulicy, często pod naszym oknem, bawiły się nasze znajome dziewczynki – Lusia, Wisia i Halinka – trzy siostry. A ja, głaszcząc wysuszoną skórę na rękach Maci, dziwiłam się jej delikatności i daremnie próbowałam zasnąć. Dnie za to były bardziej urozmaicone – był pies, lub nawet psy, był nieduży ogród, chodziliśmy też do lasu. A w dalszych latach – od 1937 – gdy trwała już budowa domu, chodziliśmy z Macią do nowego, własnego ogrodu, który był pięknie zagospodarowywany. Przy płocie z trzech stron (za wyjątkiem strony domu i podwórka), były posadzone różne krzewy, przed nimi okalała ogród alejka. Od bramy umieszczonej między orzechami, biegła szeroka alejka aż do końca ogrodu – przy niej wysokopienne krzewy porzeczek i agrestu. Przed domem były małe trawniki i duża grzęda kwiatowa, na której zawsze były sadzone astry; trochę większy trawnik był na prawo od szerokiej alejki – aż do płotu. Dwie altanki – jedna na planie kwadratu, obsadzona dzikim winem, w środku stół i ławki; druga – taka do „przysiadnięcia” - ławeczka, a nad nią konstrukcja z tyczek obrośnięta fasolą – jaśkiem.

Były jeszcze alejki poprzeczne, dzielące ogród na kwatery, obsadzone bylinami: rumiankami, ostróżkami i orlikami. Dwa maliniaki, dwa pola truskawkowe, szparagarnia i drzewa owocowe dopełniały ogród. Z urządzania ogrodu najbardziej utkwiło mi w pamięci zakładanie szparagarni – jak starannie była przygotowana do tego kwatera: cała warstwa uprawnej ziemi była zdjeta i przesiewana przez siatkę, by nie dostał się żaden kamień, szkło i kłacz perzu i koszczyki.

A pierwszy zawód związany z nowym ogrodem: na młodej gruszy wisiała jedna gruszka i gdy w dniu, w którym mieliśmy ją „komisyjnie”, rodzinnie zerwać, okazało się, że... gruszka zniknęła. W tym czasie, gdy dom był już pod dachem, miałam taką przygodę. Miałam jakiś „bardzo pilny” interes do Maci, która na piętrze malowała okna. Nie namyślałam się wiele, weszłam po drabinie na piętro. Drabina była oparta na deskach, a pod nimi – piwnica. Weszłam. Najpierw dostałam burę za wejście, a potem... bardzo bałam się zejść.

Przy budowie domu dostawaliśmy czasem coś do zrobienia od majstra, pana Jana Kozłowskiego. Kiedyś z Ninką wycinaliśmy kwadraciki z tektury, którymi zasłaniaлиśmy boczne otwory w pustakach na strop nad piwnicą. Ostatnie lato przed wojną 1939 roku spędziliśmy już w nowym domu. Była też wtedy siostra Maci, Ciocia Hela Grudzińska, która wyżywała się na nas „pedagogicznie”. Drylowaliśmy zapalkami na konfitury czerwone porzeczeki (tak, tak!), ale także uczyliśmy się śpiewać przy akompaniamencie Cioci, a potem „wystawialiśmy” we dwoje z Bratem „Halkę” Stanisława Moniuszki, nie mając pojęcia o dramatyzmie treści opery. Było to w pokoju z werandą; tapczan, na którym siedzieli „widzowie”, stał przy ścianie przeciwległej do drzwi balkonowych, gdzie była „scena”. To były ostatnie dni beztroski. Z tych lat przedwojennych pamiętam dwa przyjazdy Rodziców po nas – jeden, jeszcze w starym domu, gdy obudziłam się rano i zaspana, prawie z zamkniętymi oczyma, weszłam do pokoju stołowego, pociągnęłam nosem i powie.łziałam „Mama!”. Wywołało to trochę śmiechu, ale ja zawsze jak pies pamiętałam zapachy, związane z poszczególnymi osobami i mieszkaniami. A drugi, to pamiętny wyjazd z Czernikowa w 1939 roku. W lipcu Rodzice przeprowadzali się z Rokitna do Warszawy i pod koniec sierpnia jechaliśmy pociągiem, którym jechali zmobilizowani do wojska. Bardzo pamiętna droga, tak jak i najbliższe po niej dni. Opuszczając wtedy Maciów nie wiedziałam, że już wkrótce wrócę do Nich i będziemy razem przez następne dziewięć lat. Mieliśmy przecież mieszkać w Warszawie, byłam już zapisana do szkoły, do drugiej klasy. Ale o tym napiszę później – o latach wojny będę już pisać razem o Maci, Maciu i Mamie. Teraz napiszę o Mamie, by potem połączyć losy naszej wojennej piątki.

Nasza Mama

11/1/52 (11)

Na wstępie muszę wyjaśnić sprawę daty Jej urodzenia. Przez wiele lat był podawany rok 1904, gdy w rzeczywistości urodziła się trzy lata wcześniej. Prawdziwa data występowała w podstawowych zapisach – akcie urodzenia i świadectwie ślubu. Ustnie – podawano 1904 r. Nie było to fałszerstwo czasów wojny, ponieważ odmłodzenie w tym czasie nie mogło przynieść korzyści. Sprawa ciągnęła się na pewno od czasów szkolnych i miała związek z wiekiem sympatii i późniejszego męża – mego Ojca, który urodził się w 1904 r., a przecież w tych czasach mąż powinien być starszy. No to niech przynajmniej będzie równolatką. Była niska, drobna, mogła uchodzić za młodszą. Jednak na zdjęciu ze szkolnych lat widać różnicę wieku. To zdjęcie pokazałam Cioci Siasi, która na to powiedziała: „tak, wszyscy wiedzieliśmy, że Kaziczek jest młodszy”. Nie mam żadnego dokumentu Mamy z datą urodzenia. Z okresu przedwojennego zachowała się legitymacja Członkini Rodziny Wojskowej, a z czasów wojny – fragment dokumentu (Personalausweis) wprowadzicie z fotografią, ale bez strony z danymi personalnymi. I tak zostało aż do Jej śmierci; akt zgonu został wypisany wg dowodu osobistego, na grobie też widnieje data 1904 i dopiero w związku ze sprawą spadkową Czernikowa musiałam tę nieścisłość wyjaśnić i wyprostować.

Ta różnica wieku zmusiła Ją do długiego czekania na małżeństwo, bo Ojciec jako student szkoły Podchorążych Sanitarnych nie miał prawa żenić się. Ślub zawarty na pół roku przed dyplomem okupił „paką” w forcie toruńskim.

Niestety skłonność do siwienia odziedziczona po Matce, dała bardzo wcześnie znać o sobie. Mama mówiła mi, że gdy miała 18 lat (21?), sprzeczący się konduktorzy w warszawskim tramwaju zwrócili się (może żartem) do Niej: „pani starsza, niech pani rozsądzi”.

Początki dzieciństwa Mamy łączą się z cygańskim życiem rodziny, aż do osiedlenia się w Kikole, w 1905 roku. Urodziła się w Magnuszewie, 17 listopada 1901 roku. W tym czasie ojciec Jej – Stefan Łysakiewicz, wędrował od apteki do apteki. Tym razem była to apteka w Magnuszewie. Tylko w jednym brudnopisie ankiety, pisanym ręką ciotki Aliny w 1947 r. wymieniona jest jako „apтека Rudnickiego”, ale to na pewno ta sama apteka, którą potem przez lata miał Antoni Świątecki, kolega ze studiów i szwagier Stefana Łysakiewicza. W Magnuszewie (jak już o tym pisałam) urodziło się troje dzieci: Zofia Maria, Stefan i Stanisław. Władysław urodził się w 1900 r. na poprzednim „postoju aptecznym” w Głównie pod Piotrkowem Trybunalskim. W Magnuszewie zostało ochrzczonych troje: Władysław, Zofia i Stefan i to najpewniej jednego dnia, ponieważ ich akty urodzenia (chrztu) są pod kolejnymi numerami: 125, 126 i 127 z 1903r. „Dzięki temu” Władysławowi zmieniono miejsce urodzenia z Główna na Magnuszew, a aktu urodzenia Stanisława w ogóle nie ma, bo zapewne nie było go jeszcze na świecie w dniu chrzcina starszego rodzeństwa. Po Magnuszewie Łysakiewiczowie mieszkali jeszcze krótko w Skępem, gdzie w 1904 r. zmarł im synek Stefan, a od listopada 1905 r. – w Kikole.

Jak przebiegała początkowa nauka Mamy w Kikole? Nie wiem. Mogę się tylko domyślać, że mógł ich oboje – Mamę i Wujka Władka – uczyć pan Ludwik Jaworski, nauczyciel pochodzący spod Kikoła (z Walencina). Był on przez lata wspominany przez Mamę i całą rodzinę, a z jego młodszym bratem i bratową, też nauczycielami i harcerzami – Damazym i Stanisławą (z domu Tykarską) - łączyły moją Mamę długotrwałe związki przyjaźni. Ludwik Jaworski przeżył wojnę i po wojnie uczył w szkole w Augustowie, wychowując trójkę dzieci Stanisławy i Damazego, którzy oboje zostali zamordowani przez Niemców. Imię Stanisławy Jaworskiej nosi szkoła na Wrzosach w Toruniu.

Do gimnazjum Mama chodziła we Włocławku. Okres pierwszej wojny światowej wypadł na Jej wiek gimnazjalny (13 – 17 lat). Włocławek przeszedł spod zaboru rosyjskiego pod władzę Prusaków i nauka w gimnazjach odbywała się względnie normalnie (wiem, że Ojciec nasz chodził w tym czasie do gimnazjum i w latach 1915 – 1922 przeszedł od klasy drugiej do ósmej), ale czy Mama cały czas w okresie wojny chodziła do gimnazjum, tego nie wiem. Jedyna pewna data Jej bytności we Włocławku widnieje na laurce wykonanej przez Nią dla „Pradziadka” Rodziny Harcerskiej – 20.07.1922 roku.

A które to było gimnazjum? W tych latach we Włocławku były następujące gimnazja żeńskie:

- 1) Założona w 1876 r. przez Aleksandrę Aspisową czteroklasowa szkoła żeńska, która od 1910 roku była już siedmioklasową, a od 1918 – przekształciła się w ośmioklasowe Gimnazjum Realne o typie matematyczno-przyrodniczym. W roku 1920 opuściło to gimnazjum pierwszych piętnaście maturzystek.
- 2) Założone przez biskupa włocławskiego Stanisława Zdzitowieckiego prywatne, katolickie Gimnazjum żeńskie typu humanistycznego, pod dyrekcją Janiny Steinbokówny, któremu również przybywało starszych klas – od czterech w 1916 roku, aż do ośmiu.
(Postać Janiny Steinbokówny jest umieszczona we Włocławskim Słowniku Biograficznym, w drugim tomie, wydany w 2005 roku).
- 3) Działające od 1918 roku, a założone przez Spółdzielcze Stowarzyszenie Szkolne, Gimnazjum żeńskie, które od 1921 roku zostało przekształcone na Gimnazjum Państwowe Żeńskie im Marii Konopnickiej (typu humanistycznego).

Wiadomości o włocławskich gimnazjach żeńskich zaczerpnęłam z Monografii Włocławka ks. dr Michała Morawskiego, profesora Seminarium Duchownego we Włocławku, wydanej w 1933 roku. W którymś z tych gimnazjów Mama zdała maturę, niestety jak na razie nie wiem w którym i kiedy. A jaka była kolejność nauki pomaturalnej czy studiów Mamy? Po przejrzeniu tych nielicznych ocalałych książek i notatek Mamy dochodzę do wniosku, że pierwszą szkołą po maturze była szkoła malarska, a potem były studia uniwersyteckie na Wolnej Wszechnicy Polskiej lub również na Uniwersytecie Warszawskim. O szkole „Malarskiej na Wierzbowej” lub po prostu „na Wierzbowej” mówiło się nieraz, ale dopiero od pana Bogdana Ziółkowskiego dowiedziałam się i tak to jest napisane w biogramie Ojca we Włocławskim Słowniku Biograficznym, że była to „Miejska Szkoła Sztuk Zdobniczych”. Jednym z wykładowców tej szkoły był Stanisław Noakowski, wspomniany i podziwiany przez Mamę za perfekcję rysunku. Ponieważ rysował na tablicy, a następnie ścierał te rysunki, więc studenci podstawiali mu kartony i węgiel, by nic nie uронić z jego sztuki.

Przypuszczam, że Mama przeszła wszystkie „nauki” w tej szkole, bo zdolności i zamiłowanie w tym kierunku miała niewątpliwie, ale z pewnej wypowiedzi Ojca mogę wnosić, że nie zakończyła tej szkoły dyplomem, ponieważ jakiś kolega po prostu ukradł Jej prace. Nie wyobrażam sobie, znając Jej charakter, by mogła dochodzić swego; po prostu wolała się wycofać. W warszawskim mieszkaniu nie ocalało nic z prac Mamy z tej szkoły. W Czernikowie przechowały się drobne przedmioty z drewna (pudełko i obejmy na serwetki).

Studia uniwersyteckie były zapewne po „szkole malarskiej”, bo choć niektóre zachowane książki Mamy były wydane w latach 1922-1926, ale są też i z roku 1927, a notatki, które mówią więcej, datowane są od października 1927 roku do listopada 1929!

Są to notatki z archeologii i opracowania wykładów lub tłumaczenia z języka francuskiego (z dziedziny archeologii) z powoływaniem się na profesorów, których książki, w języku francuskim, były Mamy własnością. Zwłaszcza jedna – „Éléments de préhistoire” D. Peyrony’ego (elementy prehistorii – tłum. M. K.) – podpisana ręką Mamy: „własność Zofii Łysakiewiczówny” – ma na wszystkich marginesach wypisane słówka w tłumaczeniu na język polski – była na pewno studiowana.

Drugą ciekawą pozycją w języku francuskim jest Georges’a Goury’ego „Origine et Évolution de l’Homo (pochodzenie i ewolucja człowieka – tłum. M.K.). Obydwie książki są pięknie ilustrowane rysunkami. Ocalałe książki nie były widocznie łakomym kąskiem dla złodziei, którzy po Powstaniu Warszawskim i opuszczeniu naszego mieszkania na Bałuckiego przez Wujka Władka, grabili mieszkanie.

Nie wiem jednak, gdzie Mama mogła słuchać wykładów z archeologii i chodzić na ćwiczenia (są w notatkach), bowiem nie wiem, czy archeologia była na Wolnej Wszechnicy Polskiej czy na Uniwersytecie Warszawskim. Na Wszechnicy zaś prawdopodobnie słuchała wykładów z historii gospodarczej, bowiem właśnie tam prowadziła je w latach 1918-1939 profesor Natalia Gąsiorowska, której książka „Górnictwo i hutnictwo w Królestwie Polskim 1815-1830” (pisownia wydania 1922r) – zachowała się w Warszawie.

11/1/54 (13)

„Listopad 1929” – to ostatnia data w notatkach Mamy, które są w moich rękach. To wcale nie znaczy, że potem nie chodziła już na wykłady. Wprawdzie ślub naszych Rodziców odbył się w Warszawie w dniu 28 listopada 1928 roku, ale do wspólnego wyjazdu do Sanoka upłynęło jeszcze trochę czasu. W roku 1929 Ojciec zakończył studia egzaminem dyplomowym w czerwcu i oficerskim w sierpniu. Od 1.10.1929 roku aż do końca 1930 roku był na stażu szpitalnym w Warszawie. Rodzice w tym czasie mieszkali na ulicy Pięknej. Pobyt w Sanoku nie był długi – tylko do listopada 1931 roku. Zachowało się tylko jedno zdjęcie z Sanoka – moi Rodzice w ogródku przy domku z trzema paniami, jak się mogą domyślać koleżankami, które przyjechały odwiedzić Ich na pierwszym miejscu pracy Ojca. Od mego Brata wiem, że Ojciec pokazywał Mu w Sanoku dwa domy, w których wówczas mieszkali.

Potem była przeprowadzka do Staszowa i tu Rodzice osiedli na przeszło trzy lata, w czasie których urodziliśmy się oboje z Bratem, choć nie oboje w Staszowie. Naturalnie ze Staszowa nie pamiętam nic i dopiero pobyt w Rokitnie (woj. wołyńskie), który zaczął się z początkiem 1935 roku i trwał aż do wojny, jawi się w mojej pamięci.

Mama w Rokitnie. Co robiła? Czym się interesowała? Miała nas, dwoje małych dzieci. Wprawdzie istniała w wojsku „instytucja” ordynansa, przysługującego oficerowi, ale nie przypuszczam, by mógł on w domu spełniać wszystkie role, był tylko pomocnikiem. Dom był przecież bez kanalizacji, bez wody, ogrzewany piecami. Mama miała więc dom, dzieci, trochę życia towarzyskiego i działalności w „Rodzinie Wojskowej”. Ale oprócz tego zainteresowała się oryginalnym miejscowym haftem i wykonała w tej technice sporo przedmiotów. Pamiętam wykonane przez Mamę poduszki, okładki na albumy ze zdjęciami i piękny kostium Mamy – wszystko wyszywane haftem poleskim (jest to haft krzyżykowy, czarno-czerwony na szarym, lnianym płótnie).

Nie wiem czy Mama w Rokitnie malowała, czy miała na to czas i odpowiednie warunki. Z tych lat zachowały się tylko dwie prace, datowane bardzo dokładnie: z 18.07.1936 roku i z 19.07.1936 roku. Pierwsza to akwarela, oznaczona w moim zbiorze rysunków i obrazków Mamy jako 29.jpg.

Oryginał – zniszczony, brak górnej części rysunku – znajduje się u mego Brata i przedstawia chałupę z dobudowaną częścią gospodarczą. Nie ma żadnego napisu, gdzie to było malowane. Brat nie pamięta, skąd u Niego znalazł się ten obrazek, ani w jakim miejscu przetrwał wojnę. Druga – to kolorowa kserokopia obrazka, który Mama podarowała Cioci Siasi, czyli swej ciotecznej siostrze. Oryginał został ukradziony z domu Cioci przy ulicy Antenowej w Warszawie, a została tylko ta kopia. Obrazek, sądząc z tematu, mógł być namalowany w okolicach Rokitna.

Oprócz spraw domowych i artystycznych Mama zaangażowała się, tak jak wiele młodych kobiet w Polsce w tych latach, w przygotowanie na wypadek wojny. Dla nas objawiało się to wspólnymi wyprawami na strzelnicę, która znajdowała się na terenie batalionu. Mama strzelała bardzo dobrze, miała własny, mały pistolet. Czy oprócz strzelania brała udział w jakichś innych szkoleniach (sanitarnych?) – nie wiem. Z nadciągającą wojną Rodzice liczyli się i mówili o niej przy nas – byliśmy już wtedy świadomi tego, co może się wydarzyć, choć nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, co rzeczywiście nas czeka.

Lato 1939 roku, my, dzieci, spędziliśmy w Czernikowie, po raz pierwszy w nowym domu Maciów. W tym czasie Rodzice przeprowadzili się do Warszawy na ulicę Bałuckiego na Mokotowie.

Pistolet Mamy znalazł się także w Warszawie, ale nie służył Jej w czasie okupacji, choć Mama według słów Wujka Janka bardzo wcześnie w 1939 roku została zwerbowana do „organizacji podziemnej”. Wujek Janek mówił mi w latach 90. że Mama musiała pozbyć się pistoletu. W listopadzie 1939 roku przyjechał do nas do Warszawy Mać, by nas zabrać do Czernikowa.

Pojechaliśmy we czworo, ale Mama niedługo wróciła do Warszawy i była tam jeszcze do początku stycznia 1940 roku (m. in. była jeszcze na pogrzebie Stryjka Józika Szulca, który zmarł 10 stycznia 1940 r.)

Jaka to była „organizacja podziemna” o której mówił Wujek Janek? Kiedy w latach 50. zapytałam Mamę czy „należała” – odpowiedziała: „tak, ale się po wojnie nie ujawniłam, bo im nie wierzę”. Nie ujawniła się, nie spisała żadnych wspomnień, nie przekazała niczego nikomu. Dopiero rozszyfrowanie organizacji podziemnej na terenie powiatu lipnowskiego (szerzej Kujaw Wschodnich i Ziemi Dobrzyńskiej) przez historyka z Wyższej Szkoły Handlowej we Włocławku, pana dr Bogdana Ziółkowskiego i moje z nim kontakty od 2002 roku, pozwoliły na sprecyzowanie

przynależności Mamy: „żołnierz KOP i WSK AK Obwodu Lipno w Inspektoracie Włocławek” (jak podaje wyżej wspomniany Włocławski Słownik Biograficzny – str. 181). Muszę tu rozszyfrować skróty: KOP – Komenda Obrońców Polski; WSK – Wojskowa Służba Kobiet; AK – Armia Krajowa (ten chyba wszystkim znany).

Wraz z wybuchem wojny skończyło się wiele spraw, skończyło się nasze prawdziwe dzieciństwo. Może więc warto coś o nim wspomnieć, by okres wojny, jego warunki życia i okropności miały się do czego odnieść, z czym porównać.

Nasze dzieciństwo

Polesie

tango 1939 r.

Słowa i muzyka: Jerzy Artur Kostecki

*Pośród łąk, lasów i wód toni,
w ciągłej, pustej życia pogoni
żyje posepny lud.*

*Brzęczą much roje nad bagnami,
skrzypi jadący wóz czasami
poprzez grząską rzekę w bród.*

*Czasem ozwie się gdzieś łosia ryk
albo w gąszczu dziki głuszcza krzyk
i znów cisza tak niewzruszona,
dusza śni pustką rozmarzona piękny o Polesiu sen...*

*Polesia czar to dzikie knieje, moczary,
Polesia czar smętny to wichrów jęk.
Gdy w mroczną noc z bagien wstają opary,
serce me drży, dziwny ogarnia lęk
i słysz, jak w głębi wód jakaś skarga się miota,
serca prostota wierzy w Polesia cud.*

*Tam, gdzie sędziwe szumią lasy,
kiedyś ujrzałem pełen krasny
cudny Polesia kwiat.
Słońko jaśniejszym mi się zdało,
wszystko w krąg nas się radowało,
śmiał się do nas cały świat.*

*Próżno mi o tobie, dziewczę, śnić,
próżno w żalu i tęsknocie żyć.
Nie wrócą chwile szczęścia niewysłowione,
drzemią wspomnienia pogrążone
w mrokach poleskich kniej.*

Polesia czar...

Naturalnie nie pamiętam Staszowa, z którego wyprowadziliśmy się w styczniu 1935 r. Dla mnie dom rodzinny zaczyna się w Rokitnie. Spójrzmy na mapę. Rokitno – małe miasteczko na niewielkim podniesieniu terenu, dookoła którego na słabo zadrzewionych łąkach widać dużo bagien. Na południe od miasteczka przebiega linia kolejowa, od zachodu z powiatowych Sarn, biegnąc na wschód do ostatniego polskiego przystanku przed granicą – Ostek. Na południe od Rokitna odchodzi linia kolejki wąskotorowej, która od Ostek biegnie na północ, wzdłuż granicy. Ja na swym szkicu narysowałam stację od strony północnej. Nie jest to błąd, bowiem osiedle wojskowe i batalion KOP-u były położone na południe od linii kolejowej. Na mapie jest to zaznaczone jako teren z pojedynczymi domami i kościołem. I tak było. Możliwe, że w miasteczku nie było kościoła, była pewno bożnica, a cerkwi, którą pamiętam, nie umiem umiejscowić. Pamiętam tylko, jakie wrażenie zrobiło na mnie pełne złoceń wnętrze cerkwi. Nasze osiedle było prawdopodobnie zbudowane specjalnie dla rodzin wojskowych i instytucji im służących (kościół, kino, przychodnia lekarska, pewno też szkoła, ale ta nie obchodziła mnie jeszcze). Domy drewniane, parterowe z werandami, nie były wprawdzie jednakowe, ale mniej więcej w tym samym stylu. W takim domu naprzeciwko nas mieszkał Musiek, syn oficera, gdzieś dalej za kościołem – kapitan Ścigaj z żoną (bezdietne małżeństwo), bliżej batalionu, pułkownik (lub podpułkownik) Marcei Kotarba z żoną – Heleną. To, że było to osiedle rodzin wojskowych nie znaczy, że było zamkniętą enklawą – na przykład naprzeciwko naszego domu miał piekarnię Żyd, do którego chodziło się po bajgele.

Półowa dużego domu, który dzieliliśmy z „panią dentystką” była dostatecznie dużym, czteropokojowym mieszkaniem. Były do niego aż cztery wejścia – dwa od frontu: z sieni pośrodku domu (nieużywane) i drugie, przez oszkloną werandę, która była wzdłuż szczytu domu – na nią wychodziło jedno z okien pokoju sypialnianego Rodziców. Dwa wejścia od podwórka: na werandę i drugie zadaszone wspólnie z wejściem „pani dentystki”, prowadzące przez sień do kuchni. Z boku sieni była jakaś komórka, którą pamiętam dlatego, że kiedyś tam Tata złapał mysz i... prędko ją puścił – mysz miała bardzo ostre ząbki. Z kuchni było wejście do pomieszczenia ze schodami na strych. Tam stała szafka na buty i pasty do butów, którą pamiętam dlatego, że stamtąd wyciągnął Dzidek czarną pastę, którą zrobił się „na murzyna” w jakiejś zabawie podczas nieobecności Rodziców. Był z nami ordynans, który zajęty rozmową z jakimś swoim kolegą, nie zauważył naszych poczynań. Wiele potem było płaczu przy doprowadzaniu Dzidka do wyglądu „białego człowieka”.

Układ mieszkania i rozstawienie mebli pamiętam doskonale. Kredens w pokoju stołowym zastawiał nieużywane drzwi od frontowej sieni; pomiędzy oknami stała szafka z radiem (dzięki temu ją pamiętam), stół i krzesła – na środku pokoju. W gabinecie Taty oprócz biurka i biblioteczki stał duży tapczan, nad którym wisiał ten kilim, który jest na zdjęciu podpisanym „Mysieńka, 6 X 1932” – bardzo ładny w kolorze, wełniany kilim – chyba wileński, w fantazyjne trójkąty. W pokoju sypialnianym Rodziców stała szafa (ta jasna, jesionowa) i tapczany. W pokoju dzieciennym nasze łóżka (nad moim wisiała mapa fizyczna Polski, po której jeździłam), szafka i kąpiel do mycia. Łazierki, jak widać – nie było. Z tych wszystkich rzeczy, które potem przyjechały do warszawskiego mieszkania, ocalały: biurko (pokaleczone odłamkami), biblioteczka, kredens, szafa, dwie małe szafeczki i ludowa skrzynia. Nie wiem, czy we wszystkich pokojach były piece – jeśli tak, to wszystkie w rogach pokoi. Drzwi między pokojami były tak umieszczone (blisko pieców), że można się było gonić dookoła mieszkania.

Jakie wspomnienia łączą mi się z Rokitnem? Największą atrakcją dla nas dzieci, było pójście z Tata do „wojska” – na teren batalionu KOP-u. Na pewno nie chodziliśmy tam często, ale pamiętam próby chóru i orkiestry wojskowej, które prowadził Tata. Bywaliśmy też czasem na kontroli jakości obiadu dla żołnierzy. Tata uczył kucharzy gotować nie tylko zdrowo, ale i smacznie. Ja byłam wiecznym niejadkiem, ale Dzidek z przyjemnością degustował wojskowe jedzenie. Tak zresztą jak i tę żołnierską kawę – „chojeja, dobją kawa”. Do batalionu chodziliśmy też przy innych okazjach, np. z Mamą na strzelnicę. Mama miała mały pistolet i bardzo dobre „oko” – świetnie strzelała. Myślę, że mogło to być związane z ogólnopolskim przygotowaniem kobiet na wypadek wojny, z którą już w późnych latach trzydziestych poważnie się liczone. Zresztą, na nadciągającą wojnę przygotowywano także nas, dzieci, oswajano nas z myślą o tym, co może nastąpić.



My oboje



Ja z panią Władysławą Żelechowską

III/1/58 (17)

W Rokitnie mieszkaliśmy przeszło cztery lata. A jakie zdarzenia i osoby pamiętam jeszcze z tych lat? Są to „migawki” związane z poszczególnymi osobami lub zdarzeniami, których jednak nie mogę dokładnie osadzić w czasie. Wyjątek stanowi rok 1939 – był bardzo znamieny z racji wybuchu wojny i moich osobistych przeżyć.

Dlatego nie będę się silić na jakieś porządkowanie w czasie moich wspomnień rokitniańskich. Po prostu opiszę je w postaci oderwanych od siebie „migawek”.

Jak nauczyliśmy się czytać?

Był rok 1936, wojna domowa w Hiszpanii. Tata siedzi przy stole, tyłem do okien i czyta gazetę. Ja na kolanach Taty. Pewno męczyłam o kolejne litery, ale dość szybko nauczyłam się czytać. Pisałam początkowo naturalnie drukowanymi literami i taki jedyny dowód moich umiejętności zachował się u „Pradziadków” - życzenia imieninowe pisane przeze mnie do „Pradziadkowej” (1.04.1936 r.) – jeszcze drukowanymi literami. Ale już niedługo nauczyłam się pisać „normalnie” i taki ślad mojej „twórczości” przez długie lata widniał na drzwiach ubikacji w Czernikowie – napisałam „haha” – a było to echem zasłyszanych wiadomości, a samo brzmienie słowa śmieszyło mnie i dlatego je uwieczniłam (Emil Hacha – prezydent Czechosłowacji po układzie monachijskim 1938 roku; w 1939 r. przekazał pełnię władzy w ręce Hitlera – wg encyklopedii PWN 1991 r.).

Lekcje czytania Dzidka zapamiętałam tak: leży z tomem „Wiedzy o Polsce” (księga ogromnego formatu, ciężka) i ogląda rysunki i zdjęcia z końmi i żołnierzami. Potrzebuje przeczytać podpis pod zdjęciem. Robi więc zakładkę z poduszki z tapczanu i wędruje do Mamy. Potem wraca na tapczan. Może to się powtarzało, a może brakowało tylko jakiejś litery?

A co czytaliśmy? Zupełnie nie pamiętam bajek. Pamiętam „Płomyczki” (był taki numer poświęcony Łodzi – ilustracją miasta był rysunek w kolorze sepii – las dymiących kominów). Pamiętam „Legendy o kwiatach” - ilustrowaną niezapomnianymi rysunkami, pamiętam „Pyzę”. Rodzice również czytali nam trochę trudniejsze książki, jak np. reportaże Melchiora Wańkowicza i „Serce” Amicisa.

Kino

Jak już wspomniałam, w Rokitnie było kino. Może bywaliśmy tam częściej, ale ja pamiętam, że bywaliśmy na amerykańskich filmach z dziecięcą gwiazdą tamtych czasów „Szyrlejką” (Jane Shirley). Zapamiętałam też polską komedię, w której była piosenka ze słowami: „ach, jak przyjemnie kołysać się wśród fal, gdy szumi, szumi woda i płynie sobie w dal”. Podchwyciliśmy tę melodię i przydała nam się podczas bombardowania Warszawy – o czym później.

Przychodnia lekarska

Nie wiem, czy było to dla Taty jedyne miejsce działalności lekarskiej, czy punkt umieszczony poza granicami batalionu, by mogli z niego korzystać cywile.

Kiedyś Tata zabrał mnie ze sobą, żebym była obecna przy zmianie opatrunku na rączce małej dziewczynki – poleszczanki, której starszy brat nadciął siekierą palce dłoni, gdy podkładała mu drewno do rąbania. Dziewczynka miała szyte wszystkie paluszki i nawet nie pisnęła przy tej operacji. Również dzielnie zachowywała się podczas zmieniania opatrunków.

Nasza choinka

Nie asystowaliśmy przy ubieraniu choinki. Była spodziewanym, ale zawsze na nowo zaskakującym objawieniem. Otwierały się drzwi między pokojem stołowym i gabinetem Taty, a tam na środku stała ona. Olbrzymia, cała pięknie ubrana cudeńkami robionymi przez Mamę. Były tam dzbanuszki z wydmuszek jajek, ozdobione kolorowymi papierami we wzory greckie, kwiatowe i inne; były też zwierzaczki z wydmuszek i inne fantazyjne zabawki z pudełek po zapalkach, słomy, błyszczących koralików; były „języki” z bibułki i dużo, dużo różnych łańcuchów. Nie było kupnych, błyszczących bombek, a mimo to choinka była urocza. I zapewne zawsze coś pod nią znajdowaliśmy dla siebie.

Cerkiew

Musiała być piękna, z mnóstwem ikon, złocona. Wyprawa do niej, jej wnętrze, zrobiły na mnie niezatarte wrażenie.

Z wizytą u znajomych dzieci

W naszym domu stała już od paru dni choinka, a tu jako atrakcję u znajomych zaproponowano nam robienie zabawek na choinkę, która miała dopiero być za kilka dni. Trochę trudno było mi wtedy zrozumieć, że nie wszyscy obchodzą Boże Narodzenie w tym samym terminie.

Ścigajowie i piorun kulisty

Państwo Ścigajowie mieszkali w podobnym do naszego, parterowym domu. Opowiadali nam o swojej przygodzie z piorunem kulistym, który spadł z lampy przed nosem kapitana Ścigaja na stół, następnie wpadł do kredensu, potłukł pełne słoiki (puste ominął), osmalił sztućce, przebiegł przez sąsiedni pokój i w trzecim wpadł do mysiej dziury pod łóżkiem, na którym leżała pani Ścigajowa i tak zakończył swój występ.

Osiótek na służbie wojskowej

Na służbie w batalionie KOP-u był osiótek, który woził towary ze stacji kolejowej. Osiótek uważał, że jeżeli towaru jest za dużo, to trzeba ciągnąć powoli, z trudem. Kiedyś jednak miał załadowaną ogromną górę pustych skrzynek – obejrzał się na wózek i ... w żaden sposób nie mógł ruszyć.

Kolejka wąskotorowa i azalie

Linia kolejki wąskotorowej na południe od Rokitna przebiegała przez mokradła, na których rosły nieprzebrane ilości krzewów azalii. W maju, w porze kwitnienia azalii, ich zapach był tak intensywny, że podobno kiedyś odurzył maszynistę kolejki. Nie wiem, czy to było możliwe, byśmy kiedyś jechali tą kolejką (mogła być tylko towarowa), ale azalie i ich zapach tak zapamiętałam, że kiedy w maju 1949 roku znalazłam je w ogrodzie botanicznym w Krakowie, uklęknęłam na ziemi, żeby nawąchać się tego, z dawna zapamiętanego, zapachu. Azalia (rózaniecznik, rododendron) – znana jest bywalcom ogrodów botanicznych. Te dzikie, rosnące na Polesiu, były skromne w kształcie i w kolorach – od jasnożółtego do pomarańczowego – ale ich zapach był oszałamiający. Teraz a terenie Polski mamy rezerwat dzikiej azalii pontyjskiej koło Leżajska.

Nasze zabawy – Musiek

Były jakieś zabawy na naszym podwórku – takie zwykłe zabawy dziecinne: w szkołę, w wojsko. Zdarzył się jednak kiedyś incydent z wybitą szybą przy zabawie piłką w domu za naszym ogrodem. Było więc szkienie i przeprosiny. Dzieci była gromada, ale ze wszystkich ich pamiętam tylko Muśka. Był naszym bliskim sąsiadem, synem oficera, jedynakiem i chyba nieco rozpuszczonym jedynakiem, pewnym siebie i bardzo energicznym. Mamy go na zdjęciu z terenem batalionu – przy „czarnej żołnierskiej”.

Bawiliśmy się naturalnie i we dwoje w domu, nawet czasem zgodnie. Nie mieliśmy wielu zabawek – miś, lalka – reszta to pomysły jak np. urządzenie domu pod stołem, skąd doszło kiedyś do uszu Rodziców moje zarządzenie: „mężu, umyj nogi” – co mi przez wiele lat przypominano. Były i gorsze pomysły, jak ten wspomniany już przeze mnie, zrobienia się „na murzyna” przez Dzikę. Dzikowi dużo czasu zajmowało rysowanie. Tata robił Mu z papieru pakunkowego duże zeszyty, a On wypełniał je scenami bitew – naturalnie konnic i husarii. Wszystko to było rysowane jedną kreską – maleńkie konie, rycerze, zawsze dobrze uchwycone w ruchu. Dopiero w późniejszych latach koń stał się dla Niego modelem – nabrał „ciała”.

Ja niestety byłam zawsze „noga” do rysunków i nigdy poza domek z ogródkiem i las na horyzoncie nie wyszłam.

Murdza

Tyle nazwisk zapomniałam w ciągu mego życia, a to pamiętam: Murdza. Tak nazywał się żołnierz obdarzony pięknym barytonem, którego Tata uczył pieśni „Stary Kapral” Stanisława Moniuszki. Akompaniowała pani Helunia, a działało się to w domu państwa Kotarbów, dokąd Tata zabrał nas ze sobą.

Polowanie na żaby

Skąd nagle przyszła ochota na spróbowanie francuskiego przysmaku – udek żabich? Nie wiem, dość, że Tata zabrał nas na bagna, czy jakąś większą wodę za terenem batalionu i polował na żaby. Widocznie było ich co niemiara, bo smak żabich udek pamiętam (między rybą a kurczakiem). Nigdy więcej nie jadłam tego przysmaku.

Niefortunna kąpiel

Byliśmy kiedyś z kimś znajomym i innymi dziećmi nad rzeczką – tak gdzieś blisko torów, na wschód od naszego osiedla. Czy woda była bardzo zimna, czy zdecydowała o tym moja wrażliwość na zimno – dość, że tak okrutnie zmarzły mi nogi i ręce, że z przerażeniem zobaczyłam swe zupełnie sine dłonie. Może to wpłynęło na to, że nigdy nie „paliłam się” do nauki pływania, a i kąpiel w zimnej wodzie nie była mi miła.

Rok 1939

Moja choroba

Zimą 1939 roku bardzo długo chorowałam – było to zapalenie płuc i jednocześnie zapalenie ucha środkowego. Było więc bardzo długie leżenie, jakieś zastrzyki (nie były to jednak antybiotyki, których wówczas jeszcze nie było) i bolesne zabiegi usuwania ropy z uszu. Do tych „operacji” Tata sadzał mnie na stole pod lampą. A w nagrodę za „dzielność” w czasie tych zabiegów dostałam „Pyzę”. Książka małego formatu, na każdej stronie jedna zwrotka wiersza i ilustrujący ją obrazek.

Pyza zaczynała się tak:

Mazowiecka gospodyni
W wielkiej misie ciasto czyni
Zaczyniła, rozrobiła
Z ciasta pyzy ulepiła
Aż tu powiał silny wiatr
Od gór polskich, chmurnych Tatr
Drzewa przed chałupą zgiął
Pyzy ze stolnicy zdął
A jedna pyza, pyza pyzata
W mig się stoczyła na łąki w kwiatach
itd., itd.

(cytowane z pamięci)

Pyza wędrowała po przedwojennej Polsce, więc po wojnie wyszła okrojona o Wilno i Lwów, dopiero po 1989 roku doczekała się pełnego wydania. Moja „Pyza”.

Po tej chorobie na zawsze zapamiętałam uczucie, jakie się ma przy zapaleniu płuc i zawsze je u siebie rozpoznawałam. Zostały mi także na całe życie wrażliwe na zimno i wiatr uszy. To po tej właśnie chorobie jest zrobione zdjęcie „pierwszy spacer po chorobie”.

Trzy słońca

Był chyba luty 1939 roku. Mróz był tęgi, ale dzień był piękny, słoneczny. Na niebie w pewnym momencie pokazały się „trzy słońca”. Nie wiem, jak długo trwało to zjawisko. Ludzie mówili: „będzie wojna”.

Lekcje gry na pianinie

Wiosną 1939 roku zaczęłam się uczyć grać na pianinie. Uczyła mnie pani Helunia (tak ją nazywano) Kotarba – żona dowódcy batalionu. Moim podręcznikiem była „Szkoła gry fortepianowej” Anny Marii Klechniowskiej. Uczyłam się bardzo krótko, bo na lato Rodzice zawieźli nas do Czernikowa, a sami, wyszukawszy mieszkanie w Warszawie, przynosili się doń. Ten nasz wyjazd do Czernikowa był więc jednocześnie naszym ostatecznym pożegnaniem z Rokitem. Nigdy w czasach powojennych nie miałam możliwości być w Rokitnie. Nigdy też więcej nie miałam możliwości uczyć się grać. Wprawdzie po przyjeździe do Skarżyska mieliśmy sąsiadkę –

20

III/1/62

nauczycielkę gry na pianinie i Tata proponował mi naukę muzyki, ale nawał pracy w gimnazjum, wobec moich wojennych zaległości w nauce, nie pozwalał mi na taki luksus.

Ciocia Jadzia

Przyznam się, że nie pamiętam Jej pobytu u nas. Jej postać nie kojarzy mi się z żadnym miejscem, mogło to być Czernikowo, mogło Rokitno. Dowodem Jej pobytu jest zdjęcie. Rzadko zdjęcia były datowane, ale tym razem jest data dokładna: 29 kwietnia 1939r. Ten nasz pobyt nad samą granicą, na pewno związany ze służbowym objazdem stanic przez Tatę, był pewno ostatnią naszą obecnością na tym nadgranicznym terenie. Przypuszczam, że również wtedy widzieliśmy Ciocię Jadzię ostatni w Jej, jakże krótkim, życiu.

Lato

Już je opisałam wcześniej – pobyt w Czernikowie – pierwsze lato w nowym domu Maciów – Ciocia Hela Grudzińska. Była też tego lata w Czernikowie Ninka. Może nie całe lato, bo mówiła mi kiedyś, że zwykle jeździła latem nad morze, gdzie Ciocia Ksawera prowadziła jakiś pensjonat, ale pod koniec sierpnia na pewno była z nami, ponieważ odwoziła Ją do Zduńskiej Woli pani Władysława Żelechowska, co wpłatało Ją w okrutną przygodę ucieczki przed frontem na wschód z Ciotką Ksawerą i Ninką. Opowieści o tym nasłucham się od pani Władki w czasie wojny. Ciotka Ksawera miała bardzo specyficzny charakter i podejście do wielu spraw, np. zakazów. Jeśli na przykład napisane było „wstęp wzbroniony, miny”, to mówiła: „co to znaczy wzbroniony, właśnie wejść”. No i trzeba Ją było powstrzymywać, perswadować. Pani Władysława użyła więc z Nią dodatkowych, oprócz okropności wojny, przeżyć.

Ninka pojechała więc pod koniec sierpnia z panią Władysławą, a my z Rodzicami do Warszawy. To ta, również już wspomniana przeze mnie podróż razem z tłumem zmobilizowanych rezerwistów.

W Warszawie czekało już urządzone mieszkanie na ulicy Bałuckiego, róg Odolańskiej. Mieszkanie było na parterze, trzypokojowe, z kuchnią, łazienką, osobną ubikacją, „służbówką” i o ile pamiętam, dwoma wejściami – na korytarz i do małej sionki przy kuchni. Ostatnie dni sierpnia upłynęły nam, dzieciom, na poznawaniu najbliższej okolicy. Pamiętam taki spacer – może było ich więcej – ulicą Szustra (obecnie Dąbrowskiego) aż do Alei Niepodległości. Bardzo mi się podobały domy – wille – w ogródkach, obrosnięte dzikim winem. Ogromna różnica pomiędzy „drewnianym” Rokitnem czy „wiejskim” Czernikowem. Warszawę wielkomiejską, tę ze śródmieścia, z jej piętrowymi domami i ruchem ulicznym, znałam z naszych poprzednich w niej bytności. Tu na przedmieściu cisza, mały ruch, a jednocześnie urok miasta były zachwycające. Gdy parę lat temu przeszliśmy z Anią tę trasę, by potem wrócić Odolańską pod „nasze” okna – domy zmalowały, nie były już tak urocze. Co to znaczy wspomnienie z dzieciństwa!

W mojej (lub naszej) szkole nie byłam. Wiem tylko, że Rodzice zapisali mnie do drugiej klasy, a szkoła o ile pamiętam, była na ulicy Wiśniowej. Nie było mi dane chodzić do niej ani jednego dnia. Ostatnie dni sierpnia były już tylko czekaniem na wybuch wojny. Tata od 29 sierpnia miał przydział mobilizacyjny. Nie wiem, kiedy nas pożegnał. Z tego momentu pamiętam tylko jedno: stojącą w kącie, między pokojami stołowym i sypialnym - szablę Taty. Przypuszczam, że pożegnanie było tak spokojne i naturalne, że nie zachował mi się w pamięci tragizm tej chwili. Nie wiem, czy stało się to jeszcze przed pierwszym wrześniem. Pamiętam za to doskonale rano pierwszego września: wybuchła wojna!

Schron dla naszego domu mieścił się w piwnicy w narożnej klatce schodowej (Bałuckiego – Odolańska). My musielibyśmy przechodzić do niego przez otwarty teren. Duży, prostokątny plac między domami ulic – Odolańską, Bałuckiego, Puławską i Szustra – był (i jest dotąd) pusty, podzielony ogrodzeniami z siatki, bez drzew i krzewów, tylko z trawnikami. Mama zdecydowała, że nie będziemy chodzić do schronu. Może na tę decyzję, oprócz względów bezpieczeństwa, wpłynął też fakt, że w tamtym schronie podobno panowała atmosfera strachu. Mieliśmy więc własny schron w naszej piwnicy, a właściwie w korytarzu przy piwnicy, w której okienko zostało zabezpieczone materacem i jakimiś gratami. Na korytarzu było jakieś leże, parawan, maszynka spirytusowa i ...worek sucharów.

Schodziliśmy więc w czasie nalotów do naszego schronu. W tym czasie był już z nami Wujek Janek Łysakiewicz. Było to chyba umówione wcześniej w rodzinie, że Wujek, ponieważ nie

10/11/63 (21)

podlegał mobilizacji (nie bardzo wiem z jakiego powodu), będzie z nami. Od początku nalotów niemieckich na Warszawę, Wujek był społecznym komitecie obrony, który zajmował się obserwacją terenu, gaszeniem pożarów i wszelką pomocą, udzielaną potrzebującym. Dwie rzeczy z oblężenia Warszawy muszę podkreślić jako bardzo ważne, zasadnicze. Po pierwsze nikt z dorosłych nigdy nie okazywał najmniejszego strachu. To nie znaczy, że lekceważyli niebezpieczeństwo, ale zachowywali się tak, byśmy mogli znieść to jak najłżej. Taką postawę Mama przyjęła i nigdy, przez całą wojnę, a powodów do obaw o życie całej rodziny było dużo, nie widziałam u Niej strachu. A łzy – tylko raz – na wiadomość o upadku Powstania Warszawskiego. Druga rzecz bardzo ważna, która może zadecydowała o naszym życiu: nie było mowy o tym, by się gdziekolwiek ruszać z Warszawy, uciekać przed frontem. Wujek Janek przynosił z miasta wiadomości o uciekających, o dantejskich scenach dziejących się na bombardowanych i ostrzeliwanych drogach. W samej Warszawie ludzie z lewobrzeżnej części miasta dążąc na wschód przechodzili przez most na Pragę, gdy w tym samym czasie Prażanie, na skutek wieści o nadejściu Niemców od strony Prus Wschodnich – uciekali do Śródmieścia.

W czasie bombardowania i oblężenia Warszawy przez nasze mieszkanie przewinęło się trochę różnych osób. Mieszkał z nami, może nie cały czas, Wujek Włodek, był jakiś czas pan Józef Biegański, z zawodu chyba drogista, bo wiem, że potem w czasie okupacji razem z Wujkiem Jankiem zajmowali się produkcją i handlem kosmetykami. Był przelotem pan Czajkowski z Czernikowa, który już wyraźnie uciekał przed Niemcami (zgolił sumiaste wąsy i stał się zupełnie „innym” człowiekiem, a do Czernikowa powrócił dopiero po wojnie). Mieszkała też u nas jakiś czas pewna pani z dwojgiem młodszych od nas dzieci – zupełnie nie wiem, kto to mógł być – może ktoś z „Rodziny Wojskowej”, lub inna znajoma, zaplątana w czasie ucieczki. Ale najdłużej była z nami pani Lusja Kasprzykowska, żona oficera, który też, jak Tata był na froncie. Pani Lusja (nie wiem – Alicja lub Alina), mieszkała na ostatnim, trzecim piętrze w naszej klatce schodowej. W czasie bombardowania został zniszczony sufit w jej pokoju. Mieszkała więc z nami, miała bliżej do „naszego” schronu. To ona, prawdopodobnie dla zajęcia mnie czymkolwiek w czasie nalotów, nauczyła mnie robić na drutach. Pierwsza moja praca – niekształtna łątka z żółtej wełny – została jakoś zszyta w sweterek dla mojej ukochanej lalki. Pani Lusja wprowadziła do naszej rodziny swą szwagierkę Lusię (Aline) Presch, z domu Kasprzykowską, też żonę oficera, która po owdowieniu została żoną Wujka Janka. Ale to było już później.

Z tej samej strony domu, co mieszkanie pani Lusi ze zniszczonym sufitem, tzn. od ulicy Odolańskiej, były okna naszych dwóch pokoi – gabinetu Taty i pokoju stołowego. W czasie któregoś z bombardowań odłamki podziurawiły biurko Taty, stojące blisko okna.

Po jakimś czasie do naszego korytarza w piwnicy sprowadziła się rodzina dozorczy domu z synem, trochę starszym od nas. Przyszli tu, choć mieszkali w pierwszej klatce, bo nie wytrzymali atmosfery schronu. My zdobyliśmy kolegę do zabawy – kiedyś u nich na siatce żelaznego łóżka urządziliśmy „spływ rzeką” ze śpiewaniem „ach jak przyjemnie kołysać się wśród fal” (z filmu!). Nie wiem, czy za ten występ, czy z dobrego serca pani dozorczyńni, zostaliśmy uraczeni ryżem na mleku z konfiturą wiśniową. Oj, chyba nie było najlepiej z jedzeniem w tym czasie, skoro tak pamiętam ten ryż i worek sucharów! W miarę nasilania się bombardowań Warszawy przybywało strat nie tylko wśród ludzi, ale także padały zwierzęta i wtedy zaczęła pojawiać się w naszym pożywieniu konina. Jedliśmy ją bez oporów, jedynie Wujek Włodek nie jadł, a na widok nas jedzących rżał cichutko i twierdził, że ludzie zaczynają chodzić jeźdźniami, jak konie. To naturalnie było spowodowane tym, że chodniki często były zasypane gruzami.

W okresie, kiedy front był jeszcze dość daleko od Warszawy, pamiętam, jak byliśmy z Mamą odwiedzić żołnierzy w okopach, gdzieś w południowej części Mokotowa. Potem, gdy front się zbliżył i Niemcy podeszli blisko, słychać było nocami dudniące czołgi na Alei Niepodległości. I wreszcie nastąpiło to straszne: kapitulacja Warszawy. Jakiś czas mieliśmy jeszcze radio. Musiały już być niemieckie rozporządzenia o oddawaniu odbiorników radiowych, bo nasze było „ukryte” – po prostu stało na widoku, na korytarzu na szafce, przykryte jakąś serwetką. Nie mogę twierdzić na pewno, bo nigdy nie przyszło mi na myśl by zapytać Tatę, czy tak rzeczywiście było, ale zdaje mi się, że przez radio dowiedzieliśmy się o pobycie Taty w Rumunii. Były to chyba wiadomości przekazywane przez Czerwony Krzyż. Już po zajęciu Warszawy przez Niemców dostaliśmy wiadomość, że w Szpitalu Ujazdowskim leży ranny Stryjek Józik. Mama wzięła nas ze sobą do

Stryjka. Pamiętam jak dziś: duża sala pełna łóżek z rannymi i pośrodku rzędu z prawej strony uśmiechnięty Stryjek. Jego widok zrobił na mnie wielkie wrażenie – może też i dlatego, że zdałam sobie sprawę, że Tata też może znaleźć się w podobnym położeniu. Stryjek cieszył się z naszej wizyty. Swoją rodzinę – żonę i synów – miał daleko, w Mławie. Nie wiem, czy był jeszcze przed operacjami, o których w swym wspomnieniu o Ojcu pisze Wiesiek. Niestety po ostatniej operacji (wyjęcie odłamków z czaszki) jakieś pozostałości wywołały owrzodzenie i Stryjek zmarł 10.01.1940 roku. Ale o tym dowiedzieliśmy się już w Czernikowie, a na pogrzebie Stryjka była tylko nasza Mama, przyjechała także Ciocia Irka, ale bez Wieśka i Przemka.

Znów Czernikowo

W listopadzie przyjechał do Warszawy Mać, żeby nas zabrać do Czernikowa. Jechaliśmy we czworo – Mać, Mama i my dwoje. Nie mieliśmy więc możliwości zabrać dużej ilości rzeczy – zapewne trochę ubrań jesienno-zimowych, żadnych książek. Została moja „Pyza”, „Legendy o kwiatach” i ukochana lalka Ewunia. Nigdy już w moim dzieciństwie nie miałam lalki. Jechaliśmy pociągiem lewą stroną Wisły i dojechaliśmy do Nieszawy. Tu wypadł nam nocleg. Przyjęli nas właściciele restauracji, odstąpiwszy nam swój pokój sypialniany z dwoma łózkami i pierzynami. Pierwszy raz w życiu spałam pod pierzyną, a zapewne i pierwszy raz w ogóle widziałam pierzynę. Następnego dnia przewoźnik przeprowadził nas łódką przez Wisłę, a na drugiej stronie Mać wynajął furmankę i przez lasy dotarliśmy do Czernikowa. Teraz przez te lasy prowadzi wąska, ale asfaltowa droga, nadal jednak biegnie starymi zakosami przez dukty leśne. Jechaliśmy nią – już w XXI wieku – parę razy samochodem. Wtedy to była zwykła, piaszczysta, leśna droga.

W Czernikowie było więc nas z rodziny pięcioro – Maciowie i nas troje – i tak na szczęście przetrwaliśmy tą piątką cały pozostały okres wojny, z wyjątkiem paru miesięcy, bo Mama pojechała jeszcze do Warszawy i wróciła dopiero w styczniu 1940 roku po pogrzebie Stryjka Józika.

Tymczasem na jesieni 1939 roku dom Maciów zaludnił się niesamowicie. Przyjechała i zamieszkała u nas cała liczna rodzina państwa Cywińskich, którym Niemcy zabrali dom w Toruniu i ich po prostu wyrzucili. Państwo Cywińscy byli znajomymi Maciów jeszcze z czasów kikołskich – seniorzy – Helena i Bolesław, ich córki – Janina Łoskiewicz (wdowa), Zofia (nauczycielka), Maryla i Lala (Helena Gierychowa – żona oficera będącego w niewoli) z półrocznym synkiem Jędrusiem i syn Leszek. Państwo Cywińscy zajęli pokoje na piętrze, które były jako-tako umeblowane, tzn. pokój Wujka Janka i Cioci Heleny Grudzińskiej. Na piętrze nie było jednak pieców – w zimie grzało się tam trociniakiem, tak zresztą jak i w pokoju stołowym na dole. Zimą, chyba za wyjątkiem Leszka, który wrócił do Torunia i znalazł sobie jakiś ką i pracę i został tam już do końca wojny, przemieszkali wszyscy. Pani Zocha uczyła nas (był to dla nas jedyny okres systematycznej nauki), ale pod koniec zimy udało im się z panią Janką wyjechać do „G.G” – do Bożek (pod Chęcunami?). Pani Lala z Jędrusiem była jeszcze około roku, ale i ona podążyła śladem starszych sióstr. Panią Marylę przygarnęli pastorstwo Lewandowscy, była u nich oficjalnie służącą. Zostali więc tylko seniorzy, ale wtedy Niemcy zaczęli do naszego domu przysyłać swoich lokatorów i państwo Cywińscy jedną zimę przebiegowali w kuchni w piwnicy, a potem znaleźli sobie jedną izbę pod lasem.

Pierwszym nasłanym lokatorem na górze był żandarm Ableitinger z żoną Julią. On Austriak, ona Czeszka. Oni nie byli wrogo nastawieni do Polaków i to chyba było przyczyną, że komendant policji szybko pozbył się takiego żandarma. Mieszkał też na górze jakiś czas sekretarz gminy, Niemiec z Rzeszy, którego też szybko wymieniono na gorszego.

W 1941 roku (sądząc po zdjęciach) Niemcy zajęli całą górę i przygotowali mieszkanie (postawili kuchnię kafłową i piec w zachodnim pokoju) dla SS-mana Bernarda Ruffa (lub Rufa) i jego rodziny – żony i córki Ingeborgi – oni przemieszkali już do końca wojny.

Podziemie

Chcę teraz napisać wszystko, co wiem i czego mogę się domyślać o przynależności do organizacji podziemnej Mamy, Maci i zapewne także Macia, bo bez Jego wiedzy i pomocy ich działalność nie byłaby możliwa (zaopatrzenie w leki i opatrunki).

III/1/6 23

Nie mogę z braku konkretnych danych podawać dokładnych dat, pseudonimów itp. Dlatego ujęmę to ogólnie, na tle wszystkich lat wojny. Jak czytelnik niniejszych wspomnień mógł się zorientować z tego, co dotąd napisałam o naszych warunkach w domu czernikowskim, mieliśmy „lokatorów” Niemców, oprócz tego prawie naprzeciwko posterunek żandarmerii i również naprzeciwko – sąsiada - donosiciela, Jędrzejewskiego, czyli byliśmy „pod obstrzałem”. Ale to zapewne miało swoje dobre strony, bo podobno „najciemniej jest pod lampą”. Apteka, do której każdy miał wstęp o dowolnej porze (naturalnie poza godziną policyjną), stanowiła doskonałe alibi. Układ: mieszkanie – apteka był wielkim ułatwieniem. Były dwa przejścia z apteki do mieszkania – przez gabinet i przez materialnię. Taka względnie dogodna sytuacja trwała do czerwca 1943 roku, kiedy to musieliśmy opuścić mieszkanie dla Niemca, zarządcy apteki. Do tej pory Mać był sam w aptece, za wyjątkiem krótkiego okresu, w którym w aptece pracowała z Nim pani Stanisława Okońska, zresztą prawdopodobnie na zlecenie podziemia.

Mieszkanie na Czernikówku (dokąd wyprowadziliśmy się w czerwcu 1943 roku), razem z trzema rodzinami pod jednym dachem, bez zaplecza apteki, bardzo utrudniało kontakty z postronnymi osobami. Dlatego od tego czasu nie pamiętam już częstych wizyt znajomych i „nieznajomych”, jeśli one w ogóle jeszcze były możliwe. Inna sprawa, że zmieniała się także sytuacja niektórych osób (aresztowanie pastora Lewandowskiego, wcielenie do „Wehrmachtu” pana Leona Garsteckiego). Najgorsza sytuacja powstała, gdy Mać został wyrzucony przez Niemca z pracy z dniem 31 marca 1944 roku. Do końca wojny chyba nie był już zatrudniony na stałe, bo pamiętam tylko sporadyczne Jego wyjazdy do apteki w Lubiczu do pana Stefana Niteckiego, z którym zresztą współdziałał przez cały okres okupacji, a łącznikiem między nimi i ich aptekami mógł być stary, kikolski znajomy – Serek (Serafin) Różański, księgowy, który prowadził księgowość apteki. Przynależność Serafina Różańskiego do AK jest udokumentowana. Zmieniały się więc warunki życia i pracy podziemnej przez lata wojny.

A jak to się zaczęło?

Tu oparłam się na słowach Wujka Janka, które okazały się cennym tropem w moich i nie tylko w moich poszukiwaniach śladów początków konspiracji na terenie Czernikowa. Otóż Wujek powiedział mi, że dom na Bałuckiego w Warszawie, w którym zamieszkaliśmy w 1939 roku, należał do jakiegoś wyższego rangą wojskowego, który chętnie na lokatorów przyjmował rodziny wojskowych. Nie wiem kto, oprócz pani Lusi Kasprzykowskiej i nas, był „rodzinnie” związany z wojskiem. Według słów Wujka, bardzo szybko po zajęciu Warszawy przez Niemców, zjawił się ktoś werbujący do podziemnej organizacji i Mama w ten sposób miała pierwszy kontakt. Widocznie Jej wyjazd do Czernikowa (w listopadzie 1939 roku), a następnie powrót do Warszawy i ponowny, już na stałe wyjazd do Czernikowa, były brane pod uwagę, że Mama może być emisariuszem na dalsze tereny od Warszawy. Jak to, czego dowiedziałam się od Wujka Janka wpłynęło na stan wiedzy o działalności Mamy w Czernikowie? We wrześniu 2001 roku, będąc w Czernikowie, wybrałam się do Archiwum Pomorskiego Armii Krajowej w Toruniu, w nadziei, że może tam znajdę jakieś rodzinne ślady z okresu okupacji. Nie znalazłam. Poproszono mnie jednak o adres i w następnym roku otrzymałam zaproszenie na doroczny, listopadowy zjazd, który jest oficjalnie zjazdem kombatantek, ale jest zarazem trybuną, na której przedstawiają skróty swych prac autorzy piszący o okresie okupacji, ze szczególnym uwzględnieniem ziem „włączonych do Reichu” i walki kobiet na tym terenie. Na tym zjeździe jednym z referentów był pan dr Bogdan Ziółkowski, historyk, pracownik Wyższej Szkoły Handlowej we Włocławku. Ponieważ zorientowałam się z jego wystąpienia, że zajmuje się okresem okupacji na terenie Kujaw Wschodnich i Ziemi Dobrzyńskiej, na której leży Czernikowo, podeszłam do niego mając nadzieję, że może czegoś interesującego mnie, dowiem się od niego. Jakże jednak było moje zdziwienie, gdy okazało się, że to ja mogę być dla niego informatorem. Po dowiedzeniu się ode mnie, że okres wojny spędziłam w Czernikowie z Mamą i Dziadkami, mieszkającymi tu od kilku lat, zobowiązał mnie, bym mu napisała krótkie życiorysy członków rodziny ze szczególnym uwzględnieniem okresu okupacji i ewentualnych kontaktach ze znajomymi. Napisałam więc o Maci, Maciu i Mamie, a także o Tacie i Wujkach – Janku i Władku, chociaż oni nie byli w czasie wojny w Czernikowie.

Ze znajomych rodzin, co do których byłam pewna, że były na tyle zaufanymi, że mogły być brane pod uwagę, jeśli chodzi o „sprawy podziemne” – wymieniłam rodziny Kasprowiczów, Czajkowskich, Kołaczyńskich, Donarskich, Krauzów, Garsteckich (z Torunia), Lewandowskich (z

11/1/6 (24)

Ograszki), Cywińskich, Rózańskich (z Lubicza). Po wysłaniu tych materiałów dostałam najpierw telefon od pana Bogdana Ziółkowskiego, w którym bardzo rozradowany powiedział mi mniej więcej te słowa: „miałem w moich materiałach wiadomość, że na początku 1940 roku przyjechała z Warszawy żona oficera, która była kontaktem z Warszawą. Teraz już wiem, kto to mógł być”.

Kiedy pisząc ten rozdział wspomnień, wróciłam w rozmowie telefonicznej z panem Bogdanem Ziółkowskim do tej sprawy, potwierdził mi to, mówiąc jeszcze, że były brane pod uwagę trzy osoby (w tym Mama), ale dwie z nich wyjechały do Warszawy i więcej w czasie okupacji nie wróciły do Czernikowa. Dopiero w marcu 2003 roku otrzymałam od pana Bogdana Ziółkowskiego list, którego obszernie fragmenty dotyczące sprawy, cytuję:

„...bardzo dziękuję za tak obszerny materiał źródłowy i jednocześnie przepraszam, że tak długo musiała Pani czekać na odpowiedź. Chciałem jednak sprawdzić Pani dane z materiałami źródłowymi w APAK w Toruniu i moimi danymi. Placówka POZ/AK Czernikowo wchodziła w skład Rejonu IV, który obejmował również Dobrzejewice, Nowogród, Mazowsze, Lubicz, dowódcami jej byli nauczyciel z Dobrzejewic Stanisław Lipiński - „Brat”, „Złoty”, a następnie „Zygmunt” – Ramlau Zbigniew, komendantką WSK na tym terenie była Filomena Wójtowicz (wg ostatnich ustaleń nazwisko to brzmi Wójtewicz – dopisek M.K.). (...) Była ona w Komendzie Obwodu zastępczynią M.Sobocińskiej. (...) Zwerbowała również do WSK kilka kobiet w Czernikowie, nieznanymi nazwisk. W tej placówce przewijają się również nazwiska nadleśniczego Łęckiego. Henryka Łowickiego, a z rodziny Rózańskich, o których Pani pisze, Serafina Rózańskiego. Wszyscy oni podkreślają istnienie placówki w Czernikowie i swoje kontakty z nią utrzymywane między innymi przez Celmerów. Teraz odnośnie Pani rodziny. Jak stwierdziłem w rozmowie (telefonicznej, o której powyżej – przyp. M.K.) – z materiałów źródłowych wynika, że jeden z punktów sanitarnych Obwodu znajdował się w Czernikowie. W grę może wchodzić tylko apteka (lekarstwa, materiały opatrunkowe). Kontakty Pani Ojca (dziadka – przyp. M.K.) z dr Niteckim, informacje o placówce dotyczą już lat 1940-1942. Należałoby więc umieścić działalność Pani rodziny i osób z nią współpracujących nie w WSK, ale ogólnych strukturach POZ i AK. (...) W kwietniu będę w Oddziale IPN Bydgoszcz, gdzie jest duży zbiór relacji z lat 1945-1947, praktycznie nie jest on jeszcze opracowany. Być może i w nim znajdziemy informacje o działalności Pani rodziny. Na dzień dzisiejszy jestem przekonany o działalności Pani rodziców i Babci (znów błąd w koneksjach rodzinnych – powinno być dziadków i mamy) w strukturach ogólnych POZ/AK Obwodu Lipno.”

Tu wtrącę parę słów o wojskowej służbie kobiet. Wojskowa służba kobiet, pisana małymi literami, nie jako nazwa organizacji, lecz rzeczywista służba kobiet na wielkim, podziemnym froncie, obejmującym całą Polskę, trwała od 1.09.1939 roku. Podwaliną wyszkoleniową pod tę działalność tysięcy Polek było PWK (Przysposobienie Wojskowe Kobiet), które miało swe nieśmiałe początki po doświadczeniach I Wojny Światowej i wojny 1920 roku, a rozwinęło się w masowy ruch wobec narastającej groźby następnej wojny.

Prawną podstawą PWK była Ustawa z dnia 9.04.1938 roku o powszechnym obowiązku wojskowym, która jednak dla kobiet przewidywała jedynie pomocniczą służbę, a nie status „żołnierzy znajdujących się w obliczu wroga”. Warunki okupacyjne przerosły wszelkie wyobrażenia o przyszłej wojnie i postawiły całe społeczeństwo, a więc i kobiety, wobec zupełnie innych wyzwań i obowiązków. Tak więc kobiety walczyły od początku wojny, a zwłaszcza okupacji, w najrozmaitszych formacjach. Były to:

- KOP – Komenda Obrońców Polski
- POZ – Polska Organizacja Zbrojna „Znak”
- 1 SZP – Służba Zwycięstwu Polski
- 2 ZWZ – Związek Walki Zbrojnej (najbardziej znany przed powstaniem Armii Krajowej)

Formacje te powstawały na różnych terenach Polski, rozszerzały swą działalność, często na skutek masowych aresztowań na pewnych terenach prawie nikły. Było jednak i tak, że pewne osoby jednocześnie należały do różnych ugrupowań i organizacji. Bywało tak, że tworzyły się bardziej „kobiece” służby (sanitarna, kurierska, pomoc rodzinom aresztowanych, tworzenie „melin” dla zagrożonych). Zaczęto więc te służby, czy oddziały nazywać Wojskową Służbą Kobiet. O prawne usankcjonowanie tych służb, rozumiejąc specyfikę walki w warunkach okupacji, występował już w marcu 1940 roku generał Stefan Rowecki do Naczelnego Wodza Rządu Londyńskiego. Generał

Rowecki podpisał 30.10.1941 roku odpowiedni rozkaz (i drugi 25.02.1942 roku), był on jednak sprzeczny z ustawą z 1938 roku i nie mógł być podstawą do uporządkowania podległości oddziałów kobiecych, a także awansowania kobiet. Sprawa ciągnęła się bardzo długo. W międzyczasie Minister Obrony Narodowej Rządu w Londynie wydał rozporządzenie o służbie kobiet (14.02.1942), ale dotyczyło ono kobiet polskich w Wielkiej Brytanii i całkowicie nie nadawało się do zastosowania w okupowanym Kraju. Sprawa definitywnie została załatwiona dopiero w 1943 roku dzięki osobistym, długim rozmowom z najwyższymi osobistościami Rządu Londyńskiego. Dokonała tego pani, obecnie generał, a wówczas kurierka generała Stefana Roweckiego – Elżbieta Zawacka, jedyna kobieta wśród „cichociemnych”. Dekret – w postaci bardzo zbliżonej do postulatów Kraju – został podpisany w dniu 23.10.1943 roku przez Prezydenta Rzeczypospolitej - Władysława Raczkiewicza.

Na jego podstawie (nadal mimo braku rozporządzeń wykonawczych) generał Bór-Komorowski podpisał 18.01.1944 roku „Rozkaz nr 129”, potwierdzający pełnoprawny status żołnierzy-kobiet. Sprawy awansów kobiet zostały uregulowane dopiero 23.09.1944 roku i zostały zastosowane jedynie do nielicznych warszawskich oficerów-kobiet. Do komend terenowych dotarły w bardzo nielicznych przypadkach. Tak więc kobiety polskie walczyły i ginęły przez całą okupację „niezgodnie z obowiązującą ustawą”.

Obecnie, w całej dostępnej mi literaturze przedmiotu, używa się nazwy „Wojskowa Służba Kobiet”, pisanej dużymi literami – w skrócie WSK, czasem z przynależnością WSK-AK.

Los Komendy Obrońców Polski, organizacji dość rozpowszechnionej i bardzo wcześnie powstałej (prawdopodobnie już w 1939 roku) – był zmienny. Rozbite przez aresztowania jednostki rozpraszaly się, ich ocaleni członkowie często przechodzili do innych formacji.

Wracam do kontaktów z panem Bogdanem Ziółkowskim. Materiały z sesji listopadowej 2002 roku ukazały się w druku dopiero w 2003 roku, ale w nich znalazły się już uzupełnienia, o których autor pisał do mnie w liście z 4.03.2003 roku, odnoszące się do naszej rodziny. Pisząc o procesie scalania POZ „Znak” z AK w Obwodzie Lipno i pracy pionu sanitarnego, podległego Juliuszowi Majewskiemu „Fabianowi” podaje (Tom XL Biblioteki Fundacji APAK w Toruniu, str. 97):

„...ta sama uwaga odnosi się do ważnego punktu sanitarnego Obwodu w Czernikowie. Nie jest ustalone od kiedy (prawdopodobnie już od końca 1939 roku) był on zorganizowany. Prowadził go, współpracujący ze S. Niteckim i J. Majewskim aptekarz Stefan Łysakiewicz. Jednak nie on, a jego żona Maria z d. Świętecka i córka Zofia z męża Szulc (początkowo działała w KOP) odgrywały tutaj główną rolę. Współpracowały z nimi Jadwiga Lewandowska, żona pastora i pracująca w niemieckim urzędzie gminnym w Czernikowie urzędniczka pani Aleksandra Kołaczyńska „Konwalia” (z męża Głaszczyk). Działalność tej placówki, nie tylko w strukturach sanitarnych Obwodu, ale i w legalizacji (dotyczy Aleksandry Kołaczyńskiej, przyp. M.K.) oraz organizacji opieki nad rodzinami osób aresztowanych czy zamordowanych (dotyczy pani Jadwigi Lewandowskiej i naszej rodziny – przyp. M.K.) – jest nadal słabo rozpoznana.”

Tu więc pojawia się pierwszy raz, potwierdzona przez badania archiwalne, przynależność Mamy do KOP, czyli KOP był najprawdopodobniej tą „organizacją podziemną” wspomnianą przez Wujka Janka. Ostatnie (z dotychczasowych) świadectwo to określenie przynależności Mamy, podane w życiorysie Ojca, zamieszczone we Włocławskim Słowniku Biograficznym (Tom II wydany w 2005 roku, str. 181). Brzmi ono:

„W listopadzie 1928 roku zawarł związek małżeński z Zofią Łysakiewicz (1901-1971), absolwentką Miejskiej Szkoły Sztuk Zdobniczych w Warszawie (uczennicą S.Noakowskiego), żołnierzem KOP i WSK AK Obwodu Lipno w Inspektoracie AK Włocławek”

Chcę tu zwrócić uwagę odnośnie stwierdzenia „jest nadal słabo rozpoznana” (placówka w Czernikowie – przyp. M.K.), że zarówno Mama, jak i Macia oraz pani Aleksandra Kołaczyńska-Głaszczyk, nie ujawniły się po 1945 roku. Macia i Mama nie dożyły czasów, w których zupełnie bezpiecznie można było to zrobić, a pani Oleńka, mimo, że dożyła, nie tylko tego nie uczyniła i nie złożyła żadnej relacji, to nawet nie chciała o tym mówić swym najbliższemu (córcie), bagatelizując sprawę lub nie chcąc wracać myślą do czasów okupacji. Mnie potwierdziła tylko (w rozmowie w kwietniu 1993 roku, na pół roku przed swą śmiercią), że należały razem, tzn. z Macią i Mamą, a pamiętała tylko swój pseudonim „Konwalia”.

Udział w pomocy materialnej, udzielanej potrzebującym przez panią Jadwigę Lewandowską i Macię potwierdził w swych wspomnieniach ks. Stanisław Piotrowski, który aż do aresztowania w dn. 2.10.1940 roku był proboszczem parafii Czernikowo na miejsce osadzonego w obozie księdza Antoniego Tymiąńskiego (zyciorys ks. Stanisława Piotrowskiego znajduje się w II tomie Włocławskiego Słownika Biograficznego, str. 140). Mimo sceptycyzmu w stosunku do rodziny pastora Lucjana Lewandowskiego i Łysakiewiczów, ks. Stanisław Piotrowski pisał w swych wspomnieniach:

„Do apteki przychodził od czasu do czasu pastor Lewandowski z Osówki, która należała do mojej parafii. Aptekarzostwo zasadniczo do kościoła nie przychodzili. Dlatego to nie mogłem z nimi utrzymywać stosunków towarzyskich. Nieraz tylko pokazałem się w aptece na kilka słów w okazji jakiegoś interesu (podkreślenie moje – M.K.). Nie przeszkodziło to jednak temu, że aptekarzowa systematycznie i wydatnie zasilala moją kasę dla biednych. Również żona pastora niekiedy dołożyła swoich kilka marek za pośrednictwem aptekarzowej... Zastanawiałem się nieraz nad pytaniem: jak to się dzieje, że ludzie niereligijni (!!! – przyp. M.K.) są uczynni i miłosierni... Bóg potrafi nawet ludzi, którzy zapierają się Go, wciągając do swojej służby i przez wielu rozdawać swoją dobroć. Tak sobie dumalem na temat aptekarzowej i pastora”

Jak widać ks. Stanisław Piotrowski nie mógł uwierzyć, by ktoś niepraktykujący lub innego wyznania, mógł być po prostu porządnym, dobrym człowiekiem. Po otrzymaniu powyższego fragmentu wspomnień księdza Stanisława Piotrowskiego, napisałam do pana Bogdana Ziółkowskiego między innymi na ten temat: „Do apteki, a raczej do Łysakiewiczów przyjeżdżali oboje państwo Lewandowscy. Ona – pani Jadwiga – zawsze ze świeżymi wiadomościami z radia i z artykułami żywnościowymi (do paczki do „Oflagu”, dla nas). Myślę, że określenie „żona pastora dołożyła niekiedy swoich kilka marek” to minimalizowanie roli, jaką w ratowaniu potrzebujących strawy duchowej i cielesnej, pełniła pastorkowa Jadwiga Lewandowska”. W opisie spotkania ks. Stanisława Piotrowskiego z pastorem (którego tu nie przytaczam) odczuwam głęboką rezerwę księdza; myślę, że nie jest to obawa o „otworzenie się” w warunkach okupacji, tylko niechęć ze względu na wyznanie. Gdyby ks. Stanisław Piotrowski mógł wtedy wiedzieć, że pastor również zostanie aresztowany i za „brak lojalności i posłuszeństwa” osadzony w obozie Dachau, gdzie przebył do końca wojny! (podaję za: Andrzej Mietz „Z dziejów mniejszości wyznaniowych w gminie Czernikowo” zamieszczonej w monografii Czernikowa. wyd. Toruń 1998).

Wspomniane przeze mnie paczki do „Oflagu”, czyli obozu jenieckiego dla oficerów, wysyłała Macia przez cały okres wojny. Mnie wówczas było wiadome, że kolega pana Gierycha z obozu nie ma rodziny, więc zwrócił się o to za jego pośrednictwem do Maci. Może istotnie początek był taki, a może było to robione w ramach zorganizowanej pomocy. Pamiętam jednak, że na pewno pani Jadwiga dokładała się do tych paczek. Wysłanie co miesiąc pięciokilogramowej paczki żywnościowej w warunkach, gdy obowiązywały kartki i ogromne represje groziły za wszelkie nielegalne obroty żywnością – było bardzo trudne. Pamiętam, że nieraz Macia wyrażała swą obawę „co my wyślemy”, ale jakoś musiało być i paczka była wysłana.

A kto w mej pamięci utkwiał jako najbardziej „podejrzany”, przez nas dzieci, o przynależność do czegoś „bardzo tajnego”? Przede wszystkim „pan na rowerze”. Niestety zupełnie nie wiem, kim on był, bo nie był nikim z najbliższych znajomych z Czernikowa. W świetle dostępnych mi materiałów mógł to być Stanisław Celmer, gajowy z Obrowa, który był łącznikiem z „Czernikowem” komendanta Obwodu. W czasie wizyt tego pana musieliśmy opuszczać mieszkanie, co naturalnie rozbudzało naszą podejrzliwość. Również takie wypraszania dzieci zdarzały się podczas wizyt pani Oleńki Kołaczyńskiej, która była chyba najczęstszym gościem w naszym domu. Wizyty państwa Lewandowskich, bo oni zawsze przyjeżdżali oboje, były inne. Pastor jeździł zawsze z nieodłącznym aparatem fotograficznym, zabierał nas do ogrodu, ustawiał, kazał pozować. Myślę, że panie miały możliwość, by w tym czasie swobodnie porozmawiać.

Muszę w tym miejscu wspomnieć osobę, której przez lata nie posądzałam o współpracę z organizacją podziemną i moją rodziną na tym polu. Dowiedziałam się o niej dopiero we wrześniu 2001 roku ze wspomnianej już tu przeze mnie książki autorstwa pani Elżbiety Zawackiej pt. „Szkice z dziejów Wojskowej Służby Kobiet”. W artykule „WSK na Pomorzu” w rozdziale „Struktura i działalność Obwodu Lipno” – autorka podając skład sztabu Obwodu, dowodzonego

III/1/69

27

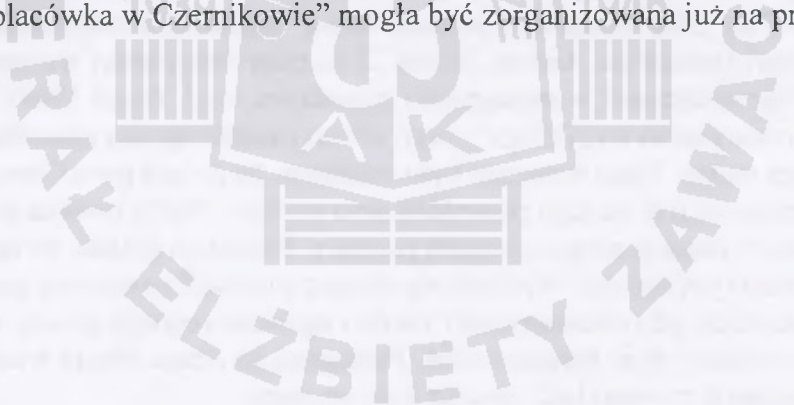
przez Marię Sobocińską „Ryskę”, wymienia jako kierowniczkę sekcji sanitarnej mgr Stanisławę Okońską „Stenę”. Cytuję:

„Sekcją sanitarną dowodziła Stanisława Okońska, ps. Stena, urodzona w 1914 w Rypinie, magister farmacji, pracująca w aptece w Lipnie. Zorganizowała szkolenie sanitarne kolejno dla wszystkich członkiń WSK. We wszystkich gminach były gromadzone leki, materiały sanitarne, apteczki podręczne. (...) Okońska prawdopodobnie żyje i mieszka w Warszawie.”

Książka była wydana w 2001 roku. Dzięki uprzejmości pani Jadwigi z USC w Czernikowie, która po „linii służbowej” (ochrona danych osobowych!) zadzwoniła do USC w Rypinie, dowiedziałam się (we wrześniu 2001 roku), że pani Stanisława zmarła 3.02.2001 roku. Niestety nazwa miejscowości (Ulite?) była tak niewyraźnie napisana, że nie znalazłam takowej w Polsce.

Pani Stanisława Okońska!

Przyjechała do pracy w aptecę w Czernikowie i wraz ze swą matką, panią Heleną, zamieszkała z nami. Maciowie odstąpili paniom swój pokój sypialny i przenieśli się do stołowego. (Górze już w tym czasie zajmowali Rufowie). Panie nie prowadziły swojego gospodarstwa, jadały z nami. Panią Stanisławę pamiętam jako bardzo radosną, młodą osobę, która po pewnym okresie stała się dla nas kimś bliskim, domownikiem. Pracowała w aptecę w Czernikowie przynajmniej kilka miesięcy, o ile potrafię umiejscowić to w czasie, między innymi na podstawie zdjęć, to był przełom lat 1942/43. Nie jest możliwe, by osoba podległa komendantce Obwodu, mieszkająca przy rodzinie należącej do organizacji podziemnej, nie miała z nią powiązań. Wspólne, z konieczności, zamieszkiwanie było w tym wypadku wielkim ułatwieniem i myślę, że szkolenia indywidualne mogły się odbywać w naszym mieszkaniu. Dostałam z APAK-Toruń relację pani Stanisławy, która nader skromnie mówi o swej działalności. Potwierdza jednak, między innymi, pracę w aptecę w Czernikowie. Myślę, że przyczyną rezerwy w jej wypowiedzi był okres, w którym składała swą relację – rok 1977. Materiały archiwalne pani Stanisławy prawdopodobnie już nie zostały uzupełnione. Sprawę powiązania pobytu pani Stanisławy w aptecę w Czernikowie z działalnością naszej rodziny rozpatrywał też w liście do mnie pan Bogdan Ziółkowski. Doszedł jednak do wniosku – o ile dobrze zrozumiałam, że to nie pani Stanisława wciągnęła do współpracy Łysakiewiczów, gdyż wg obecnej wiedzy „placówka w Czernikowie” mogła być zorganizowana już na przełomie lat 1939/40.



Nasze życie powszednie w czasie wojny.

28
11/1/70

Pisałam dotąd o sprawach najważniejszych- postawie rodziny wobec okupanta i stosunku do znajomych i nieznanym, potrzebujących pomocy, ale trzeba też było samemu przeżyć wszystkie te lata – zdobycie żywności, ubrania i innych rzeczy potrzebnych do życia, choćby skromnego, nie było łatwe. Na ten temat mam jednak więcej konkretnych wspomnień, choć na pewno nie pamiętam wszystkiego. Czasem pomocą są mi zdjęcia, te jednak nie zawsze są dokładnie osadzone w czasie. Zdjęcia, zrobione przez pana pastora Lucjana Lewandowskiego i pana Leona Garsteckiego(do wojny- katolickiego klero) są z lat 1940- czerwiec 1943. Z 1944 roku mam tylko jedno zdjęcie- ze szkółki leśnej- nie wiem, przez kogo zrobione. Postaram się więc opisać teraz „składniki” naszego życia powszedniego.

W okresie wojny- jak już wspominałam wcześniej- mieszkaliśmy „naszą piątką” w dwóch mieszkaniach (nie licząc naszego krótkiego pobytu, tylko z Mamą, w Warszawie, jesienią 1939 roku). Jakie były nasze warunki mieszkaniowe? We własnym domu, zamieszkałym przez Maciów od jesieni 1938 roku, mieliśmy trzy pokoje i maleńką kuchnię, w pomieszczeniu przeznaczonym przyszłościowo na łazienkę. Nie wiem dlaczego, ale na te trzy pokoje był tylko jeden piec- wspólny dla korytarza i pokoju z werandą (paliło się od strony korytarza). Sypialny (obecna kuchnia) był ogrzewany tylko kominem od kuchni, a w stołowym został wstawiony, już w czasie wojny, trocinia. Paliło się drewnem, torfem i trocinami, a przydział węgla był chyba tylko dla apteki, w której był wolno stojący, stalowy piec z szamotą i drugi kaflowy, w pokoju biurowym. Mieszkanie było jednak dość ciepłe, nie pamiętam zimna nawet w ciężką zimę 1939/40 roku. Gorzej było na Czernikówku, tzn. od czerwca 1943 roku. Mieliśmy tam mieszkanie „na raty”- kuchnię w jednym, pokój w drugim domu, oddalonym około 150 metrów. W pokoju nocowali Maciowie z Dzidkiem, a w kuchni Mama ze mną. Kuchnia była dawną komorą gospodarzy, położoną w osi domu za sienią, od strony północnej. Podłoga tylko w części drewniana, pod wstawioną naszą wolno stojącą kuchnię- klepisko gliniane. Jedynym źródłem ciepła była kuchnia, a ponieważ nie była kaflowa, ciepło było tylko wtedy, gdy się paliło. Dom był zbudowany z gliny, kryty strzechą słomianą. Okno w naszej kuchni pojedyncze, wstawione „na mur”, bez możliwości otwierania. Zimą wiało od niego okrutnie, wprost na moje łóżko, w upalne lato 1944 roku ciężko było wytrzymać i parę razy spałyśmy z Mamą na podwórku, na stojącym tam wozie. Ale za to co za widoki! Wobec obowiązującego zaciemnienia nie przeszkadzało w oglądaniu wygwieżdżonego nieba i deszczu „spadających gwiazd”. Przy takim układzie mieszkania byliśmy praktycznie przez cały dzień w kuchni, chociaż nie zawsze wszyscy- Mać do końca marca 1944 roku pracował jeszcze w aptece, Dzidek i ja zimą 1943/44 chodziliśmy do „szkoły” dla polskich dzieci, a cały sezon od wiosny do jesieni 1944 roku pracowaliśmy w szkółce leśnej. Naturalnie w obydwu mieszkaniach nie było łazienek. W naszym domu był wydzielony w pokoju za parawanem kąpiel do mycia. Dobrze, że chociaż była na podwórku własna studnia. Latem urządzaliśmy sobie kąpiel, chyba w balii, w wodzie nagrzejanej przez upalny dzień. Na Czernikówku nie było nawet studni! Wodę trzeba było nosić z sąsiedniego gospodarstwa. Nie było też w kuchni stałego miejsca do mycia ze względu na ciasnotę. Małe biurko, moje łóżko i stół z krzesłami, a za parawanem- jakieś paczki na ubrania, wieszaki, łóżko Mamy i kredensik kuchenny. W rogu- kuchnia. Urządzenia „pokoju” zupełnie nie pamiętam. Czy mieściły się tam obydwie żelazne łóżka Maciów? Dzidek spał chyba jeszcze w swoim dziecięcym, drewnianym łóżeczku. Mała szafa, pamiętna wielka komoda z toaletką Maci, to wszystko. A ubikacje? W Czernikowie ubikacja była wewnątrz budynku gospodarczego. Tylko jedna ściana

zewnątrzna z okienkiem, z tyłu za budynkiem przyzwoity, murowany śmietnik, nakryty klapami. Nie podwiewało. Czysta, obowiązkowo szorowana co tydzień. I z tej ubikacji musieli korzystać również Ruffowie, mieszcuchy z Karlsruhe! Na CzernikóWKu- typowy drewniany wychodek, wiatrem podszyty, stojący pod stodołą. Papieru toaletowego nie znaleźliśmy przez całą wojnę (zresztą i po wojnie bywał rarytasem!) W czasie okupacji, nie wiem w którym roku, Niemcy zorganizowali, ale tylko dla siebie, oświetlenie elektryczne, (jakiś agregat prądowórczy stał nad sadzawką Lutowskich). My jednak nie korzystaliśmy z tego w ogóle i zarówno w naszym domu, jak i na CzernikóWKu, świeciło się lampami naftowymi, a ponieważ przydział nafty był skromny, w użyciu były także karbidówki. Były one wprawdzie jaśniejsze od lamp naftowych, ale codzienna konieczność opróżniania ich z rozlasowanego karbidu i ładowanie nowego była czynnością nieciekawą (smród!) Codzienne „oprawianie” lamp naftowych też było konieczne. „Filująca” lampa kopcila okrutnie szkło, które trzeba było czyścić specjalną szczotką no i odpowiednio przycinać nadpalony knot, by dawał w miarę możliwości równy płomień.

Tak jak warunki mieszkaniowe zmieniły się zasadniczo od czerwca 1943 roku, tak samo zmieniły się możliwości aprowizacyjne. Z początku wojny, czyli oblężenia Warszawy, pamiętam tylko trzy rzeczy: worek sucharów (pewno „zapas” na wojnę), koninę z zabitych przez działania wojenne zwierząt i ryż z konfiturą wiśniową od pani dozorczyńni, jedzony podczas nalotu lotniczego w piwnicy, w naszym „schronie”. Potem już było Czernikowo. Mieszkając we własnym domu mieliśmy ogród, który choć od zamieszkania Ruffów na piętrze (w 1941 roku?) nie był już cały nasz, ale starannie zagospodarowany żywił nas warzywami i owocami. Niestety nie było żadnej możliwości robienia przetworów z owoców ze względu na brak cukru. Nie było też w zwyczaju robienia jakichś przetworów warzywnych w słoikach (weki były mało popularne, twistów jeszcze nie było). Była tylko kiszona kapusta, może ogórki. Podstawowymi warzywami, przechowywanymi w „ciemnej piwnicy” na całą zimę były kartofle, marchew, buraki, pietruszka, pory, cebula, a z owoców- zimowe jabłka. Jabłka miały przedtem osobną piwnicę z półkami, ale ona została zabrana przez Ruffów. Pozostałe warzywa i owoce jadło się tylko w sezonie: szparagi, pomidory, ogórki, a z owoców truskawki, maliny, porzeczeki i wszystkie wspaniałe owoce z sadu. Zmarły niestety, chyba zimą 1939/40 roku, morele i brzoskwinie. Przez całą okupację obowiązywały kartki na podstawowe artykuły spożywcze: mięso, chleb, masło, margaryne, cukier, kaszę, marmoladę. Ilości tych produktów były bardzo małe, niewystarczające do wyżywienia się, a jakość ich przedstawiała wiele do życzenia: mięso często z „taniej jatki” (ze zwierząt chorych, dobitych); chleb, nie wiadomo dlaczego z dodatkiem mąki jęczmiennej, (żeby było dziwniej- kasza często była żytnia)- nigdy świeży- nie wolno było sprzedawać świeżego chleba; marmolada z pastewnych buraków, farbowana. Czego nie można było kupić nigdy? Ryżu, mąki pszennej, manny, herbaty (jedynie ziołowy „Ersatz”), kawy (poza zbożową), żadnych słodczy, nie mówiąc już o wędlinie, czy jakichkolwiek przetworach z mleka, jak sery- białe czy żółte, śmietana. Mleko mogliśmy kupować w zlewni, ale tylko odciągane, aż niebieskie z braku odrobiny tłuszczu. W okresie mieszkania we własnym domu ratowało nas hodowanie świń i kur. Po odstawieniu jednej świni wolno było drugą zabić dla siebie, a Gmina skrzętnie obliczała, na jaki czas ma to nam wystarczyć i nie wydawała na ten okres kartek na mięso. Naturalnie ogromnym plusem takiego rozwiązania było to, że mięso było dobre, wędliny- marynowane i wędzone wg starych, dobrych przepisów; surowe, nie gotowane, mogły być przechowywane dość długo. Był też pewien zapas tłuszczu, gdyż na ówczesnych świninach słonina była gruba. Do dziś surowa szynka lub polędwica kojarzy mi się z tamtymi, pysznymi wędlinami, robionymi przez Macię. Można też było- choć nie wiem, czy zawsze się udawało- zamienić kartki na

chleb na mąkę. Wtedy Macia piekła domowy chleb (świetny piec do chleba był w kuchni letniej w piwnicy). Dzięki kurom mieliśmy jajka, które były dla nas znaczącym źródłem białka. Nie wiem, czy zdobylibyśmy się na zjedzenie hodowanych przez nas królików. Mieliśmy z Dzikim dwie białe królice- angory. Inga też chciała mieć królika i dostała białego, krótkowłosego samca. W 1943 roku mieliśmy już całe stado białych, krótkowłosych, ale niestety po przeprowadzce na Czernikówek króliki zamieszkały w zagrodzie w pustej stodole (w oborze nie było miejsca na klatki) i zostały wszystkie, w ciągu jednej nocy, wyduszone przez kunę. Czy zjedliśmy je? Chyba nie, nie pamiętam. Może ktoś zapyta jak to było możliwe, żeby na wsi były takie trudności ze zdobyciem żywności? Otóż większość gospodarstw była zabrana Polakom, a jeśli ktoś został na gospodarstwie, to musiał odstawiać kontyngenty i nie wolno było handlować żywnością pod groźbą surowych kar. Na terenie Czernikowa była dość duża liczba Niemców, zarówno tych miejscowych z okolicznych wsi (Makowiska, Jackowo) jak i przyjezdnych z dalszego Pomorza i Rzeszy. Idąc przez wieś zawsze trzeba się było liczyć z możliwością rewizji pakunku i zatrzymania przez żandarma lub nawet innego, cywilnego Niemca. Chodzenie nocą, wobec godziny policyjnej, było już zupełnie niemożliwe. Dostarczenie czegoś z żywności musiało być takim sporadycznym wypadkiem, że pamiętam jak kiedyś znajomy rybak ze Steklinka (olbrzymie jezioro!) przyniósł ryby, wchodząc dla niepoznaki przez aptekę, a pani Wanda Donarska przynosząc nam mięso z nielegalnie (!!!) zabitej świni, była prawdziwą bohaterką. W pierwszych latach wojny jedyną osobą, która dostarczała nam jakieś produkty żywnościowe dla nas i do paczek, wysyłanych do „Oflagu”, była pani Jadwiga Lewandowska, żona pastora. Pamiętam dzikie tańce, wyprawiane przez Dziką (i to w łóżku, bo był chory) z wyśpiewywaną „arią”: „kielbasa, kielbasa, dajcie mi kielbasy”- gdy pani Jadwiga przywiozła ten nieosiągalny produkt. Znajomość języka niemieckiego i pewność siebie zapewne nieraz torowały jej drogę. Ona to przywoziła nam cukier, z którego, na bazie kartofli, produkowaliśmy cukierki, które wędrowały do sklepu w Lipnie, z którym pani Jadwiga miała „układy”. Na tej produkcji zarabialiśmy trochę cukru. Źródłem słodczy był też własnoręcznie gotowany „fiut” z buraków cukrowych, które zdobywaliśmy jesienią, gdy okoliczni gospodarze wozili je na rampę przy stacji kolejowej. Wozy, z kołami o stalowych obręczach, podskakiwały na „kociach łbach” ulicy, a woźnice chyba celowo często podcinali konie, by trochę więcej buraków spadło dla takich zbieraczy, jak my. Próbował też pomagać nam nasz Tata, przysyłając przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż paczki (czekolada, ovomaltina). Skończyło się to jednak bardzo szybko, ponieważ paczki zaczęły ginąć, co łatwo było stwierdzić, gdyż korespondencja między nami była dość regularnie prowadzona. Na Czernikówku było jeszcze gorzej. Ogrodu nie było, miejsca na hodowlę zwierząt też brak. Gospodarz domu, w którym mieliśmy kuchnię, pan Stanisław Miazgowski, miał niedużo ziemi, nie wiem, jak zdołał wyżywić konia, krowę i zmieścić trochę innych zwierząt w ciasnej oborze. Z zawodu był ogrodnikiem. Zajmował się przede wszystkim produkcją sadzonek warzywnych i kwiatowych. Sadził trochę pomidorów, które zrywane z pola, jeszcze zielone, „dojrzewały” w słomie, w wolnych już inspektach. Państwo Miazgowscy (ona Wiktoria) – rodzice i dwoje dzieci, trochę od nas młodszych – Lala (Izabela) i Dzidek (Włodzimierz) zajmowali połowę domu, czyli pokój z kuchnią. W drugiej, takiej samej części domu, mieszkali przygarnięci przez gospodarzy państwo Kubaccy, którym Niemcy zabrali gospodarstwo na Czernikówku i ich szwagierka, pani Maćkiewiczowa z trójką dzieci – Ziutą (Wiktoria-Józefą), Kazikiem i Tadkiem. Pan Maćkiewicz, kolejarz, był wywieziony do pracy w Rzeszy. Nie wiem, z czego żyła cała ta gromada. Pani Kubacka hodowała jedynie piękną, rasową, bezrogą kozę, wypasając ją na miedzach i rowach, a z dzieci

Maćkiewiczów pracowała Ziuta i chyba Kazik. Gdy piszę te wspomnienia (czerwiec 2008r.) nie ma już wśród nas Dzikka Miazgowskiego (zmarł bardzo młodo po niefortunnej operacji na wyrostek), Kazika i ostatnio (w 2007r.) zmarłej Ziuty, którą jeszcze przez parę ostatnich lat odwiedzałam na CzernikóWKu. Nie wiem nic o Lali, która wyszła za Wojtka Ziemkiewicza (młodsze go brata mojej koleżanki Lidzi – też już nie żyjącej od 1997r.) i zamieszkała w Toruniu; a Tadek, ożeniony z naszą koleżanką Dziunią Kowalską, mieszka w Czernikowie. Na CzernikóWKu mieliśmy więc chociaż pod dostatkiem towarzystwa dzieci – młodszych i starszych od nas. To taka mała dygresja o „tamtych dzieciach”. Mieliśmy także bardzo blisko las – grzyby i szyszki do palenia. Jak skromne było nasze życie w ostatnim roku wojny może świadczyć, jakie zdarzenia utkwiły w mojej pamięci. Pierwsze – to paczka z pszenną mąką od cioci Jadwigi Jagielskiej z Kraśniczyzna (siostry Maci). Na Wielkanoc 1944r. było prawdziwe, pszenne ciasto! A drugi zapamiętany fakt: ktoś podarował nam dwa cukierki, takie podłużne, jak wedlowskie nadziewane karmelki. Ponieważ było nas pięcioro, każdy cukierek został podzielony na pięć części (może cukierki były różne, a może tak poradziliśmy sobie z problemem ułamków), by wszyscy dostali po jednej piątej z każdego cukierka. I tu wkroczyła mądra pedagogika dorosłych: nikt z nich nie odmówił zjedzenia przypadającej nań części, nikt nie powiedział, że to wszystko dla nas, dzieci. Zupełnie inaczej było jeśli chodzi np. o masło. Maciowie jedli obrzydliwą margarynę, a cały przydział masła był dla nas („musicie rosnać”) i dla naszej Mamy („chora”). Czy więc głodowaliśmy? Jakościowo – na pewno tak. Ilościowo – jakoś kombinowało się, by zapełnić żołądek. Potrawy, które pamiętam, świadczą o tym. Zupy – nie na mięsie, z kartoflami – to kapuśniak, szczawiowa z jajkiem, barszcz czerwony, żurek (zawsze stał gliniany garnuszek z kiszającym się żurem, używanym też jako zakwas przy pieczeniu chleba), krupnik jaglany ze świeżymi grzybami (gąskami), kluski z surowych kartofli (specjalność tamtych stron), kotlety z gotowanych kartofli z sosem cebulowym; gdy był tłuszcz – podsmażane kartofle z marynowanymi grzybami – namiastka „sałatki” na kolację, gołąbki z kaszą, kasza ze szpinakiem i sadzonym jajkiem i tym podobne potrawy. A szpinak – to wiosną prawdziwy szpinak z dodatkiem liści rzodkiewki i lebiody, a przez całe lato – po prostu lebioda z dodatkiem żagawek (rodzaj pokrzyw). Wspomniałam grzyby. Grzyby wolno było zbierać, ale trzeba było mieć wykupiony „bilet wstępu do lasu”. Z tym nie było na szczęście kłopotu, bo leśniczy, pan Adolf Fenske, był miejscowym Niemcem, ale porządnym, dobrym człowiekiem i Polacy wiele dobrego mu zawdzięczali. Dopóki był własny ogród – majową „wyżerką” były szparagi (zupa z nich – też). Źródłem utrzymania rodziny – „naszej piątki” – była do końca marca 1944r. praca Macia w aptece. Gdy Mać został przez komisarza apteki, Niemca, zwolniony (właściwie wyrzucony po awanturze) z pracy, nastął czas „chudy”. Wprawdzie Mać czasem dojeżdżał (pożyczonym rowerem) do apteki w Lubiczu (16km) – ale nie wiem czy to było w celach zarobkowych, czy to tylko kontakty organizacyjne (AK) z panem Stefanem Niteckim, aptekarzem z Lubicza. Wprawdzie nam, Dzikkowi i mnie, płacono za pracę w szkółce leśnej (za pracę u gospodarzy – Niemców nie dostawaliśmy nic), ale nie były to wielkie pieniądze. W tym więc czasie Mama sprzedała futro, w którym i tak nie mogła się pokazywać, sprzedała też jeden z zegarków (szwajcarską „Omegę”, którą dla mnie przysłał Tata). Dwa zegarki – „Tissoty” – Dzikka i Mamy „przeżyły” wojnę. Po wojnie Mama dała mi swój zegarek i służył mi on przez długie lata – Dzikka „Tissot” też był długowieczny. Myślę, że nie były to jedyne rzeczy, spieniężone w tym czasie.

A jak ubieraliśmy się przez te lata? Wyjeżdżając z Warszawy w listopadzie 1939r. nie mieliśmy możliwości zabrania dużego bagażu. Zresztą przypuszczam, że nie mieliśmy dużej ilości ubrań, ze względu na to, że rośliśmy i nigdy przed wojną ani nie byliśmy

specjalnie „strojeni”, ani nie było potrzeby kupowania odzieży na zapas. Przyjechaliśmy do Czernikowa w zimowych ubraniach i służyły nam one przez całą wojnę, chociaż rośliśmy nieco. Ten sam zimowy, granatowy płaszcz z kołnierzem i mufką, ta sama niebieska pilotka- służyły mnie; Dzidek w dwurzędowym płaszczu (chyba szarym, w paseczki), czapka z nausznikami. Sposób ubierania dzieci był wtedy inny, niż obecnie. Nie nosiliśmy długich spodni, nawet w zimie, nawet chłopcy. Zwykle bawełniane, prążkowane pończochy (przytrzymywane przez bieliźniany, szyty stanik z gumami- chłopcy też). Te pończochy, a właściwie dziury w nich, były moim utrapieniem, gdyż trzeba je było w nieskończoność cerować, a tą czynność należała do mnie. Obuwie, możliwość jego kupna, to prawie nierealne marzenie. Zimą chodziłam w śniegowcach, w które wkładało się letnie pantofelki (jakieś dziurawe sprzed wojny). Nogi marzły mi okrutnie. Dopiero pod koniec wojny dostałam porządne trzewiki. A było to tak: pan Jan Różański (z zaprzyjaźnionej z Łysakiewiczami rodziny jeszcze z czasów kikolskich), prowadził w Lubiczu zakład rymarski po swym ojcu i wykonywał na zlecenia Niemców różne przedmioty ze skór. Odpowiednią na buty skórę po prostu ukradł, żeby znakomity szewc czernikowski- pan Pawłowski- miał z czego zrobić dla mnie buty. Buty wspaniałe: czarne, sznurowane trzewiki, mogły zastępować śniegowce, bo woda się ich nie miała. Nosiałam je prawie dziesięć lat, bo miałam je jeszcze w czasie studiów na początku lat pięćdziesiątych. A jak było z butami Dzidka? W niedatowanym liście do Taty Dzidek pisał: „dostałem buty z cholewami i żołnierzy i bardzo się z nich cieszę. I z każdego Cioci listu”. Nie wiem, czy było to potwierdzenie otrzymania paczki od Taty, czy tylko podzielenie się wielką sprawą: „mam buty”. Te z cholewami (na Dzidku) zostały dwukrotnie uwiecznione na zdjęciach. Jedno jest prawdopodobnie, sądząc po wielkości Jędrusia Gierycha, zrobione zimą 1940/41 roku, a drugie- dokładnie datowane- 18 maja 1942 roku (w parku w Toruniu, z Mamą i panią Lusią Kasprzykowską). Gdy przejrzymy inne zdjęcia z lat 1940-1943 możemy zobaczyć, jak chodziliśmy obuci w okresach letnich. Często chodziło się po prostu na bosaka, zwłaszcza w ogrodzie i na podwórku, ale robiliśmy też na Czernikówku „zawody” w chodzeniu na bosaka po rżysku. Obuwie powszechnie noszonym, również przez dorosłych, (zdjęcie Maci z Bejem na schodkach), były sandały- trepy drewniane. Był w czasie wojny cały „przemysł” obuwniczy: spody drewniane, dwuczęściowe, połączone paskiem skórzonym jako „zawiasem”, umożliwiającym zginanie się podeszwy. Paski przytrzymujące nogę były szyte z materiału, czasem były nawet wyszywane. Paski skórzane były luksusem! Te wykwintne sandały- trepy nosiło się przeważnie na gołe nogi, skarpetki były rzadkością. Na którymś zdjęciu (z 1940 roku) mignęły jakieś „pepegi” czyli tenisówki, pewno jeszcze przedwojenne, a nawet półbuty włożone na wizytę w Ograszce. Nasze letnie ubrania były nader skromne, co również widać na zdjęciach. Jakieś kretonowe sukienki, nie wiem z czego szyte, bo nie pamiętam, by była możliwość kupienia nowego materiału. Ratowała nas w kompletowaniu jakiej- takiej garderoby pani Władysława Żelechowska, która przyjeżdżała z Lipna i mieszkając u nas trochę szyła (może przerabiała coś ze swoich sukienek?), trochę wyżywała się na gracowaniu ścieżek w ogrodzie, dzięki czemu była widoczna przez Ruffów jako pracująca. Była dobrą krawcową i całymi latami zjeżdżała do Kikoła, a potem do Czernikowa i obszywała rodzinę. (W latach 1922-1932 była na emigracji zarobkowej w U.S.A.). Gorzej zapewne było z ubraniami na zimę. Jakieś przerobione spódniczki, krótkie spodnie dla Dzidka. Jakaś kamizelka wełniana, latami noszona przez Dzidka i niebieskie serdaczki z wełny, robione szydełkiem przez Mamę jeszcze w Rokitnie. W tamtych stronach nie hoduje się owiec, wełna „swojska” nie istniała, kupić w sklepie nie było możliwości. Nasza umiejętność- Mamy i moja- robienia na drutach, nie na wiele mogła się przydać. Wprawdzie pani Anna Wiśniewska, wioskowa

wyrobnica i praczka, nauczyła mnie robić skarpetki, ale poza jedną parą, którą zrobiłam Maciowi na prezent pod choinkę, więcej nie miałam już z czego robić skarpetek.

Fartuchy i fartuszki obowiązywały zawsze- zimą i latem, i to nie tylko dzieci. Macia też je zawsze nosiła. Myślę, że nie tylko ze względu na kieszenie, ale i na trudności z praniem. Pranie ręczne (lub na tarze), o żadnych proszkach nie śniło się jeszcze. Mydło zwyczajne- dobre było rarytasem, bowiem przydziałowe było paskudne, z piaskiem. Makabryczne było dodatkowo to, że krążyły wieści, iż jest produkowane na ludzkim tłuszczu. Zresztą te wieści mogły mieć realne podstawy. Było niebieskie. Nie znoszę niebieskiego mydła. Dla nas dobrodziejstwem była możliwość ugotowania mydła na swój użytek- potrzebne składniki dostarczała apteka. Byli również wyspecjalizowani, naturalnie nielegalni, producenci mydła, z czego po prostu utrzymywali się. Tego zwyczajnego mydła używało się także do mycia się i do mycia włosów (szamponów nie było!) W aptece także był robiony proszek do mycia zębów. A prasowanie? Kto dziś umiałby prasować żelazkiem na węgle drzewne? Huśtaniem rozgrzać je do odpowiedniej temperatury i nie spalić przy prasowaniu ubrania?

Chciałam na koniec tego rozdziału o naszym życiu powszednim w czasie wojny zebrać to, o czym już niejednokrotnie wspominałam dotąd. O naszej nauce i pracy. Będzie to dotyczyć tylko nas- dzieci. Nauka. Gdyby nie wojna, to pierwszego września 1939 roku poszłabym do drugiej klasy, do szkoły w Warszawie. Dzidek zapewne do pierwszej. Oboje umieliśmy już czytać, ja pisałam normalnym pismem. Dzidek może jeszcze literami drukowanymi. Gdy przyjechaliśmy do Czernikowa, nie było już polskiej szkoły. Nie było już także większości nauczycieli. Wezwani na „konferencję nauczycielską” do Lipna w dniu 17.10.1939 roku, aresztowani, wywiezieni do obozów koncentracyjnych, zginęli wszyscy: pan Stefan Kołaczyński (kierownik szkoły), pan Jan Klimczewski, pan Jan Suski. Zginął również, pochodzący z Czernikowa pan Henryk Ziemkiewicz, który jak jest mi wiadomo od Lidzi, jego córki, uczył w Wejherowie. Zostały przy życiu i mieszkały w Czernikowie dwie nauczycielki: pani Kazimiera Suska i pani Maria Ziemkiewiczowa. Obie z dziećmi. Nie wiem dotąd i chyba już się nie dowiem, czy prowadziły tajne nauczanie (zorganizowane lub niezorganizowane). Na pewno uczyły w miarę możliwości swoje dzieci, borykając się jednocześnie z ich utrzymaniem. Pani Ziemkiewiczowa na przykład latem pracowała w dużym gospodarstwie- Zygmuntowie- zabranym przez Niemców rodzinie Kasprowiczów, między innymi przy plantacji buraków cukrowych, w czym pomagała jej, starsza ode mnie o dwa lata, córka Lidzia. Zimą szła i reperowała worki dla punktu skupu. W książce pana Bogdana Ziółkowskiego: „Tajne nauczanie i konspiracyjna działalność kulturalna na Kujawach Wschodnich i w Ziemi Dobrzyńskiej (powiat lipnowski) w latach 1939-1945”, wydanej we Włocławku w 2005 roku, autor na wstępie rozdziału o tajnym nauczaniu w powiecie lipnowskim przyznaje, że jest ono „najślabiej rozpoznane”- na tle Włocławka, powiatu włocławskiego i nieszawskiego. I tak na przykład lista osób prowadzących tajne nauczanie we Włocławku wymienia 125 osób, w powiecie włocławskim- 89, w powiecie nieszawskim- 125, a w lipnowskim- 43, z czego dwie osoby- panie Zofia Cywińska i Kazimiera Donarska- znalazły się na tej liście dzięki mojej relacji dla autora (o nich napiszę dalej), a z trzech pozostałych, uczących w Czernikowie, to dwaj księża i zakonnica, uczący prawdopodobnie religii. Są to: Genowefa Jasińska (Czernikowo-Działyń) i księża Stanisław Piotrowski i Michał Ślipek. Ksiądz Piotrowski zastępował aresztowanego proboszcza Czernikowa, księdza Antoniego Tymińskiego, który zginął w Dachau i jest pochowany w Czernikowie. Ksiądz Stanisław Piotrowski, związany z „organizacją podziemną” został aresztowany już w listopadzie 1940 roku. Jego obszerny biogram znajduje się w II tomie Włocławskiego Słownika Biograficznego. W książce pana Bogdana

Ziółkowskiego nie są wymienione ani pani Suska, ani pani Ziemkiewiczowa, ani pani Usenkowa, która uczyła w Czernikowie zaraz po wojnie (nie wiem gdzie mieszkała w czasie wojny). Dzięki temu, że Maciowie przygarnęli w 1939 roku całą rodzinę państwa Cywińskich, a wśród sióstr Cywińskich była nauczycielka- „pani Zocha”- zaczęliśmy się uczyć. Zimą 1939/40 pani Zocha przerobiła z nami pierwszą i drugą klasę, ale chyba już wiosną 1940 roku wyjechała do „G.G” (w kieleckie- Bożki- nie mogę znaleźć ich na żadnej mapie), zostawiając nam podstawowe podręczniki na następną lub następne dwie klasy. Na pewno były to podręczniki do matematyki, z języka polskiego mieliśmy tzw. „wypisy”. Była to książka, w której były nowelki i opowiadania różnych autorów i dużo, dużo wierszy. Między innymi pamiętam bajkę Ignacego Krasickiego „Czapla, ryby i rak”, „Dziad i baba”, „Paweł i Gawel” (czyje?) i wiele fragmentów z „Pana Tadeusza”. Zadania z matematyki przerabiałam sama, wierszy uczyłam się namiętnie, a jedynymi „wypracowaniami” z języka polskiego były chyba tylko listy pisane do Taty przez parę lat (1941-1944). Niestety nie mam żadnego z tych listów; parę „listów” Dzidka zachowało się chyba tylko dzięki temu, że były to rysunki z podpisami Dzidka. Nie mieliśmy podręczników do żadnych innych przedmiotów. Książki polskie były na tym terenie, zwanym przez Niemców Prusami Zachodnimi- „Westpreussen”, tępione bezwzględnie (palono książki z bibliotek). Nie było więc możliwości kupienia, czy legalnego wypożyczenia żadnej polskiej książki! W domu, w którym już od dawna nie było dzieci, nie było odpowiedniej lektury dla nas. Macia czytała nam wieczorami „Potop”, ale czytała w ten sposób, że umiejętnie pomijała zbyt drastyczne i okrutne sceny męki i tortur. Stwierdziłam to dopiero wtedy, gdy już po wojnie samodzielnie przeczytałam „Potop”. Dokładnie jednak pamiętam ostatnie sceny „Potopu”, czyli list króla, odczytywany przez księdza w kościele, o czynach pana Andrzeja „Babinicza”. Płakałam. I płaczę zawsze, ilekroć to czytam, słyszę, czy oglądam. Teraz już chyba też trochę dlatego, że wiąże mi się to ze wspomnieniami z dzieciństwa i czytającą pięknie i mądrze Macią. Mieliśmy przecież wokół siebie dość okropności okupacyjnych, a ta lektura była naprawdę „ku pokrzepieniu serc”. Z Warszawy, od cioci Józki Łysakiewicz, dostaliśmy przesłane w paczce (widocznie bez kontroli) książki, które tematycznie wiązały się ze specjalnością Cioci (nauczycielka geografii). Były to: „Anaruk, chłopiec z Grenlandii” Centkiewiczów; „Skarb na Sumatrze” niezapamiętanego przeze mnie autora i „Zamorski diabeł” Wacława Sieroszewskiego. Ta ostatnia książka wbiła mi się w pamięć nie tyle dokładną treścią ile obrazami, które wywoływała w mej wyobraźni. Do dziś pamiętam: drewniane domki małej miejsciny czy wsi na Syberii, skąd wyruszał w daleką drogę bohater powieści, syn zesłańca, zostawiając samotną matkę. Okrutne przygody na Pustyni Gobi i wreszcie dom chińskiej rodziny, u której zamieszkał, by uczyć się języka chińskiego. Parawan, za którym kryły się kobiety, skąd dochodziło pykanie fajeczki z opium, palonej przez starą Chinę. Była też młoda Chinka, której rączka wysuwała się zza parawanu po czajnik z herbatą.

Po wyjeździe „Pani Zochy” chodziliśmy jakiś czas na lekcje, ale chyba bardzo nieregularnie, do domu państwa Kowalskich (obecnie ulica Targowa, czyli droga wiodąca do Osówki i dalej aż do Włocławka), u których mieszkała siostra pani Władysławy Kowalskiej, Kazimiera Donarska, z rodziny Donarskich z Kępiacza. Uczyliśmy się razem z młodymi Kowalskimi- Michałem, starszym ode mnie o dwa lata (po wojnie byliśmy razem w piątej klasie, a potem w gimnazjum w Wymyślinie) i moją rówieśnicą Dziunią (Miroslawą), późniejszą koleżanką Dzidka. Zimą maskowaliśmy swe wyprawy biorąc sanki (dalej były górki do zjeżdżania). Naturalnie nie nosiliśmy żadnych książek ani zeszytów. Latem oprócz nauki były też głośne zabawy na podwórku- na przykład gra w „dwa ognie”. Było to jeszcze w czasie, gdy mieszkaliśmy w Czernikowie. Potem pani Kazimiera

Donarska została wywieziona na roboty do Niemiec („na krótko”- jak napisała mi , na moją prośbę Dziunia w liście z września 2007 roku). Od niej także dowiedziałam się, że pani Kazimiera po wojnie wyszła za mąż za Zygmunta Rydlewskiego i uczyła w Czermnie koło Skąpego, przez wiele lat, aż do emerytury, będąc dyrektorką tej szkoły. Zmarła w 1998 roku. Spotkałam ją po wojnie raz jeden i to zupełnie przypadkowo w Lipnie, u Urszuli, jej siostry najmłodszej, z którą się przyjaźniłam. Poznałam też wtedy wnuczkę pani Kazimierzy-Andżelikę- przemiłą dziewczynę. Córka pani Kazimierzy, też Urszula, proszona przez Dziunię w 2007 roku o napisanie wspomnień o matce z uwzględnieniem jej działalności na polu tajnego nauczania (chciałam je dodać do archiwum pana Bogdana Ziółkowskiego)- odmówiła jakichkolwiek informacji „ponieważ mama żyła skromnie i spokojnie i na pewno by nie chciała rozgłosu”. A ja, widząc panią Kazimierę (chyba w 1996 roku) nie przypuszczałam, że kiedyś mogą mi być potrzebne te wiadomości. Nie miałam jeszcze wtedy pomysłu na pisanie wspomnień i relacji o okupacji, nie znałam jeszcze pana Bogdana Ziółkowskiego. Z „panią Zochą” zetknęłam się po wojnie- państwo Cywińscy wrócili do swego domu na ulicy Moniuszki w Toruniu i przez parę miesięcy (marzec-czerwiec 1946 roku) mieszkalam u nich, przygotowując się do egzaminu wstępnego do drugiej klasy gimnazjum w Wymyślinie. „Pani Zocha” nie uczyła mnie, ale znalazła dla mnie korepetytorów. Byli to dwaj gimnazjaliści. Jeden uczył mnie matematyki i języka polskiego (nie pamiętam jego nazwiska), a drugi, Andrzej Bogusławski, syn nauczycielki ze szkoły na ulicy Sienkiewicza, uczył mnie angielskiego (w Wymyślinie nie było języka francuskiego, którego zaczęłam się uczyć w pierwszej klasie gimnazjum w Lipnie). Ten, choć był dopiero uczniem drugiej klasy gimnazjalnej, nie tylko znał język, miał też wspaniałe metody uczenia, był niesamowitą „piłą”, stawiał bardzo wysokie wymagania. Bałam się go bardzo. Gdyby wszyscy, uczący mnie później języka angielskiego nauczyciele, byli takimi „fachowcami”!

Jesienią 1943 roku Niemcy zorganizowali „szkołę” dla polskich dzieci. Była to jedna klasa, dzieci z różnych roczników, ale tylko do czternastego roku życia. Od tego bowiem wieku obowiązywał przymus meldowania się w urzędzie pracy („Arbeitsamt”) i groźba ewentualnej wywózki do Rzeszy, nawet bez rodziców. Myślę, że Niemcy otworzyli tę klasę z dwóch powodów. Po pierwsze- do Czernikowa przyjechała młoda Niemka, chyba z dziećmi, z któregoś ze zbombardowanych przez aliantów miast w Rzeszy. Zamieszkała w domu stojącym obok szkoły i zatrudniono ją jako naszą „nauczycielkę”. Nie umiała słowa po polsku, uczyła nas rachunków (między innymi tabliczki mnożenia do dwudziestu). Liczby, znaki dla nas zrozumiałe; wystarczyło nauczyć się ich niemieckich nazw. No, ale w tym miejscu muszę przyznać się, że zaczęłam potem myśleć (liczyć w myśli) po niemiecku i zostało mi to na jakiś czas po wojnie; tabliczka mnożenia była po niemiecku!

Oprócz rachunków uczyła nas piosenek dziecięcych- raczej na pamięć, bez pisania na tablicy, o ile pamiętam. Ale oprócz tej „nauki” mieliśmy także obowiązki- sprzątanie ustępów dla niemieckich dzieci, które uczyły się w tym samym domu. (Jest to dom, w którym obecnie jest przedszkole, a przed wojną mieszkali w nim państwo Kołaczyńscy, były też sale szkolne.) Najgorsze jednak było to, że „pani”, wyprowadzona czymś z równowagi- a przecież byliśmy naprawdę grzecznymi dziećmi- biła, i to biła po twarzy, upierścienioną ręką- do krwi. Tego już było za wiele. Gdy tak pobiła naszego kolegę, Jerzyka Miazgowskiego, ryknęliśmy wszyscy, jak na komendę, wielkim płaczem. Nie mogła tego zrozumieć. Pytała, a chyba to było pytanie zwrócone wprost do mnie, bo siedziałam w pierwszej ławce, dlaczego płaczemy. Odpowiedziałam po niemiecku, że nie umiem tego wytłumaczyć po niemiecku. A ona na to: „to powiedz po polsku!” I wtedy usłyszeliśmy w tej klasie pierwszy i jedyny raz głośno, oficjalnie po polsku wypowiedziane moje słowa: „bo nie możemy patrzeć, jak ktoś bije dziecko po twarzy”. Czy rozumiała?

Drugim powodem, dla którego Niemcy łaskawie uruchomili tę klasę dla polskich dzieci było to, że byliśmy zgromadzeni jak na targu niewolników. Na wiosnę zaczęli do klasy przychodzić gospodarze- Niemcy i wybierać sobie pracowników do gospodarstwa. Nauka skończyła się, zaczęła się praca. I o niej będzie teraz moje wspomnienie. Praca. Znalazłam wprawdzie w źródłach, wydanych obecnie, stwierdzenie, że na tym terenie obowiązek pracy dla polskich dzieci był od dziesiątego roku życia, ale wydaje mi się (i tak też wspominają moi rówieśnicy z Czernikowa), że zatrudniano młodsze dzieci. My, to znaczy Dzidek i ja mieliśmy wprawdzie dość pracy w ogrodzie. Pielenie, gracowanie, zbieranie warzyw i owoców- było tego pod dostatkiem. Wycinanie szparagów, zbieranie truskawek, malin czy porzeczek, a nawet rwanie wiśni z karłowatych drzew nie były dla mnie przykrym obowiązkiem. Ale już dość wcześnie, bo w 1941 lub 1942 roku zatrudnił nas pan Fenske do ścinania wrzosu. Nie była to ciężka praca, no i sezonowa. Była nas w lesie gromada dzieci. Leśniczy miał widocznie przydzielony kontyngent dostawy tego surowca. Układało się wrzos w długie rzędy. A do czego służył? Otóż w ziołowej herbacie, o której wspominałam, znaleźliśmy kwiat wrzosu. Pewno inne dzieci, w jakiejś fabryce „herbaty” kontynuowały naszą pracę. Na jesieni 1943 roku, jeszcze przed pójściem do „szkoły”, pracowaliśmy przy kopaniu kartofli. To była mordercza praca. Nie ręczna, motyką, lecz zbieranie rozrzuconych przez koparkę konną kartofli i wrzucanie pełnych koszy do bardzo wysokiego wozu- ponad nasze głowy. A zbierać trzeba było szybko, bo gospodarz koni nie żałował, nas tym bardziej i wyorywał następny rząd, a poprzednio wyorane kartofle musiały być zebrane. Za tę pracę nie dostawaliśmy ani zapłaty, ani nic do picia czy jedzenia. Gdy szliśmy wieczorem z Zygmunta na Czernikówek, płakaliśmy- nie wiem, czy ze zmęczenia, czy z wściekłości. Przed domem otarliśmy łzy, by Mama ich nie widziała. Pracowaliśmy też- już nie pamiętam przy czym- u innego gospodarza, w środku wsi- było to chyba gospodarstwo zabrane Dulczewskim. Ten nawet poczęstował nas czymś do jedzenia i kawą zbożową z mlekiem, obrzydliwie posłodzoną sacharyną, ale jedliśmy na podwórku, na jakimś skleconym z desek stole, bezpośrednio przy olbrzymiej gnojownicy! W 1944 roku groziła nam już praca w majątku w Steklunku. Tam pracowały dzieci dochodzące po kilka kilometrów i chyba właśnie tam pracowały młodsze, niż dziesięcioletnie. Praca była od świtu do zmierzchu. Ten majątek przed wojną był częściowo rozparcelowany. Była jednak „resztówka”, były zabudowania gospodarcze, suszarnia (chyba do cykorii). Niemcy pozabierali Polakom gospodarstwa pochodzące z parcelacji i zrobili ogromną plantację rośliny, która służyła do wytwarzania namiastki kauczuku. Nie wiem, jak botanicznie nazywa się ta roślina- mówiono na nią „buna”, „buma”, „koksaga”. Wiem tylko z opowieści koleżanek, które tam pracowały, że nasiona tej rośliny były podobne do nasion mleczu. Nie wiem, która część tej rośliny była przetwarzana- chyba korzeń- a nasiona zbierano także, co było wielkim utrapieniem, bo bardzo łatwo puch uciekał z wiatrem, a za to karano zbieraczy. Przed Steklunkiem uchronił nas pan Fenske i zatrudnił do pracy na cały sezon w szkółce leśnej. Była ona założona przez niego na południe od wsi, czyli między sadem Lutowskich (podworski, dziś już od dawna nieistniejący), a torami, miała powierzchnię około hektara. Pracowało w niej bardzo dużo dorosłych kobiet i spora grupka nas, dzieci i młodzieży. Na zachowanym zdjęciu jesteśmy tylko my najmłodsi, dorosłe kobiety nie dały się sfotografować. Zdjęcie zrobił chyba pan leśniczy, czyli pan Adolf Fenske. Niestety pamiętam tylko parę osób z tego zdjęcia, a nie zapisałam sobie, gdy mi Ziuta Maćkiewicz, która pracowała z nami, a z którą widywałam się przez ostatnie lata jej życia, mówiła wszystkie nazwiska. To zdjęcie, które miałam przy sobie, gdy wreszcie po latach odszukałam Ziutę, pozwoliło Jej z miejsca uwierzyć, że ja- to ja. Pierwszymi moimi słowami było: „a pamiętasz, jak razem chodziłyśmy z Czernikówka do pracy w szkółce”?

Co robiło się w szkółce? Można by żartobliwie powiedzieć, że „szkoliło” się drzewa, a właściwie „przedszkoliło” od nasienia do drzewka, mogącego być posadzonym na stałe miejsce. Od wiosny do jesieni pełło czy tam pielilo- pełło, pełło- zagonki zasiane nasionami świerku, sosny, dębu, klonu. Naturalnie było też przesadzanie, w odpowiednim terminie, coś w rodzaju pikowania, bo dopiero odpowiednio podrośnięte drzewka mogły być wysadzane do lasu czy przy drogach. Pielenie wschodzącego świerku jest uciążliwe- roślina mała, niepozorna- parę „piórek”- łatwo ją było wyrwać razem z zielskiem. Mieliliśmy na zielsko koszyki z metalowej siatki. I mieliśmy też niezbyt sympatyczną brygadzystkę- panią B. (chyba przedwojenną właścicielkę sklepu), która potrafiła grzebać w koszyku z zielskiem i szukać, czy się przypadkiem nie wyrwało razem z nim małego świerczka. A o to nie było trudno. Naturalnie skutkiem tych rewizji było to, że jeśli komuś rzeczywiście to się przytrafiło, to świerczek był wciskany głęboko w ziemię. Lato 1944 roku było upalne- pamiętne lato Powstania Warszawskiego! Przy pielieniu starałam się czołgać na kolanach tyłem do słońca, o ile było to możliwe. Plecy i kark miałam tak spalone słońcem, że ta opalenizna dotrwała do następnej wiosny. Za pracę w szkółce leśnej otrzymywaliśmy regularnie, normalną płacę. Naturalnie zupełnie nie pamiętam ile to wynosiło, ale jak wspomniałam poprzednio, był to jedyny, oficjalny dopływ gotówki dla naszej rodziny w 1944 roku. Na szczęście było to już prawie w „przededniu” styczniowego przetoczenia się frontu- tym razem ze wschodu na zachód.

„Nasza piątka”



W tym miejscu nie oryginalnie będzie do zdjęć, ale w większej formie

Od połowy listopada 1939 roku do końca wojny, czyli w Czernikowie do przejścia frontu w dniu 22 stycznia 1945 roku byliśmy „piątką” (później było nas więcej) Maciowie utrzymywali nas, troszczyli się o nasze bezpieczeństwo i zdrowie, i nigdy nie dali nam odczuć, że robią nam jakąkolwiek „łaskę”. Byli wspaniali!

Zdjęcie zrobione w ogrodzie, na bocznej alejce obsadzonej, jak widać, margerytkami. Fasola na tyczkach, za nami karłowate wiśnie i drzewa od ulicy- jesioklony i wierzby. Brak daty (1941 lub 1942 rok) i niepewny wykonawca, raczej „LL”.

Lucjan Lewandowski



Postscriptum 1

Warunki naszego dziecięcego życia w czasie okupacji różniły się zasadniczo od warunków naszych rówieśników, zamieszkałych w „GG”. Pamiętam taką scenę, gdy w 1948 roku znalazłam się w gimnazjum w Skarżysku w klasie „dziewiątej A”. To była dawna czwarta klasa gimnazjum, okrojona z programu, by absolwenci klas ósmych, chodzący do klasy dziewiątej (bez „A”) mogli razem z nami zdawać maturę po jedenastej klasie. Otóż jedna z koleżanek po otrzymaniu „pały” z jakiegoś przedmiotu tłumaczyła mi się, że w czasie wojny w szkole nie uczyła się historii i geografii, a język polski „przerabiano” na podstawie jakiegoś pisemka- szmatławca wydawanego przez Niemców. (To prawda). No i że w związku z tym musiała douczać się nielegalnie na korepetycjach. Ja na to: „a ja w ogóle nie chodziłam do szkoły”.

W tej samej dziewiątej „A” na lekcji botaniki padło pytanie, kto może opowiedzieć o uprawie jakichś roślin. Zgłosiłam się i powiedziałam jak „hoduje się” las od nasienia do wysadzenia sporej już rośliny. Dostałam piątkę i ... pytania od koleżanek: „a skąd ty to wiesz”? Bo to właśnie robiłam w czasie wojny, to była moja szkoła- odpowiedziałam.

Postscriptum 2

Powojenne, czy to zasadnicze reformy w szkolnictwie, jak wprowadzenie jedenastolatki, czy celowe ograniczanie programów z takich przedmiotów jak język polski i historia, fatalnie odbiły się na naszej wiedzy. Dla mnie zaczęło się to już w klasie dziewiątej A. Zabrakło w programie chemii, z przyrody- nauki o człowieku. Język polski, czyli właściwie historia literatury, znów zaczęła się od „Bogurodzicy”. Historia też wlokła się gdzieś w zamierzchłych czasach, by przypadkiem nie wejść na śliski grunt walk o niepodległość. Na poziomie były tylko matematyka i fizyka, ale tu nie bez znaczenia byli wspaniali nauczyciele tych przedmiotów. W związku z reformami szkolnictwa po wojnie chodziłam kolejno do następujących klas: w powszechnej szkole- pięć miesięcy w 1945 roku- do piątej, w gimnazjum do pierwszej (zresztą tylko parę miesięcy) i drugiej, potem znów do drugiej (dawna trzecia) i dziewiątej A (dawna czwarta). Ponieważ przeniosłam się do „mechanika”- między innymi dlatego, że w jedenastolatce zlikwidowano podział na klasy humanistyczne i matematyczno- przyrodnicze- musiałam zaliczyć tam „zerówkę”, by po pierwszej licealnej awansować ... do czwartej, właśnie utworzonego technikum. Uff, ale na tym był koniec mojego zmagania się z reformowanymi szkołami i matura w 1952 roku.

Postscriptum 3

Nie byłoby mojej matury ani w 1952 roku, ani w 1951 (jeśli zostałabym w „ogólniaku”), gdyby nie okoliczności, jakie zaistniały w szkole w Czernikowie w 1945 roku. Był już maj i chodziłam do klasy piątej, połączonej z szóstą. Było to spowodowane brakiem nauczycieli i tym, że część naszej klasy, przeważnie koledzy, pokończyli w 1939 roku piątą klasę i wydawało się, że powinni być w wyższej klasie, niż ci młodszy. Było nas w klasie siedem roczników! I wtedy w Czernikowie zjawiała się, przysłana przez kuratorium w Lipnie, nauczycielka, którą popowstaniowy los rzucił do Lipna. Była to nauczycielka geografii z warszawskiego gimnazjum. Uczyla zawsze młodzież miejską, wymówiła więc sobie „najstarsze dzieci”. Kiedy zobaczyła naszą klasę, tych chłopów „pod wąsem”, kiedy zrobiła jakiś sprawdzian i stwierdziła, że przedstawiamy mniej więcej równy poziom wiedzy, zadała jedno pytanie: „co macie zamiar robić po piątej klasie?” „Zdawać do szkół średnich”- padła odpowiedź. Pani Zielińska zorientowała się w Lipnie, jakie będą wymagania na egzaminach wstępnych. Potem zrobiła z nas jedną klasę i prowadziła wszystkie przedmioty. Rok szkolny 1945 trwał do końca lipca. W sierpniu wszyscy, którzy mieli zamiar zdawać egzamin do szkoły średniej mogli przychodzić na bezinteresownie prowadzone lekcje do pani Zielińskiej, prowadzone przez nią w remizie strażackiej (mieszkała obok u państwa Zagrabskich). Wszyscy zdaliśmy do różnych szkół średnio-ogólnokształcących, handlowych, technicznych- w Toruniu, Włocławku, Lipnie, Wymyślinie. Byli to: Basia, Lidzia, Mirka, Lusja, Terenia, Zosia i ja; Michał, Zygmunt, Sławek, Janek, Piotrek, Stach, Janusz, Tadek (może kogoś pominęłam). Wszyscy skończyli szkoły średnie, wiele z nich pokończyło też studia- dzienne, wieczorowe czy zaoczne. Jestem przekonana, że stało się to w dużej mierze dzięki Pani Zielińskiej, która dostrzegła różnicę w warunkach, w jakich żyła i uczyła się młodzież warszawska w czasie okupacji, a jakie warunki mieliśmy my i dołożyła wszelkich starań, by nam pomóc. Od września 1945 roku Pani Zielińska dostała posadę w gimnazjum w Lipnie. Niestety nie znam dalszych Jej losów. Nie znam także Jej imienia. W materiałach dotyczących nauczycieli, związanych z tajnym nauczaniem na terenie Warszawy, które otrzymałam szukając śladów Cioci Józki Łysakiewicz, znalazłam Janinę Zielińską, geografkę. Możliwe, że to była nasza Pani Zielińska. Cześć Jej pamięci!

Może więc Pani Zielińska
 zio i państwo Pani Iwona
 z Liceum w Wymyślinie?
 Sugestia mi to Jej kuracja,
 a mój kolega - Zygmunt
 Iwona z Siedlisz

Trzeba byłoby jakoś zakończyć te opowieści o okresie wojny i naszym dzieciństwie, bo od stycznia 1945 roku bardzo dużo zmieniło się w warunkach życia i sytuacji rodzinnej. Do Czernikowa przyjechał Wujek Janek z żoną Aliną, częściowo też był w Czernikowie Wujek Władek (już po wojnie został powołany do wojska), ale ciągle jeszcze brakowało- aż do listopada 1946 roku- naszego Ojca. Dalej więc byliśmy z Mamą u Maciów. Chcę jednak powrócić do okresu wojny i zwrócić uwagę na to, jak funkcjonowała ta „nasza piątka” w okresie wojny i jak wpłynęła na ukształtowanie nas, dzieci. Można by powiedzieć tak, jak w znanym dowcipie o podziale obowiązków męża i żony. Wszystkie sprawy najważniejsze, a więc polityka międzynarodowa, przebieg walk toczonych na wszystkich frontach wojny, a w związku z tym lektura niemieckich gazet i komentowanie zawartych w nich wiadomości- należały do Macia. (Mać mówił- żeby podnieść ducha w okresie niemieckich zwycięstw:- „tak bardzo kłamią, żeby każdy mógł powiedzieć, że przecież w tym coś musi być prawdy”. Niestety, do pewnego czasu, to była prawda). Do Macia należała naturalnie praca w aptece, ale pomagała Mu w tym Macia, a czasem i my w drobnych, ręcznych pracach. A jaki był Mać? Zajęty w ciągu dnia apteką, wieczorami siedział w materialni i nakryty kocem (nieraz na głowę), przy lampie naftowej, uczył się niemieckich słówek. Tak zastawiliśmy Go co wieczora, gdy szliśmy mówić Mu „dobranoc”. W niedzielę lubił brać nas na wędrowniki- na Kępiacz do państwa Donarskich, nad jezioro w Steklunku, a kiedyś byliśmy w jakiejś gajówce- chyba aż pod Obrowem, skąd odwieziono nas końmi. (Tę wyprawę zapamiętałam może dzięki temu, że oprócz zabawy z dziećmi był podwieczorek i piliśmy prawdziwe kakao z pianką na prawdziwym mleku, ale ta wyprawa była, jak się teraz mogę domyślać, w sprawach organizacyjnych- tam bowiem mieszkał łącznik AK-owski, gajowy Celmer). Gdy Mać był zdenerwowany (a był raptusem), lub nad czymś głęboko rozmyślał, chodził po pokoju z rękami w kieszeniach i co chwilę pociągał nosem. Był wtedy „nieobecny”. Takim Go pamiętam, gdy postanowił rozstać się z pamiątkami po swym ukochanym synku. (Wiedzieliśmy od Maci, że w szufladzie komody leży ubranko dwuletniego Stefanka. Nie wolno nam było tam zaglądać. Również od Maci wiedzieliśmy, że Mać śpiewał umierającemu na białaczkę Stefankowi „Kalinę” Ignacego Komorowskiego. „Kaliny” nie śpiewało się w naszym domu- to było tabu. Stefanek zmarł w Skąpem). Mać po takim „marszu” po pokoju zabrał ubranka i zaniósł jakiemuś dziecku „na piaskach”, gdzie mieszkała największa biedota. Na pierwszy rzut oka był poważny i zasadniczy, ale był bardzo dobrym człowiekiem, wrażliwym na ludzkie potrzeby. W Czernikowie nie zawsze był lekarz, weterynarza chyba nie było. Wielu ludzi nie było stać na wizytę u lekarza. Przychodzili do apteki- „po poradę”. Dostawali lekarstwa dla ludzi, dla zwierząt, często nie płacąc za nie, jeśli było wiadomo, że „aż bida piszczy”. Mać był poglądów lewicowych w dobrym tego słowa znaczeniu. Był sympatykiem, bo nie przypuszczam, by członkiem PPS-u- tego PPS-u Marszałka Piłsudskiego- i gorącym wielbicielem samego Marszałka. Jego poglądy lewicujące nie były jednak „czerwone”, bo pamiętam, jak doszła do nas w kwietniu 1943 roku, szeroko nagłaśniana przez prasę niemiecką, wiadomość o odkryciu grobów w Katyniu i wiele osób, widzących na co dzień zbrodnie niemieckie, posądzało Niemców, a Mać powiedział: „jeden drugiego wart, mogli to zrobić Rosjanie”. Pochodził przecież z zaboru rosyjskiego, echa Powstania Styczniowego (ojciec Macia, Władysław, uczestniczył w Powstaniu), zsyłki na Sybir i rusyfikacja były Mu dobrze znane. Był także społecznikiem, na miarę czasów i możliwości. W Kikole i w Czernikowie był zaangażowany w amatorskim ruchu teatralnym, należał do Ochotniczej Straży Pożarnej. Naturalnie okupacja na tych terenach całkowicie uniemożliwiła udział w tych poczynaniach. Grał także na pianinie i śpiewał, także w domu, dopóki wójt- Niemiec nie zabrał pianina, które już nigdy nie wróciło do rodziny. Z cech osobistych, godnych

naśladowania, muszę wymienić dwie: nie palił i nigdy nie pił alkoholu- żadna „okazja” typu święta czy imieniny nie była dostateczną okazją do sięgnięcia po kieliszek.

A co należało do Maci? Sprawy „przyziemne”, czyli prowadzenie domu i ogrodu i podejmowanie wszystkich decyzji z tym związanych, a więc staranie się o żywność i inne artykuły dla domu, jak np. opał (jeździliśmy razem po drewno do lasu- zmarłam kiedyś okrutnie jadąc na furze drewna z panem Szenfeldem, zaprzyjaźnionym gospodarzem z Kolonii), załatwianie z Niemcami spraw w gminie (Mać uczył się niemieckiego, a rozmawiała w razie potrzeby- Macia), kontakty z ludźmi osobiste i listowne z rodziną. To Ją uważaliśmy za głowę rodziny i była nią rzeczywiście. Do Niej chodziło się z potrzebami i po decyzje i to Ona była ostatnią i nieodwołalną instancją w rodzinie. Aż trudno sobie wyobrazić, że w tak ciężkich warunkach zawsze była pogodna, mimo trosk i zagrożeń, a nasze głupie kawały potrafiły Ją rozśmieszyć dosłownie do łez. Pamiętam taki przypadek, gdy nauczyliśmy nieświadomą niczego Inge, która weszła do pokoju, stanęła na baczność i wyrecytowała: „ja jestem dupa”. Macia płakała ze śmiechu, ale mogło się to smutno skończyć. Macia była wspaniałym pedagogiem. Bez mentorstwa, bez górnolotnych nakazów i zakazów. Umiała też wycofać się „z twarzą” wobec dziecinnego uporu, jeśli to było możliwe. Rzucała w tym przypadku jakieś swoje powiedzonko typu „nie musisz Anielciu”. W tym miejscu muszę wspomnieć właśnie te Jej powiedzonka i przysłowia. Część z nich jest zapewne znana zbieraczom przysłów, reszta to jednak chyba zawdzięcza Maci swe istnienie. Mówią one o Jej podejściu do różnych aspektów życia, postępowania ludzi, etyki. Oto one:

„Gdy Pan Bóg chce kogoś ukarać, to mu rozum odbiera.
 Złego kościół nie naprawi, dobrego karczma nie zepsuje.
 Jak ktoś szuka, a Pana Boga prosi, żeby nie znaleźć, to nie znajdzie.
 Naści nieboże, co mi przez gardło przejść nie może.
 Psie głosy nie idą w niebiosy.
 Nie rychło Marychno po śmierci wędrować.
 Jak ci dwóch mówi, żeś pijany, to idź spać.
 Co wolno wojewodzie, to nie tobie smrodzie.
 Za pan brat świnia z pasterzem.
 Pycha rozdyma, duma rozpycha.
 Nie wierz gębie, połóż na zębie.
 Za tanie pieniądze psi mięso jedzą.
 Nie mówi się „nieprawda”, mówi się „łżesz Bartku”.
 Każda potwora znajdzie swego amatora”.

Pozostawiam to bez tłumaczenia i komentarzy. Każde z nich- Macia i Mać- było innej natury, innego temperamentu. A co było im wspólne? Podejście do ludzi: akceptacja, nie tolerancja. Akceptacja, bez względu na narodowość, wyznanie, stopień wykształcenia, zamożność. Zapatrywania polityczne w tym czasie nie były może aż tak ważne- ważne było jednoznaczne określenie- nieporządny, czy porządny Człowiek. Celowo nie piszę Polak-tylko Człowiek. Bo przecież pan Adolf Fenske- Niemiec, ewangelik- był Człowiekiem. W czasie wojny ożenił się ze swą przedwojenną narzeczoną, wychowanką swego pracodawcy, panią Krystyną, która była adoptowanym przez Polaków- katolików żydowskim dzieckiem. (Oboje są pochowani na cmentarzu w Czernikowie, gdyż pan Fenske został po wojnie w Polsce; wielu Polaków zeznawało na sprawie sądowej na jego korzyść). To on ostrzegał zaufanych Polaków przed grożącą im wywózką do Rzeszy, a nawet przechowywał ich u siebie przez jakiś czas. Zatrudniał w tym samym celu u siebie dwoje z rodziny Hermanowskich (ojciec w AK!)- Piotrkę jako parobka, a Krysię w szkółce

leśnej. Nas też zatrudnił, by uchronić nas od pracy w Steklunku- o czym pisałam. Ułatwiał nam także zakup drewna na opał. Zaakceptowane zostało przez Maciów małżeństwo byłego księdza katolickiego- późniejszego pastora- Lucjana Lewandowskiego z panią Jadwigą Riedel pochodzącą ze spolszczonej rodziny holenderskiej lub niemieckiej. Ta przyjaźń zawiązała się prawdopodobnie jeszcze w czasach „kikolskich”, gdy ksiądz Lucjan Lewandowski był proboszczem katolickiej parafii w pobliskim Suminie i przeniosła się na następne pokolenie- jeszcze w latach dziewięćdziesiątych Wujek Janek otrzymał życzenia imieninowe od swego przyjaciela, syna pastora, też Lucjana. O działalności i postawie Pani Jadwigi- pisałam poprzednio. Pastor (tu podaję za Andrzejem Mietzem z monografii Czernikowa) został przez Niemców aresztowany i do końca wojny był w obozie w Dachau; nie wyrzekł się polskości, nie załamał się . Przeżył obóz, owdowiał w 1964 roku, zmarł jako pensjonariusz domu starców w Węgrowie w 1965 roku.

Ewangelikiem, wspomniałym Polakiem i wspomniałym lekarzem był dr. Krauze, który może miał dość bliskie pochodzenie niemieckie, gdyż bardzo obawiał się nagabywań Niemców do podpisania „Volkslisty”. Wyjechał więc nielegalnie z rodziną na załatwione przez Macię miejsce w „GG”- do Kraśniczyna, gdzie aptekę miał szwagier Maci- Bolesław Jagielski. Dr. Krauze prawdopodobnie nie doczekał końca wojny i zmarł na gruźlicę.

Życzliwie było też traktowane przez nas małżeństwo Ableitingerów, którzy krótko mieszkali na piętrze, jeszcze przed Ruffami. On- Austriak- żandarm, nie odznaczał się krwiożerczością w stosunku do Polaków i chyba dlatego bardzo szybko pozbył się go z Czernikowa okrutny komendant Ziemel (vel Ziemer). Żona Ableitingerów- Julia- była Czeszką z prześladowanej przez Niemców rodziny, o czym opowiadała nam sama. Mielśmy też do pewnego czasu kontakty z rodziną Reinłów. On- a więc i rodzina- był Volksdeuschem, był prawdopodobnie kierownikiem składu węgla. Dzieci chodziły do niemieckiej szkoły, ale w domu mówiły po polsku. Pamiętam nasze wizyty u nich (i to z Mamą!) w domu, do którego szło się nie przez wieś, tylko ścieżką na tyłach domów i sadu Lutowskich. Kryła się jakaś tajemnica w tej rodzinie, bo po pierwsze nie wyobrażam sobie, by Mama utrzymywała jakiegokolwiek kontakty z kimś niepewnym lub wręcz podejrzanym, a po drugie Reinlowie opuścili wprawdzie Czernikowo, ale nie Polskę- zamieszkali na Mazurach i po wojnie, już ze Skarżyska, byliśmy u nich całą rodziną Szulców, wędrując po Mazurach i północnej Polsce.

Na terenie Czernikowa przed wojną mieszkały tylko dwie lub trzy rodziny żydowskie. Pani Zofia Waszkiewicz w monografii Czernikowa podaje: „ z Żydów mieszkających w gminach Czernikowo, Mazowsze- nie ocalał prawdopodobnie nikt”. A jednak ocalał. Pamiętam jak zaraz po wojnie przyszła do Maciów młoda Żydówka, pochodząca z Czernikowa i opowiadała, w jaki sposób przeżyła. W 1939 roku była może uczennicą gimnazjum, może już po maturze. Znała świetnie język niemiecki. Zdażyła wyjechać do Warszawy i dzięki pomocy Polaków i „legalizacji”otrzymała „aryjskie” dokumenty, sama zgłosiła się do pracy u Niemców i w jakimś urzędzie przetrwała jako tłumaczka całą wojnę! Nie na darmo przysłowie mówi: „najciemniej jest pod lampą”. Dlaczego ona przyszła właśnie do Maciów? Może dlatego, że wiedziała, że nikt jej nie odtrąci, nie zlekceważy dlatego, że jest Żydówką? Pamiętam, jak w czasie wojny Macia na stwierdzenie jakiejś baby, że dobrze, iż Niemcy mordują Żydów, bo oni ukrzyżowali Jezusa- wybuchnęła: „a Matka Boska i Jezus to kim byli, przecież też Żydami”! Czy z tych przykładów wynika, że Maciowie otaczali się innowiercami, że ich w jakiś sposób faworyzowali? Nie. Przecież cała reszta społeczności wiejskiej (nie licząc okupantów), to byli Polacy, katolicy, a jak na wieś parafialną i gminną przystało, oprócz rolników i księdza proboszcza (zdjęcie księdza Antoniego Tymińskiego, który zginął w Dachau, było

w zbiorach Maci) byli jeszcze nauczyciele z rodzinami (Kołaczyńscy, Klimczewscy), rodzina rejenta Chmielnickiego, rodzina sekretarza gminy- Małasowie, różni rzemieślnicy- Szychowscy, szewc Pawłowski (moje buty!), murarz Adam Kowalski (ojciec Michała i Dziuni), który budował nasz dom, ogrodnik Stanisław Miazgowski, który zakładał sad i ogród i przygarnął nas, gdy nie mieliśmy gdzie mieszkać, piekarz Laszkiewicz, krawiec Wojciechowski, fryzjer Pawlak. Był właściciel restauracji Szymon Zagrabski, inwalida pierwszej wojny światowej (rozstrzelany w 1940 roku) i właściciele sklepów- Szymańscy, Czajkowscy, Grabkowscy, więksi i mniejsi gospodarze- Kasprończycy „na Zygmuntowie”, Kwiatkowscy „na Kalmuziaku”, Donarscy „w Kępiaczu”, Kubaccy, Dulczewscy, Lutowscy, Drzażdżewscy. Maciowie przez lata wtopili się w tę społeczność Czernikowa, szanowali ją i byli szanowani. Dziś to pokolenie już nie żyje, żyją niektórzy ich potomkowie i ... pamięć. Jeszcze przed kilku laty niejedne serca i drzwi w Czernikowie otwierały się przede mną na hasło: „z rodziny Łysakiewiczów”. A Mama? Kim była w tej „naszej piątce”? Dla nas- po prostu Mamą. Na pewno sytuacja Jej nie była normalna, na pewno było Jej bardzo ciężko przez te wszystkie lata bez męża i zwykłej, pełnej rodziny. Dawało się odczuć jakąś specjalną, troskliwą opiekę Rodziców nad Nią. Przypuszczam na podstawie wypowiedzi Maci oraz wzmianki w liście Wujka Janka o jakimś leku, o który starał się dla Mamy w Warszawie, że Jej choroba- nadczynność tarczycy (choroba Basedowa)- ujawniła się już przed wojną. W czasie wojny o żadnym leczeniu u specjalisty nie mogło być mowy. Po wyjeździe doktora Krauzego byli jeszcze w Czernikowie dwaj lekarze- najpierw „Volksdeutsch”- von Przewoski, a pod koniec wojny Niemiec i to nawet dość przyzwoity, ale nie wiem, czy leczył Mamę. (Pamiętam jak mnie wysłał na prześwietlenie płuc do Torunia, gdy na Czernikówku mieszkaliśmy w jednej sieni z chorym na gruźlicę, a ja przez długi okres nie mogłam pozbyć się kaszlu). Jeśli chodzi o Mamę, to nie wiem, czy jakiegokolwiek zaświadczenie lekarskie mogłoby być brane pod uwagę przez Niemców, gdyby chcieli wysłać Ją do pracy w Niemczech. Inna sprawa, że Niemcy wywozili do Rzeszy, do pracy w gospodarstwach, których właściciele byli w wojsku- przeważnie albo całe rodziny, którym np. zabierano gospodarstwo lub dom, albo samych młodych mężczyzn. Mama uchowała się więc przez całą wojnę. Starła się nie kłuć w oczy swoją osobą, nie chodziła po wsi, do sklepów, ani nigdzie indziej. Jedyny raz, który pamiętam, że była w gminie, to na wezwanie w związku z naszym niemieckim nazwiskiem, a więc była to „propozycja” wpisania się na tzw. trzecią listę, czyli „Angedeuschów”. Odmówiła. W tym czasie prawdopodobnie wiele osób było namawianych do tego, bo pamiętam, jak wspomniany już przeze mnie znajomy gospodarz z Kolonii (obecnie ulica Leśna)- pan Szenfeld (lub Szejnfeld) opowiadał nam, jak jego namawiano, a on uparcie powtarzał: „wiary nie zmienię”. Naturalnie udawał, że nie wie o co chodzi. Wtedy jako argument powiedziano mu, że Hitler też jest katolikiem (!!!), a on uparcie swoje: „wiary nie zmienię”. Dali więc spokój „głupiemu, polskiemu chłopu”.

Wracam do Mamy. Pracy w domu nie brakowało, a od wiosny do jesieni Mama bardzo dużo pracowała w ogrodzie. Piękna była, założona przez Mamę, kwatera kwiatowa. Dodatkowa ścieżka została przeprowadzona naprzeciwko werandy przez całą kwaterę i przy niej były zagony pełne kwiatów- i tych wieloletnich („moje floksy”), i jednorocznych- sianych i sadzonych co roku. Drzewa owocowe były jeszcze bardzo młode, nie rzucały cienia na tę część ogrodu. Na tej ścieżce jest zrobione zdjęcie grupowe z panią Władysławą i Ingą, a także zdjęcie Maciów, które dopiero teraz (marzec 2009) dostałam do reprodukcji od Cioci Zioli (Zofii Wisłowskiej) i odbitkę dodałam do starych zbiorów. Dwie sprawy były na pewno dla Mamy odskocznią od codzienności. Korespondencja z naszym Tata, prowadzona od ujawnienia się „Katarzyny Bączkowskiej” i jej adresu u lekarza- Szwajcara,

która trwała do wyjazdu Taty do Francji. Z wolnej Francji nie mógł już naturalnie pisać do okupowanej Polski i dopiero po wojnie dał o sobie znać- już ze Szkocji. Listy musiały być pisane bardzo mądrze i ostrożnie. Takim świadectwem „ostrożności” są informacje o nas na wysyłanych zdjęciach- np. ile mamy lat! Określenie Jędrusia Gierycha „wypędek z Torunia”- też o czymś świadczy. Niestety z całej korespondencji Rodziców zachowały się tylko trzy listy Taty ze Szwajcarii (z maja 1942 roku) i trzy ze Szkocji (z lipca i sierpnia 1946 roku). Listów moich i Mamy nie ma w ogóle. Jest tylko parę listów- rysunków Dzidka. Prawdopodobnie wszystkie listy przechodziły przez cenzurę; były zawsze jakieś cyfrowe oznaczenia, a kartka często była przekreślona na niebiesko (wykrywanie „sympatycznego atramentu”?) Drugim „luksusem”, na który Mama pozwoliła sobie na początku wojny była nauka języka angielskiego. Uczyła Mamę pani Helena Krauzowa, która być może pochodziła z Polonii amerykańskiej, bo w Stanach kończyła szkołę pielęgniarstwa. Mama przepisała sobie całą książkę- podręcznik gramatyki języka angielskiego (zachował się ten zeszyt) i dostała od pani Heleny przed jej wyjazdem do Kraśniczyna dwie książki. Były to:

1. Standard short course for Evening schools by William Estabrook Chancellor, American Book Company-1911
2. J. M. Barrie's „Peter Pan in Kensington Gardens” retold by May Byron for little people with the permission of the autor. Pictures by Arthur Rackham. New York, Charles Scribner's sons 1930.

Proszę sobie przetłumaczyć. Zwracam uwagę na daty wydania książek.

Myślę, że ta nauka była pewnego rodzaju podtrzymaniem ducha, budzeniem nadziei, że „przyjdą Anglicy i nas wyzwolą”. Czego Mama wg. mnie przez całą wojnę w ogóle nie robiła? Nie rysowała i nie malowała. Nie wiem, czym było to spowodowane, może po prostu zahamowaniem psychicznym albo prozaicznie- brakiem czasu lub odpowiednich materiałów potrzebnych do tego. Do malowania Mama powróciła dopiero po przyjeździe do Skarżyska w 1948 roku.

A jakie były relacje między Mamą i Jej Rodzicami? Na pewno żywiła do Nich wielki szacunek i wdzięczność za opiekę nad nami. Wyraźnie dawała nam poznać, że Maciowie są najważniejsi w rodzinie. Jeśli o coś prosiliśmy Mamę, to kończyło się to zawsze: „jeśli Macia pozwoli”. A przecież te nasze życzenia to były drobiazgi na miarę możliwości tych czasów. Musiała być jednak zachowana hierarchia w rodzinie i to zostało aż do powrotu naszego Taty. Myślę jednak, że miało zasadniczy wpływ na nasze wychowanie, ważny zwłaszcza w tym okresie naszego życia i to na dodatek spędzonego w okrutnych latach wojny i okupacji.

Postscriptum 1

Do swojego domu wróciliśmy po przejściu frontu w styczniu 1945 roku. Wszystkie podłogi po nocowaniu „wyzwolicielei” były zasłane słomą, a w niej wysypane lekarstwa, ekskrementy i granaty. Lekarstwa były też porozsypywane w ogrodzie. Mać długo porządkował aptekę. W marcu został sparaliżowany lewostronnie. Nie było wtedy takich możliwości leczenia i rehabilitacji jak teraz. Przeleżał pięć i pół roku do śmierci. Pracę w aptece przejął Wujek Janek z pomocą Maci. Mać miał jednak całkowicie sprawny umysł, świetną pamięć i w każdej chwili służył wiedzą i radą.

W końcu sierpnia 1950 roku wyjeżdżałam z Czernikowa- kończyły się wakacje. Pociąg miałam wcześniej rano. Wieczorem poszłam pożegnać się. Spał. Długo stałam nad

Jego głową namyślając się, czy Go obudzić. Nie obudziłam. W dwa tygodnie później wczesnym rankiem przyjechałam na Jego pogrzeb. Wszyscy spali. Ponieważ dom był w tych czasach niezamykany na noc, weszłam i bezbłędnie trafiłam do pokoju z werandą, gdzie stała trumna. Była opleciona gałęziami dzikiego wina- jesiennymi, czerwonymi. Mac' zmarł 13 września 1950 roku. Jedyną pociechą mogło być to, że nie dożył upaństwowienia apteki, które nastąpiło parę miesięcy po Jego śmierci, 8 stycznia 1951 roku i odbyło się w bardzo przykry i upokarzający sposób- nocą, z konfiskatą nie tylko apteki, ale nawet pieniędzy z portmonetki Wujka Janka i lekarstw, stojących na nocnym stoliku Maci.

Postscriptum 2

Niestety taki sam los spotkał Macię. W niecałe dwa lata po śmierci Macia była u nas w Skarżysku i wyszła do ogródka narwać fiołków. Wróciła jeszcze o własnych siłach, ale już z wyraźnymi zaburzeniami mowy. Była u nas do późnej jesieni. W wakacje przez pewien okres, kiedy Tata siłą niemal wywiózł Mamę do jakiegoś sanatorium i byli tam razem, ja zostałam z Macią. Były to wakacje po mojej maturze. To był ostatni dłuższy okres naszego wspólnego życia. Jesienią na wyraźne żądanie Maci została przewieziona do Czernikowa. Mama starała się często jeździć tam i choć w części pomagać Wujkowi Jankowi w opiekowaniu się Macią. Paraliż mowy cofnął się, ale prawa połowa ciała pozostała bezwładna. Macia nauczyła się pisać lewą ręką i takie listy otrzymywaliśmy od Niej. W sierpniu 1957 roku byliśmy u Niej we troje- Jurek, ja i roczny Andrzej (zwany jeszcze wtedy Jędrusiem)- Jej prawnuk. Dwóch starszych prawnuków- Jurka i Andrzeja Łysakiewiczów oraz równolatka naszego Andrzeja- Wojtka Łysakiewicza- nie poznała. Mieszkali daleko, borykali się z kłopotami finansowymi.

Macia zmarła 23 października 1957 roku. Nie byłam na Jej pogrzebie, zostałam z dzieckiem, byli tylko moi Rodzice.

Janina Kozłowska



Ze zbioru zdjęć, wykonanych przez Pana Leona Garsteckiego.

III/1/89

Tego samego dnia, co „pożegnanie z ogrodem”. Tym razem Pan Leon Garstecki z dziećmi – Marią Szulcówną i Władysławem Szulcem na tle drzew, za którymi widać budynek policji.

M. Szulcówna



10/2/90

Grossbaumschule
Schwarzendorf



Digitized by Google
1939
1955
ELŽBIETY ZAVIA

III/1/91

Dzieci i młodzież pracujące w szkółce leśnej w Czernikowie.

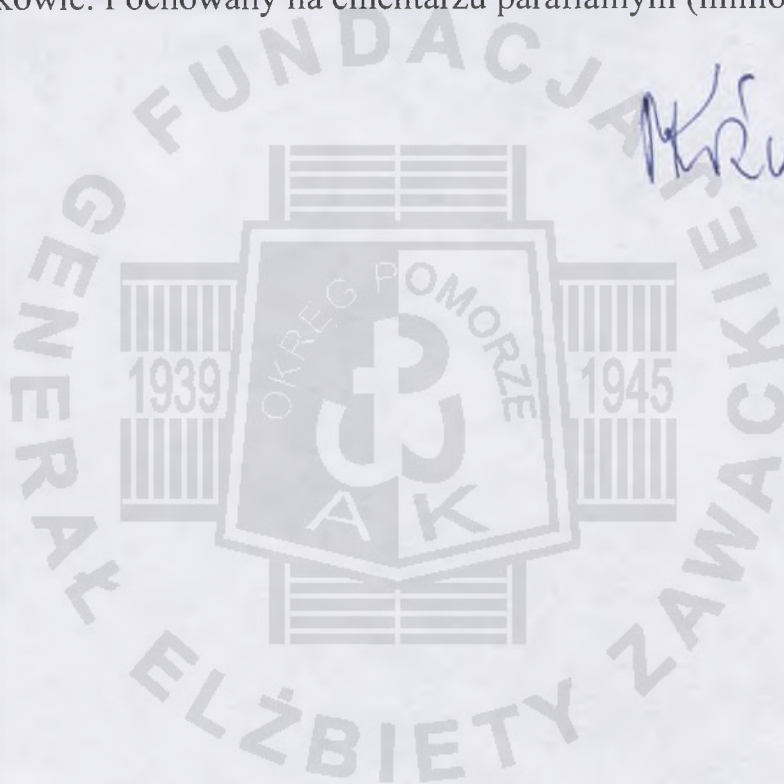
Niestety nie zapisałam nazwisk od Ziuty, czyli Wiktorii Józefy, którą odnalazłam pod koniec lat 90.

Wiem tylko: w rządzie górnym od lewej – Bronek (nie żyje), czwarta ja, czyli Maria Szulcówna, szósta – Krystyna Hermanowska.

Drugi rząd od góry: czwarta – Wiktoria Józefa Maćkiewiczówna (nie żyje), szósta – Mirosława Kawulska.

Na dole: pierwszy z prawej – Władysław Szulc.

Zdjęcie z lata 1944 roku, prawdopodobnie wykonane przez leśniczego, Adolfa Fencke, miejscowego Niemca. Był bardzo przyzwoitym człowiekiem, został po wojnie w Czernikowie. Pochowany na cmentarzu parafialnym (mimo, iż był ewangelikiem).





III/1/93

Czernikowo, w lesie, maj 1942 roku.

Pani Lusja Kasprzykowska (z domu Garstecka) i Pan Leon Garstecki.
Po lewej stronie Władysław Szulc i prawdopodobnie Zofia Szulcowa.

M. K. Kasprzykowska





III/1/95

Ze zbioru zdjęć, wykonanych przez Pana Leona Garsteckiego.

Toruń – podobno schody nad Wisłą – 18. 05. 1942 roku.

Od lewej: Pani Lusja Kasprzykowska (z domu Garstecka), Zofia Szulcowa,
Władysław Szulc.

Władysław Szulc





III/1/97

Maria i Stefan Łysakiewiczowie w ogrodzie przed swoim domem
w Czernikowie, rok 1943.

M. Łysakiewicz





11/1/99

Karta tytułowa moich wspomnień, nazwanych „Nasza piątka, wspomnienia rodzinne”, jest ozdobiona tym zdjęciem.
Moi Dziadkowie – Maria i Stefan Łysakiewiczowie, ich córka – Zofia Szulcowa i wnuki – Maria Szulcówna i Władysław Szulc.

Maria Szulcówna





III / 1 / 101

Dawny „dworek” w Czernikowie, w którym przed wojną i w czasie okupacji mieściła się gmina. Spalony w styczniu 1945 roku przez Niemców. Obecny budynek gminy pobudowano bliżej ulicy, na tej samej działce. Zdjęcie bardzo stare – pamiętam ten płaczący jesion jako duże, piękne drzewo.

Krzysztof





III/1/103

Ze zbioru zdjęć, wykonanych przez Pana Leona Garsteckiego.

Zofia Szulcowa z dziećmi – Marią i Władysławem w ogrodzie swych Rodziców, Marii i Stefana Łysakiewiczów w Czernikowie. Czerwiec 1943 rok, pożegnanie domu i ogrodu przed wyprowadzką na Czernikówek.

M. Łysakiewicz



III/11/104

Grosstaumschule
Schwarzendorf



11/1/105

Dzieci i młodzież pracujące w szkółce leśnej w Czernikowie.

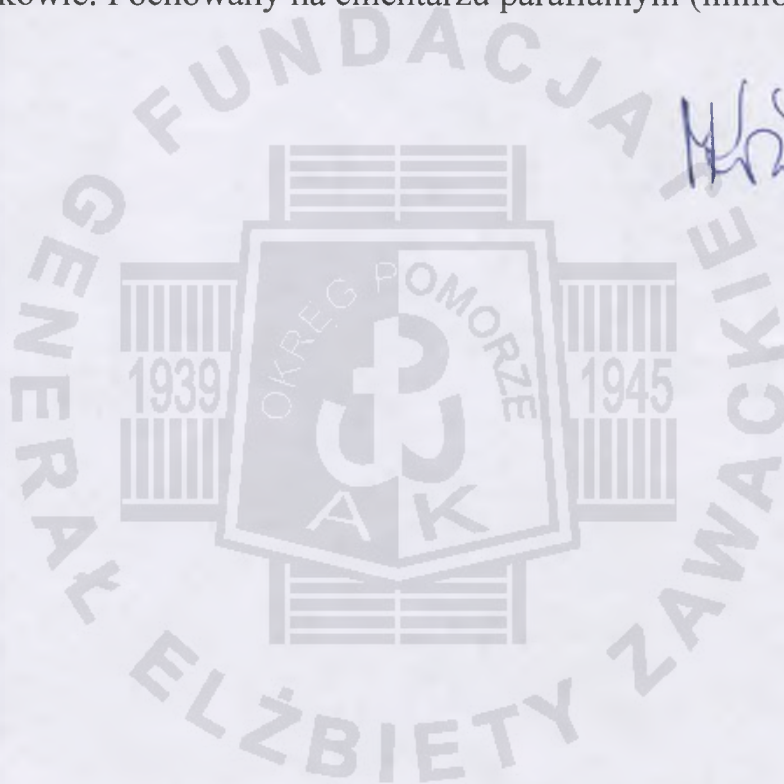
Niestety nie zapisałam nazwisk od Ziuty, czyli Wiktorii Józefy, którą odnalazłam pod koniec lat 90.

Wiem tylko: w rządzie górnym od lewej – Broniek (nie żyje), czwarta ja, czyli Maria Szulcówna, szósta – Krystyna Hermanowska.

Drugi rząd od góry: czwarta – Wiktoria Józefa Maćkiewiczówna (nie żyje), szósta – Mirosława Kawulska.

Na dole: pierwszy z prawej – Władysław Szulc.

Zdjęcie z lata 1944 roku, prawdopodobnie wykonane przez leśniczego, Adolfa Fencke, miejscowego Niemca. Był bardzo przyzwoitym człowiekiem, został po wojnie w Czernikowie. Pochowany na cmentarzu parafialnym (mimo, iż był ewangelikiem).





III/1/107

Ze zbioru zdjęć, wykonanych przez Pana Leona Garsteckiego.

Czernikowo, podwórko Łysakiewiczów. Lipiec 1942 rok.

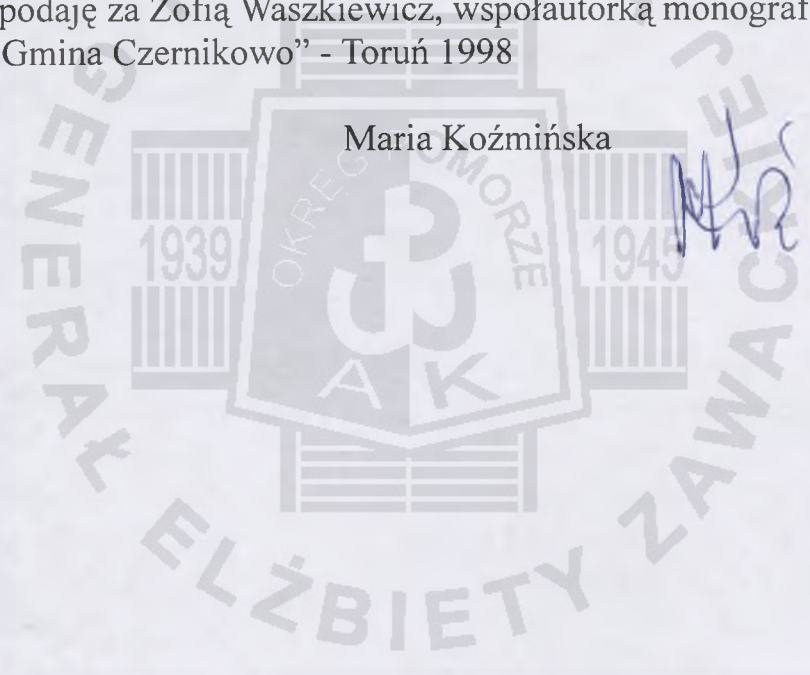
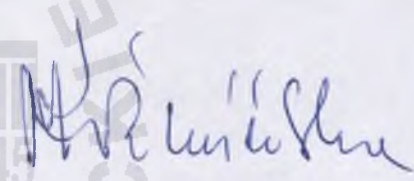
„Na drabinie”

To zdjęcie wymaga specjalnego omówienia. Na pierwszy rzut oka: troje uśmiechniętych dzieci. To głupstwo, że Inga ma na nogach skórzane sandały, a my na bosych, opalonych – jasne paski od drewnianych trepów.

Jest jeszcze drugie dno tego zdjęcia, tragiczne, wprost makabryczne. Przed drabiną stos drewna, zgromadzonego na opał. Jak okazało się później, te pocięte bale pochodziły z szubienicy z Mazowsza, na której 27. 04. 1942 roku Niemcy powiesili dziesięciu Polaków. Drewno przywieziono Bernardowi Ruffowi – po prostu na opał. Hak, wbity w jeden z pali, zauważyła moja Mama dopiero na zdjęciu.

Datę egzekucji podaję za Zofią Waszkiewicz, współautorką monografii Czernikowa. „Nadwiślańska Gmina Czernikowo” - Toruń 1998

Maria Koźmińska



III/11/108



„LG”

III/1/109

Ze zbioru zdjęć, wykonanych przez Pana Leona Garsteckiego.

Czernikowo, podwórko Łysakiewiczów. Lipiec 1942 rok.

Na huśtawce – Inga Ruff, Maria Szulcówna, Władysław Szulc.

Władysław Szulc





11/1/111

Ze zbioru zdjęć, wykonanych przez Pana Leona Garsteckiego.

Park w Toruniu, 18. 05. 1942 rok.

Od lewej: Pani Lusja Kasprzykowska (z domu Garstecka), Władysław Szulc,
Zofia Szulcowa.

Władysław Szulc



11/11
1112



III/1/113

Ze zbioru zdjęć, wykonanych przez Pana Leona Garsteckiego.

Czernikowo, na łące za Kolonią (obecnie ulica Leśna).

Łapiemy kijanki – Maria Szulcówna i Władysław Szulc. Brak daty.

M. Szulcówna



III/1/1114



11/1/15

Park w Toruniu, 18. 05. 1942 roku.

Tym razem na zdjęciu fotograf, Pan Leon Garstecki z Władysławem Szulcem.

Władysław Szulce





III/1/117

Ze zbioru zdjęć, wykonanych przez Pana Leona Garsteckiego.

Czernikowo, w lesie. Pan Leon Garstecki z Marią Szulcówną i Władysławem Szulcem.

Brak daty.

Władysław





III/1/119

Ze zbioru zdjęć, wykonanych przez Pana Leona Garsteckiego.

Trzy kolejne zdjęcia zrobione w tym samym dniu i miejscu – w ogrodzie Łysakiewiczów w Czernikowie. Cztery osoby: Pan Leon Garstecki, Maria Szulcówna, Władysław Szulc i Inga Ruff, córka Bernarda Ruffa, mieszkającego na piętrze domu Łysakiewiczów.

Aparatem Leona Garsteckiego zdjęcia kolejno „pstrykali”: właściciel, Maria Szulcówna i Inga Ruff.

Na jednym z nich moja Babcia, Maria Łysakiewiczowa, napisała: „jedzą marchew”.





III/1/121

Ze zbioru zdjęć, wykonanych przez Pana Leona Garsteckiego.

Trzy kolejne zdjęcia zrobione w tym samym dniu i miejscu – w ogrodzie Łysakiewiczów w Czernikowie. Cztery osoby: Pan Leon Garstecki, Maria Szulcówna, Władysław Szulc i Inga Ruff, córka Bernarda Ruffa, mieszkającego na piętrze domu Łysakiewiczów.

Aparatem Leona Garsteckiego zdjęcia kolejno „pstrykali”: właściciel, Maria Szulcówna i Inga Ruff.

Na jednym z nich moja Babcia, Maria Łysakiewiczowa, napisała: „jedzą marchew”.

Maria Szulcówna





III/1/123

Ze zbioru zdjęć, wykonanych przez Pana Leona Garsteckiego.

Trzy kolejne zdjęcia zrobione w tym samym dniu i miejscu – w ogrodzie Łysakiewiczów w Czernikowie. Cztery osoby: Pan Leon Garstecki, Maria Szulcówna, Władysław Szulc i Inga Ruff, córka Bernarda Ruffa, mieszkającego na piętrze domu Łysakiewiczów.

Aparatem Leona Garsteckiego zdjęcia kolejno „pstrykali”: właściciel, Maria Szulcówna i Inga Ruff.

Na jednym z nich moja Babcia, Maria Łysakiewiczowa, napisała: „jedzą marchew”.

M. Ruff





III/1/125

Ze zbioru zdjęć, wykonanych przez Pana Leona Garsteckiego.

Czernikowo, podwórko Łysakiewiczów. Lipiec 1942 roku.

Przy samochodzie Bernarda Ruffa – Inga, jego córka, Władysław Szulc i Maria Szulcówna

M. Szulcówna





III/1/127

Ze zbioru zdjęć, wykonanych przez Pana Leona Garsteckiego.

Park w Toruniu, 18. 05. 1942 roku.

Grupka po prawej stronie – Pani Lusja Kasprzykowska (z domu Garstecka),
Władysław Szulc, Zofia Szulcowa.

Lusja Kasprzykowska



11/1/28



Lofia Szulcowa z dziećmi - Marią i Władysławem. W głębi dom M.S. Lysakiewiczów w Czernikowie, piśtro zajęte przez wo-
dzing Ruffów. Lajcie wykonane w
1943 (1942?) przez Leona Garsteckiego.



Pani Stanisława Okoniska ze Stefanem
 Łysakiewiczem, właścicielem apteki w Czer-
 nikowie. Zdjęcie zrobione w 1941 lub 1942 r.
 w pokoju biurowym apteki w okresie, gdy Pani
 Stanisława pracowała w tej aptece.
 Obecny adres tego domu: Stowackiego 33,
 Czerwikowo, pow. Toruń.

Zdjęcie wykonał Leon Garstecki mieska-
 jący wówczas w Toruniu na ul. Michalowie
 wraz ze siostrami rodzicami i pracujący prze-
 dopodobnie w fotografi (przed wojną był w
 Seminarium Duchownym)

III/1/130



vorle!

III/1/131



korona s. VIII 1930 r.
 dozwini
 Stacja

2

2
 Długość miska porostawny w pamięci
 chwili: spóźnione w koronie.
 Stacja i domy

s. VIII 1930 r.

III/5. Materiały inne Łofii Szulc z d. Sy-
sakiewicz

1. Szkice wykonane przez Ł. Szulc z
listem przewodnim Marii Koźmińskiej
(córki) z 30.05.2010 - ręk. oryg.; kserokop.
szl. cón
k. 9 s. 1-10



III/5/1

Jofia Sulcowa (z d. Lysaliewic) w latach
średnich w czasie pobytu w Sandomierzu
u swego syna Sulcowata obliczone cerkwe
Rysunki te (okólnie, długopisek(?)) były ro-
bione na różnym formacie pergaminu.
Robiąc dokumentację sprawadnia je wysy-
lić do formatu A4, by włożyć je do
segregatora. Oprócz tego mój brat wyko-
nał zdjęcia niektórych tych Sulcowa &
takie wszystkie obrachów malowanych
alwarach (obrach olejnych nie malowane)

Obrach "Kościół - Kramionki Krahobnie"
powstał przed 1931 rokiem, ponieważ na
zdjęciu z napisania mych Rodicow w
Sandomierzu (wtedy było to pierwsze miejsce pra-
cy mego Ojca po uloczeniu studiów w
1928 roku) to widzi widzą na ścianie
własnie ten obrach.

Niestety oprócz cerkwi w Kramionce nie
mam wyszukanym innym miejscowic
ci.

Dacny Kosciół z wysolimi Kramionami(?)
cy myślicielami(?) pragnę sobie umiejscowić.

Wszystko to jest do Pań dyspozycji -
prywatnej.

M. Sulcowa

30. V. 2010

11/15/2

Zdjęcie mojej Mammy (mamy) wzięte
wykonał Władysław Szulc w latach
sześciodziesiątych w Sankcie, w ich
miejscach.

To zdjęcie otwiera mój zbiór prac
Mammy i tak jest zatytułowane:
Mama...
Mama...

P.S. Brat jest absolwentem UMK

(Wydział Sztuki Pięknych - technologia
malarstwa, ale ze specjalizacją konser-
wacji malarstwa)
Pracował od 1964 roku w Muzeum
Bundestwice Indolowego w Sankcie i
był fotografem - dokumentalistą,
Malował prywatnie i fotografował,
ostatnio ukoniecznił Imięlny Fotograf's
zdję. w druku ikonografii

11/15/3



8

Cerkiew w Komauersy - Bieszczady



37.jpg

811/5/4

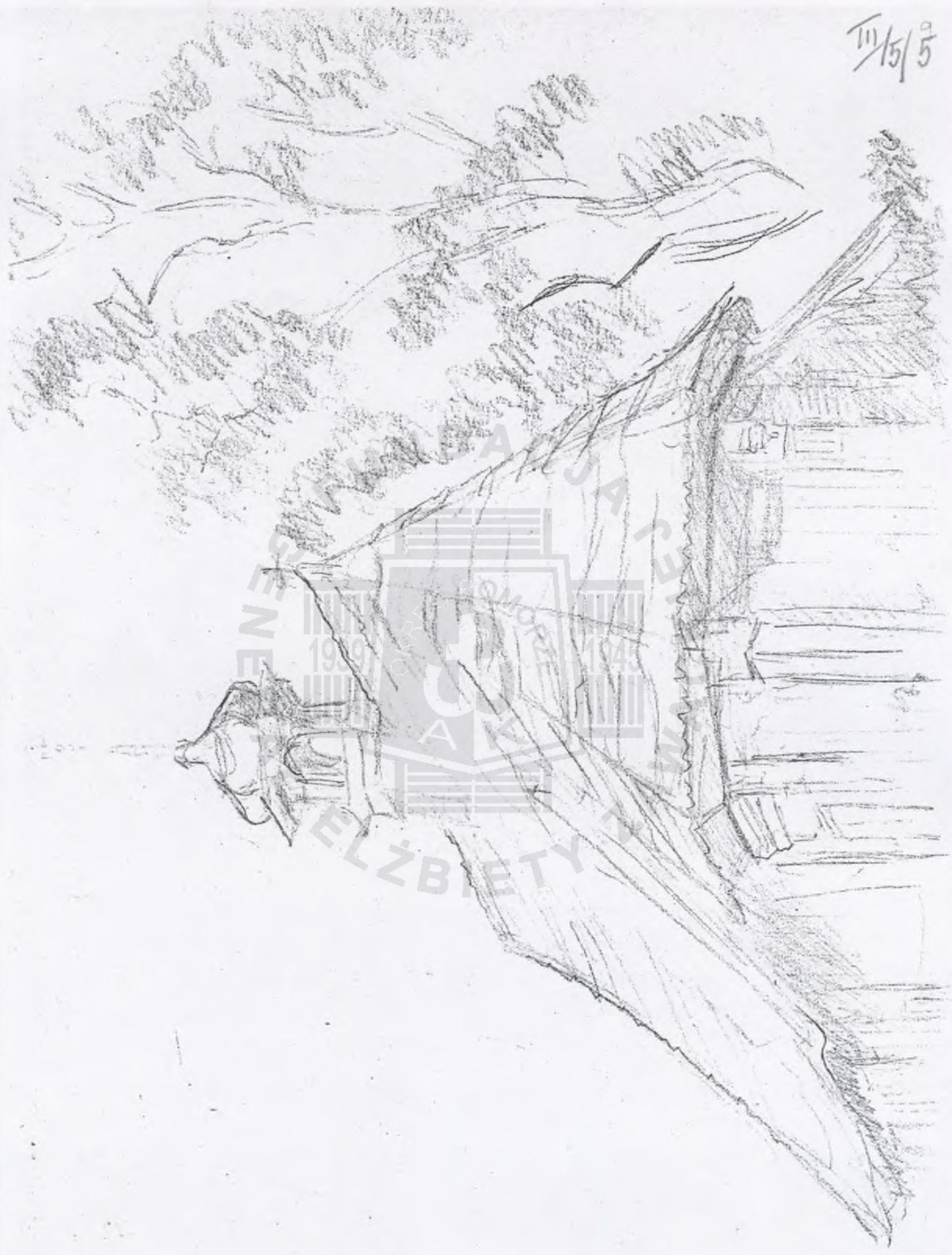


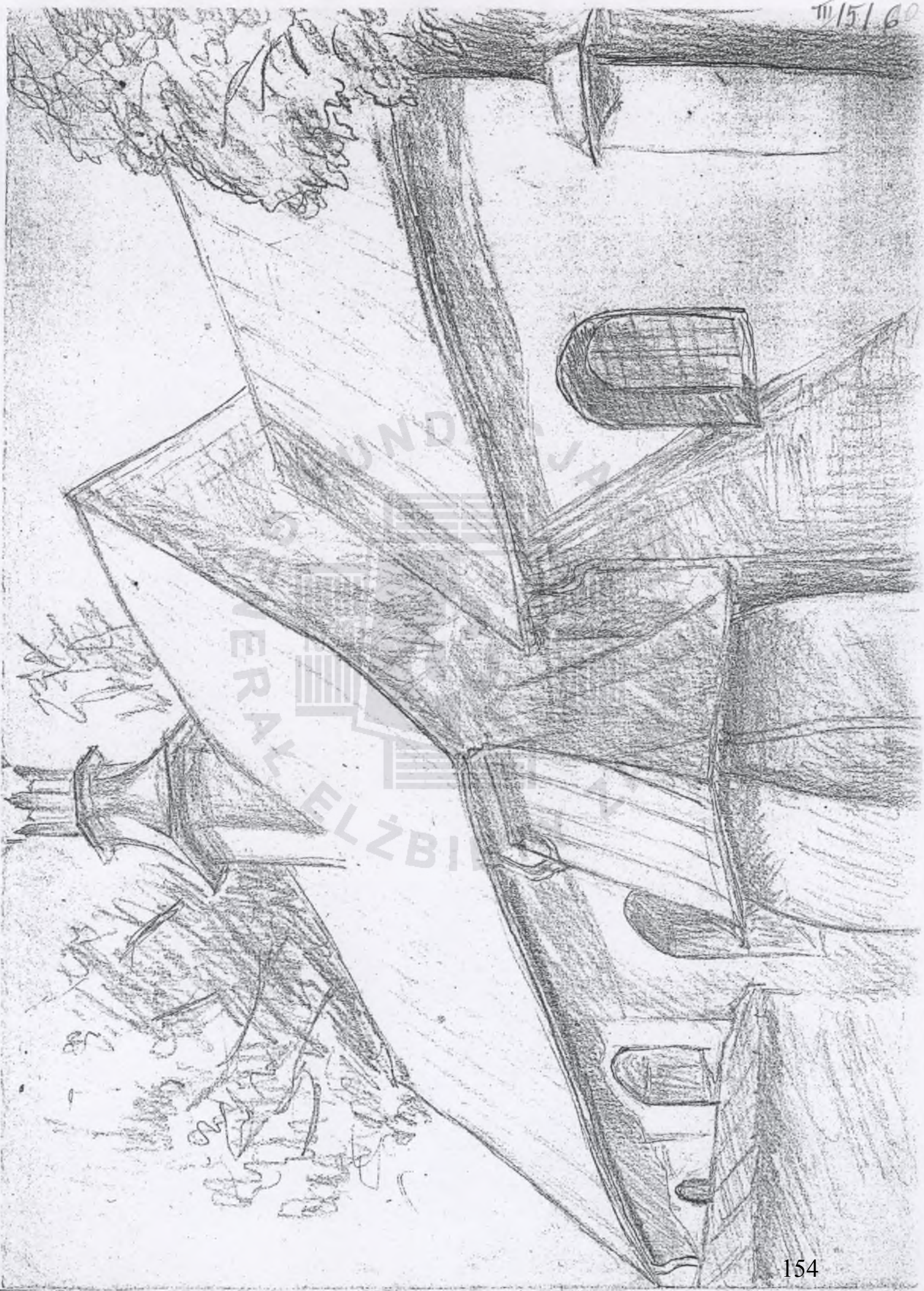
81pg

Kościółek - Krzemionki Krakowskie



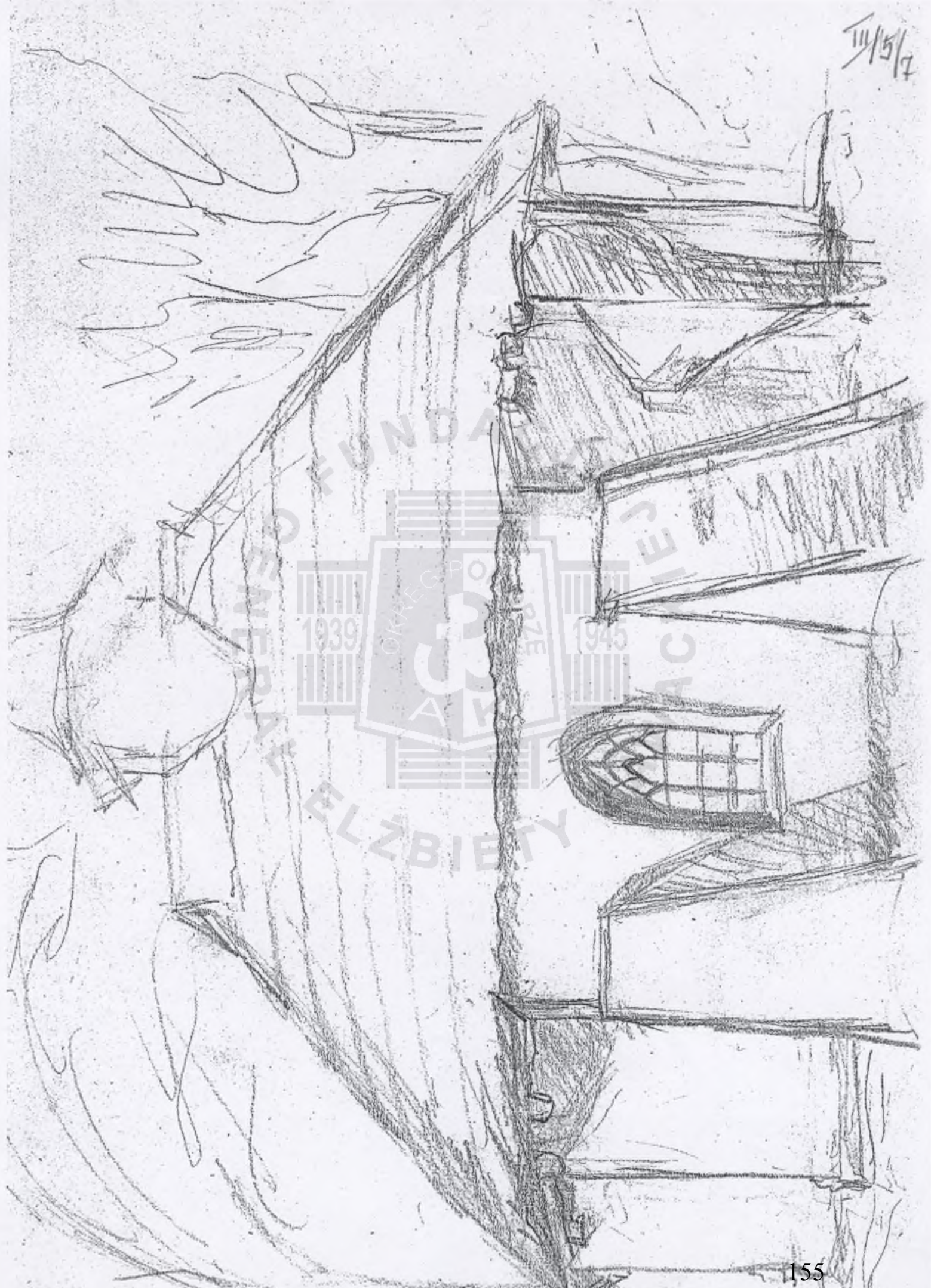
III/15/5^a





UNIVERSITÄT
JERAK ELŽBI
KUNST

III/5/7



III/5/8





III/15/110



IV/1. Korespondencja Fundacji z Marią
Kozłimińską, - córka Sante Łofii

1. Pismo Fundacji z 6.11.2001 - prośba
o relację, mpis kop. oryg. k. 1 s. 1
2. Pismo do Fundacji - dot. m. im. Stanisławy
Okoniskiej, rękop. oryg. brak daty k. 1 s. 2-3
3. Pismo do Fundacji z 18.11.2009 -
- dot. f. wra z kserokopie strony
tytułowej książki przekazanej Fundacji,
rękopis kserokop. oryg. k. 2 s. 4-6
4. Pisma Fundacji z 10.12.2009 i
11.01.2010, kserokop. oryg. mpis. k. 2 s. 7-8
5. Pismo do Fundacji z 29.05.2010
- dot. przestanych „Wspomnień...”, Marii
Sobocimskiej, rodziny Sewandowskich,
Leona Garsteckiego, rękop. oryg. k. 2 s. 9-13
6. Pismo Fundacji - I. ds. 2451/Pom-410/10
- podziękowanie za „Wspomnienia...”,
mpis kserokop. k. 1 s. 14
7. Pismo do Fundacji z 30.01.2010
- dot. m. im. wspomnień z dzieciństwa
M. Kozłimińskiej i rodziny, kserokop.
rękop. (dot. m. im. Heleny Gudzinińskiej, k. 6 s. 15-26
siostry Marii Sypalczyk)
8. Pismo do Fundacji z 5.10.2010 - k. 3 s. 27-31
- data reptywn 10.10.2010 wraz z załącznikami:
- informacja o rodzinie Marii
Santównie wraz z drzewem
genealogicznym
verte k. 5 s. 32-39

col. IV/1

- b) odpis zupełny aktu urodzenia
Jadwigi Marii Szulc wyel. w USC
Osiecinny 21.06.1912, kserokop. oryg. k. 1 s. 40
- c) korespondencja M. Gołimińskiej
z Inst. Danieci Narod. - list z 25.01.2006
i odpow. Inst. Danieci Narod. z 2.02.2006,
kserokop. rękop. + odpis oryg. k. 2 s. 41-43

9. Pismo Instytut do Fundacji z
3.01.2012 - rodzina Eulalii Osiewicz,
kserokop. mpsis oryg. k. 1 s. 44

10. Pismo do Fundacji z 12.05.2013
wraz z dat. "Pomoczenie w Wschodzenie"
- Leon Garstecki, Andrzej Rom Inzowski,
mpsis, oryg. k. 3 s. 45-47

TV/1/1/1

FUNDACJA
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej
ul. W. Garbary 2, tel. 65-22-188
87-100 TORUŃ

Toruń dnia 6 XI 2001 r.

L. dz. *1043 Pom 1001*

Szanowna Pani
Maria Koźmińska

26 - 110 Skarżysko Kamienne

Szanowna Pani

Bardzo serdecznie dziękuję za telefon i życzliwe przyjęcie współpracy z naszą Fundacją.

Zgodnie z ustaleniami oczekuję na relacje napisane przez Panią.

Załączam schemat relacji oraz kserokopię relacji St. Okońskiej, informację o naszej Fundacji.

Życzę zdrowia i w oczekiwaniu na wiadomość od Pani pozostaję z wyrazami szacunku i poważania.

[Signature]
.....

Zał. *h...*

Dokumentalista mgr Michał Ojczyk

Szanowni Państwo!

Dzień 11. września 2001 r. pozostać w pamięci wszystkich ludzi, ale w godzinach, kiedy nikt jeszcze nie wiedział, co się za chwilę stanie, był spokojnym, wesołym i przyjemnym dniem. W tym dniu byłam po raz pierwszy w gościnnym progu Fundacji „Archiwum Pomorskie Archiwum Krajowej” i nigdy nie daruję sobie tego, że zrobiłam to tak późno, choć od paru lat wiedziałam o istnieniu tej placówki (z radia)

Wolę jednak znaleźć pierwszy kontakt w sprawach, które są mi szczególnie bliskie i bolesne zawsze wybieram kontakt osobisty, a nie listowny czy telefoniczny.

Szukając w Archiwum stałą działalność w WSK mej Babci - Marii Szyrakiewicz i Mamusi - Zofii Szulc. i mimo, iż nie nie znałam, a moje wątpliwości dlatego, uważam, że mam obowiązek wobec „Archiwum” i wobec pamięci o zmarłych, napisać, co na ten temat wiem naprawdę.

Po wizycie u Państwa dowiedziałam się (z U.S.C w Rybniku), że Pani Stanisława Okaińska zmarła 3. lutego 2001 r.

Janina

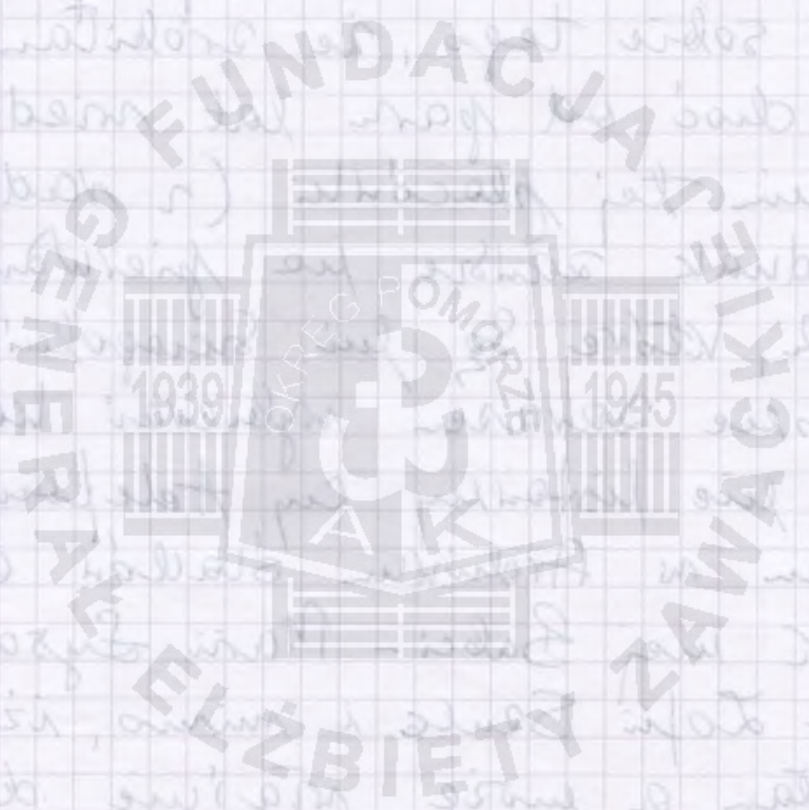
INTER Druk
Kopierownia

11/3

Marie Koliuška

Krasušice 3128

26-110 Smerijsko Kánilena



FUNDACJA
 "Archiwum i Muzeum Pomorskie
 Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek
 w Toruniu"

Wpisano dnia: 25. 11. 2008
 23471 Pom-410/0 P

oryg. w zbiorze TV 11/4
 ikonografia
 - Sankcjonacja

Szanowna Pani!

Jest to jmi. Arcyś. dedykacja tej książki.
 Pierwsza - autorów - Marekowi Józefowi Piłsudskiemu,
 druga - memm. Dziadkowi Stefanowi Lysakiewiczowi
 trzecia - Fundacji Gen. Elżbiety Łanackiej

Kim był ofiarodawca książki z 1933 roku?
 Porywaczem (nie mam pewności), że w tych latach
 lekarzem ordynującym w Czerwikowie. To ten pan,
 siedzący pierwszy od lewej, ze mną, półtoraroczną
 na kolanach (dr. Wizebaum, narysował go "Pam-boli")
 A kto otrzymał prezent imienny? Pan, siedzący
 pośrodku z niemowlakiem, czyli Stefan Lysakiewicz,
 mój Dziadek, aptekarz mający aptekę w Czerwikowie
 od 1931 roku. Tęci pan, to Lucjan Turant, o
 którym nic nie wiem.

Stoją od lewej: p. Władysław Lelechowicz, przyja-
 ciel rodziny, krawiec z Lipna i moja Babcia -
 Maria Lysakiewiczowa.

Profitem - mój Ojciec - kapitan lekarz Kazimierz Szulc
 i moja Mama - Zofia Szulcowa

W oknie: brat Dziadka, Tadeusz Lysakiewicz (prawdopodobnie policjant z W-wy), jego córka Janina
 (żon. Konopacka, zmarła w Toruniu w 2005 roku),
 pies i pan psa - Jan Lysakiewicz, syn Stefana i Marii.
 Zdjęcie zrobiono na He Down - od ogrodu - domu, w
 którym mieszkali i mieli aptekę nasi Dziadkowie
 (obecnie Posterunek Policji przy ul. Stowackiego)

To zdjęcie jest repliką oryginału; zrobił je mój
 brat Władysław (mieszkał na zdjęciu) - malarz
 i fotograf z Sanki (studował na UMK w latach 50.)
 Brat i ja - to jedyni osoby z tego zdjęcia jeszcze
 żyjące, zdjęcie było zrobione latem 1933 roku (164

tywn (stąd ojciec w doskoku" - bo to du robik)
 Skąd księgi w "insich wzglach?"
 W 1999 roku likwidowan mieszkanie po ostat-
 nim, mieszkającym w Berulowie, Łysalińcu,
 czyli Janie. Pamiętni zabrakł, w tym księgi z
 dedykacjami. Będzie mi miło, jeśli ta część
 w "dobrych wzglach", czyli w zbiorach Fundacji!

M. K. Kubińska

Warszwa, 18. XI 2009.

P.S.

- Maria Łysalińska - 3. XII 1879 - 23. X 1957
- Stefan Łysaliński - 27. V 1871 - 13. IX 1950
- Łopka Szulc (zd. Łysak) 17. X 1901 - 1. IX 1971
- Kazimierz Szulc 1. IV 1904 - 31. I 1992
- Tadeusz Łysaliński ~ 1881 - 14. IV 1934
- Janina Kozłowska 25. XII 1925 - 10. XII 2005
- Jan Łysaliński 9. X 1909 - 15. III 1999
- Władysława Szulcowska? podobno lata 90-te
- Maria Kubińska (zd. Szulc) 21. IV 1932
- Władysław Szulc 16. IV 1933



Oryg. zdję. w drzale i kompoz.
 - koperta Łopka Szulc JS

IV/1/6

ZA KRATAMI WIĘZIEŃ I DRUTAMI OBOZÓW

(WSPOMNIENIA I NOTATKI WIĘŹNIÓW IDEOWYCH
Z LAT 1914 — 1921)

TOM I

WYDANIE DRUGIE

Zebrał i opracował Komitet Redakcyjny:
mjr. dr. WACŁAW LIPINSKI,
kpt. ROMAN ŚLIWA
i por. BOLESŁAW KUSIŃSKI
pod przewodnictwem
gen. bryg. JULJANA STACHIEWICZA

*Karta tytułowa
księżki - dar
Marek Koźmiński dla
Fundacji*
JS

WARSZAWA — 1931

WYDAWNICTWO KOMITETU ORGANIZACYJNEGO ZJAZDU B. WIĘŹNIÓW
IDEOWYCH Z LAT 1914 — 1921
NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO „POLSKA ZJEDNOCZONA”

TV/11/7

FUNDACJA
GENERAL ELŻBIETY ZAWACKIEJ
ARCHIWUM I MUZEUM POMORSKIE ARMII KRAJOWEJ
ORAZ WOJSKOWEJ SŁUŻBY POLEK



BIURO FUNDACJI • 87-100 TORUŃ • UL. PODMURNA 93 • TEL. 0048 56 65 22 186
www.um.torun.pl/AK, www.zawacka.pl, fapak@wp.pl

KONTO: 82 1090 1506 0000 0000 5002 0244 • KRS 00000 41692

Toruń, 10 XII 2009 r.

odp. nr 334² ST. A1.

- pokwitowanie o dostawie
książki.

L. dz. 2391 (Pom-510/OP)

Pani Maria Koźmińska
ul. Krasieńskiego 31 m. 16
26-110 Skarżysko-Kamienna

Szanowna Pani !

W imieniu Pani Prezes Fundacji mgr Doroty Zawackiej-Wakarecy serdecznie dziękuję za przekazanie do naszej biblioteki książki pt. "Za kratami więzień i drutami obozów (wspomnienia i notatki więźniów ideowych z lat 1914-1921), wydanej w Warszawie w 1931 r., tom I, wyd. II.

Książka jest niewątpliwie „białym krukiem” zarówno z uwagi na treść jak i rok wydania. Na pewno będzie m.in. wykorzystana przy opracowaniu biogramów. W załączeniu przesyłam kserokopię strony tytułowej.

Dziękuję również za niezwykle ciekawe zdjęcia, które wzbogaci nasze zbiory ikonograficzne i będzie wykorzystywane przy organizowaniu wystaw tematycznych.

Relacje o działalności śp. Marii Łysakiewicz z d. Świąteczkiej (sygn. K:805/2011Pom.) i Zofii Szulc z d. Łysakiewicz (sygn. K 798/1998Pom.), które kilka lat temu przekazała Pani do naszego Archiwum, złożyłam w teczkach opatrzonych sygnaturą, podaną w nawiasach. Zgodnie z Pani życzeniem przesyłam ich kserokopie.

Podczas rozmowy telefonicznej obiecałam przesłać Pani książkę. Z opublikowanym referatem śp. dr. Bogdana Ziółkowskiego. Dotrzymam obietnicy i prześlę ją następnym razem.

Jeszcze raz serdecznie dziękuję. Łączę pozdrowienia i wyrazy szacunku.

Z poważaniem

Elżbieta Skerska dokumentalistka



FUNDACJA

GENERAŁ ELŻBIETY ZAWACKIEJ

ARCHIWUM I MUZEUM POMORSKIE ARMII KRAJOWEJ
ORAZ WOJSKOWEJ SŁUŻBY POLEK

IV/11/8

Toruń, 11 I 2010

L. dz. 90 (Pan-510/10)

odp. na S. dz. 2349?
- pobr. volb. mater.
(Barbarka)

Pani Maria Koźmińska
ul. Krasińskiego 31 m.16
26-110 Skarżysko Kamienna

Szanowna Pani !

Serdecznie dziękuję za przesłany list i fotografie. Zarówno fotografie jak i fakty podane w liście będą pomocne przy opracowaniu i opublikowaniu biogramów Pani Bliskich w cz. VII „Słownika biograficznego konspiracji pomorskiej”, nad którym zaczynam prace.

Zgodnie z Pani prośbą przesyłam w załączeniu kserokopię relacji o działalności śp. Stanisławy Okońskiej, kserokopię wizytówki pani Marii Sobocińskiej. Niestety w książce Krystyny Wojtowicz pt. „Marylka”, gdzie zostały umieszczone wspomnienia, nie znalazłam wzmianki o Rodzinie Pani.

Do listu dołączamy opracowanie pt. „Barbarka” i prosimy o przyjęcie jej w darze od Fundacji.

Łączę serdeczne pozdrowienia i wyrazy szacunku.

Z poważaniem

Elżbieta Skerska dokumentalistka

BIURO FUNDACJI • 87-100 TORUŃ
UL. PODMURNA 93
TEL. 0048 56 65 22 186

www.um.torun.pl/AK, www.zawacka.pl, fapak@wp.pl

KONTO:
82 1090 1506 0000 0000 5002 0244

KRS 00000 41692

Wspomnienia 2002.11.11

28. V 2010

(winnym wieczorem)

V/1/g

Seamusna Pani!

16.06.2010
1557 / Pom-410/10

Chciałam napisać Pani o moich wrazeniach ze spotkania z "Ryską". Pozwalał sobie taki o niej pisać - w skrócie, wiadomo o kogo chodzi, nie ubliżyć chyba. Zostałam przyjęta tak, jakbyśmy się znały od stu lat. Temat myślałam jeden redagować, padaly narzuty, mowy mięścionoski. Ale po kolei. Pozwalał sobie przetrzasnąć Pani ten stos kart - list mój do "Ryski" który spowodował rozpowszechnienie me spotkanie. Na początku rozmowy telefonicznej, gdy pani umówiłyśmy się "na jutro" - zapytałam co mam przynieść. "Zdjęcie" - padła odpowiedź. Wzięłam więc zdjęcie - nie wyprute zdjętych omówić. Ale wróciłam od pani - nie kopię tej karty z kłótni "Marylki" i mojego "wampeliu" które jest skierowane do archiwalnego czytelnika moich wspomnień rodzinnych. (Wzięłam też przykładowo parę talii) Na tym "wampeliu" dopisałam me wspomnienia wiadomości dla Pani. Miałam też ze sobą dokumenty moich Dziadków z okresu wojny - "Księgi pracy" Dziadka i "Kamień" Babi. Powiedziały mi, że zdjęcie w okresie wojny robili nam dwaj panowie: paster Suzan Szandorski z Ognatki i przedwojenny ksiądz - Leon Garstec ki z Torunia (ul. Mickiewicza). To ta recepta się odnosi o rodzinie Szandorskich, b. dobrze znanej "Ryski", która pasterdzka ma je przypiecznia, o których pisał pan Bogdanowski w "Konkretnie", że pan Jadwiga Szandorska, siostra pastora, musiała być bardzo zaangażowana w konspirację. Wg. "Ryski" był to dom, w którym przedyskutowano wiele osób (wielu obieg-

(winnym wieczorem) listy po...
 Pani...
 "Ryska" wspomnienia...
 nowego...
 Oficer...
 "Ryska"...
 "Konkretnie"...
 "Ryska"...

Tydzień (jeńców angielskich) Czerwikowo? No może
 dlatego to był jeden z przynajmniej dwóch ośrodków
 w aptece Lysakowic - b. waina, pnie-
 nięto się tam też dużo ludzi. Długa, długa
 historia o pani Stanisławie Ochońskiej, o jej
 awanturach, o ^{po sprawie} "Świadectwie" we procesie Ryżki.
 Ale absolutnie "nie myślała żadnego razu
 do p. Stanisławy, bo UB, miało jakiś list, w
 której była data. Były też wspomnienia
 o znajomości z gimnazjum w Lipnie (pani
 Stanisława, syn pastora Lewandowski)
 Czas tak płynął, że nie wiadoma, jak sko-
 nczymy tę niwet. Pomogła kiedyś plimie w tym
 pani Krynka Najdowa, która przyjechała pod
 koniec wojny niwet i wydawała się bardzo
 wolna z jej obecności. "Ryżka" nawet reag-
 wa mówiąc, że moje pontyfikowanie gdzieś ma
 obiad (był od 11 do 14), ale zgodnie z
 prawdą powiedział, że mój brat Strzyżewski,
 u którego nocował, czuł się z nią z
 obiadem - srentę nie tak daleko, dół prz-
 chotz. Niedziela powiedział, że się wybiere
 się ("Ryżka") na jakiś badania do szpitala.
 Pozwolił sobie więc dopiero dusz sadzić
 do hotelu i powiedział, że nie była
 w tym plimie i że może przedtem swój po-
 byt się wgląd do szpitala. Dziś dopiero re-
 pytał, czy pani Stanisława była skierowa-
 na do pracy w aptecę w Czerwikowie przez
 "Ryżkę". Odpowiedź: nie, to było tylko wyko-
 nanie jej, gdy tam pracowała. Dwa egze-
 plone książki "Mankus" leżały na stole ale
 ja nie chciała mieć o sprowadzenie, żeby
 nie próbowała prezentu. Sama publikant
 sobie ofiarował taki komplet rysunków 170

Mammy i adyżcie alawarali mego brata (cerlica
 Chertsin), który odiedinym po Mamie odda-
 ł mi arsydyane. Pani wysłała jencu wiczaj,
 bo również dwie kartki, na którym są adyżcie
 wymiów Mammy (te wusowane i p g)
 Prowy mi wythimacyi, dlatego pan Ziorkowski
 powiedział mi kiedyś, że "Ryba" lubi sobie przy-
 kanczai cudze raskugi i że powiedle się mo-
 gę od Nij dowiedzieć. More to było prze-
 duane trodiz delikatnij mi ja do pibze
 w tej chwili. A to jest ostatni list, jaki dosta-
 łam od pana Ziorkowskiego. Nane kontakty
 trwały w latach 2002-2007 i ja naprawdę
 co jubała mygnębała se brzy pauczi, a
 z tego listu dylec twina wywoskował, że
 byłistny na stopie prawie jak stary swojo-
 mi, choi widział go raz przez 15 minut.
 Udeńskannie jedual dawne to je pimo oprom-
 nej ilości sebkunz materialów myli osoby
 i narwiska (Dymarska iwanast Dowarska -
 było mi głupio, bo to było o mojej relacji/
 - narwiska Wujka Zysaleniara w liście, dal-
 de jomynki w Konclisach wodimuncz. Tyż
 maście stronie wyjstyd z ludia wprowinin
 wodimuncz podalau sobie pwestari Pani
 a dwóch powodów: - pierwszy to ilustracja
 między innymi naszymi kontaktów z panem
 Ziorkowskim (to pytanie o Hermanowskiego -
 postarala się z Czerwikowc o adres syna,
 a mego kolezi, który mimo obietnic nie
 napisal nic o ojcu). Drugi powód jest
 poważniejszy, ale jeśli Pani nie może tego
 spelać - nie adimig się (brak czasu) i
 nie będę miała najmniejszego żalu.
 A mianowicie: czy ja dobrze, prawdziwo

PS c.d.
 Mammy
 Chertsin
 arsydyane
 wysłała
 jencu
 wiczaj
 również
 dwie
 kartki
 którym
 są
 adyżcie
 wymiów
 Mammy
 te wusowane
 i p g
 Prowy
 mi
 wythimacyi
 dlatego
 pan
 Ziorkowski
 powiedział
 mi
 kiedyś
 że
 "Ryba"
 lubi
 sobie
 przy-
 kanczai
 cudze
 raskugi
 i że
 powiedle
 się
 mo-
 gę
 od
 Nij
 dowiedzieć
 More
 to
 było
 prze-
 duane
 trodiz
 delikatnij
 mi
 ja
 do
 pibze
 w
 tej
 chwili
 A
 to
 jest
 ostatni
 list
 jaki
 dosta-
 łam
 od
 pana
 Ziorkowskiego
 Nane
 kontakty
 trwały
 w
 latach
 2002-2007
 i
 ja
 naprawdę
 co
 jubała
 mygnębała
 se
 brzy
 pauczi
 a
 z
 tego
 listu
 dylec
 twina
 wywoskował
 że
 byłistny
 na
 stopie
 prawie
 jak
 stary
 swojo-
 mi
 choi
 widział
 go
 raz
 przez
 15
 minut
 Udeńskannie
 jedual
 dawne
 to
 je
 pimo
 oprom-
 nej
 ilości
 sebkunz
 materialów
 myli
 osoby
 i
 narwiska
 (Dymarska
 iwanast
 Dowarska
 było
 mi
 głupio
 bo
 to
 było
 o
 mojej
 relacji
 -
 narwiska
 Wujka
 Zysaleniara
 w
 liście
 dal-
 de
 jomynki
 w
 Konclisach
 wodimuncz
 Tyż
 maście
 stronie
 wyjstyd
 z
 ludia
 wprowinin
 wodimuncz
 podalau
 sobie
 pwestari
 Pani
 a
 dwóch
 powodów
 -
 pierwszy
 to
 ilustracja
 między
 innymi
 naszymi
 kontaktów
 z
 panem
 Ziorkowskim
 (to
 pytanie
 o
 Hermanowskiego
 -
 postarala
 się
 z
 Czerwikowc
 o
 adres
 syna
 a
 mego
 kolezi
 który
 mimo
 obietnic
 nie
 napisal
 nic
 o
 ojcu
)
 Drugi
 powód
 jest
 poważniejszy
 ale
 jeśli
 Pani
 nie
 może
 tego
 spelać
 -
 nie
 adimig
 się
 (brak
 czasu)
 i
 nie
 będę
 miała
 najmniejszego
 żalu
 A
 mianowicie
 :
 czy
 ja
 dobrze
 prawdziwo

nanikowalan sprawy powstania WSK-AK?
 Staralam się wykorzystać dostępne mi ma-
 teriały i ująć to krótko, ale uniaiatam za-
 konieczne, ponieważ w tych dwóch wypo-
 mienach rodzinnych, spróbuj ująć, są takie
 alty urodzenia, z Skierci, Ślubów, Świadc-
 twa ślubne, dyplomy i t.d. Zgarniam
 to wszystko, co mogę, choć nie wiem, czy
 ktoś z moich potomków będzie miał ochotę
 do tego bliżej. Chyba że sam się już
 zastanęje i wtedy będzie chciał wiedzieć,
 a nie będzie się miał kogo pytać.

Jestem najstarsza z rodziny Łysaliowiczów;
 a mój brater stryjeczny - Jurek u którego
 byłam w Warszawie - najstarsza z rodziny
 Ślubów z mojego pokolenia w rodzinie
 Świąteckich (Babcia Łysaliowiczowej) - też
 najstarsza i... najwięcej wiedząca.

W styczniu napisała mi Pani o mojej
 powstaniu VII tomie (czy części) "Skandale bio-
 graficznego konspiracji pomorskiej". Czy jest w
 obecnej chwili więcej materiałów i dokony
 miał możliwość Analizy par ziołkarskiej? Nane
 kontakty uwalny się z moją pryncypal (miałis-
 my ciężko choroba i śmierć brata mojego męża
 w 2007 roku, w 2008 operacja uratowała życie
 mojego męża, w 2009 była następna)

Może Pani spotka się z nazwiskiem Her-
 manowski (nie wiem nawet imienia), chyba
 jedyna rodzina tego nazwiska, byli przyby-
 dźmi chyba ze wschodu Polski.

Różnieli rodzina Reinold jest dla mnie bardzo
 przyjemna ze ten polok słów, żeby nie powiedzieć
 więcej. Serdecznie pozdrawiam

HRK
 172

TU/11/14

**FUNDACJA
GENERAŁ ELŻBIETY ZAWACKIEJ**
ARCHIWUM I MUZEUM POMORSKIE ARMII KRAJOWEJ
ORAZ WOJSKOWEJ SŁUŻBY POLEK



BIURO FUNDACJI • 87-100 TORUŃ • UL. PODMURNA 93 • TEL. 0048 56 65 22 186
www.um.torun.pl/AK, www.zawacka.pl, fapak@wp.pl

KONTO: 82 1090 1506 0108 0002 5012 0244 • KRS 00000 41692

odp. l. d. 1557
- podziek. ze wspomnień
+ folder „Skery”
L. ob. 2451/Pom-510/10

Pani
Maria Koźmińska
ul. Krasińskiego 31 m.16
26-110 Skarżysko-Kamienna

Szanowna Pani Mario !

W natłoku pakowania „Biuletynu” nie dołączyłam listu. Przepraszam, że dopiero teraz piszę.

Jestem pod wrażeniem lektury Pani wspomnień. Przeczytałam je z wielkim zainteresowaniem i jestem pełna podziwu nie tylko dla Pani zdolności literackich. Moim zdaniem „Wspomnienia” na tle historii Pani Rodziny stanowią dokument życia Polaków pod niemiecką okupacją, bowiem ukazuje Pani różne aspekty tego życia. Czy myślała Pani o wydaniu „Wspomnień”? Być może władze Czernikowa byłyby nimi zainteresowane. Ja ze swojej strony dokonam starań, aby były wykorzystane do biografii ich bohaterów związanych z konspiracją pomorską.

Czy może wyraziłaby Pani zgodę na opublikowanie w przyszłości fragmentów w „Biuletynie”?

Pani Marylka Sobocińska po wyjściu ze szpitala (w Szwecji) dzwoniła do Fundacji z informacją, że czuje się dobrze (chociaż głos miała słaby). Od tego czasu nie mieliśmy od Niej wiadomości. Właśnie będę do Niej wysyłała „Biuletyn” wraz z listem.

Rodzina Pani Marylki była włączona do konspiracji przez Halinę Krzeszowską, szefa Wojskowej Służby Kobiet w Komendzie Okręgu Pomorskiego ZWZ-AK i z Komendą Okręgu Pomorskiego była także związana działalność Pani Marylki.

Łączę serdeczne pozdrowienia i wyrazy szacunku.

Z poważaniem

.....
Elżbieta Skerska dokumentalistka

Skrytka 30.01.2010

Armię Krajową oraz Wojskową Służbę Polak
w Turcji

IV/1/15

Wpłynęło dnia: 3.02.2010

L. dz. 122/Pan-10/10

Zakładnik:

Referent:

Szanowne Pani!

Przepraszam, że nie potwierdziłam chociażby krótkim telefonem otrzymania od Pani przesyłki - kopii i kszyci, ze którą bardzo dziękuję. Miałam trochę "zapchać" czas (emerytura!), bo chciałam przez dłużej tygodnie na rehabilitację, a przecież normalnie obowiązkowo domowe cegły, zutancem przy takiej kumie (i wielu).

Długo rodził się pomysł me list do Pani Marii Sobocińskiej, zrentoż mam tak właśnie przed pisanie czegoś b. ważnego. Nie chciałam ani zamierzać, ani wstydzić - ani też zbyt szybko i krótko wyjawic swej prośby. Wreńcie jakoś napisałam i mam nadzieję, że w powiedziała mi się. Choć Pani poinformował, że z pewnych względów, o których może porozmawiamy, jeśli będzie Pani sobie tego życzyła, nie napisałam nic o moich kilkunastu kontaktach z Sp. Bogdanem Ziolkowskim. Tak mi mój nos podpowiadał.

Jeśli dostanę odpowiedź - lub jej nie dostanę, jeśli będzie mnie satysfakcjonował - lub nie będzie (jak pisał Gombrowicz) - pochwałę się Pani - lub się nie pochwałę, bo me będę miała o tym.

Dziękuję za kserokopie. Teraz je stosuję to, że swoje listy kopiuję, bo zapominam nieraz co komu wysłałam. Bardzo zdziwiłam się też kopię ze zdjęciem pani Stanisławy Okońskiej. Teraz zrobiłam kopie wszystkich zdjęć z jej osobą przy okazji a raczej jednocześnie ze zdjęciami Stanisławy i Damazego Jaworskich. Nie chcę na odwrócić tych zdjęć przepisywać dedykacji dla tego są one na kopertach. Są one do Pani dyspozycji. Niestety fotograf magrał je w dostępnej

Kolejności, proszę więc o decyzję - czy potrzebne
 będą autorom książki, czy mogą być podziękowa-
 niem moim za pamięć o tych, którzy zginęli,
 a byli serdecznie złączani z moimi Rodzicami.
 Myślę, że to harcerstwo ich kochało, a swoje drogie
 starszy brat Dawidego - Ludwik był także w ro-
 dzinie Szafranowiczów miłe wspominały. Nie wiem
 nawet, czy przypadkiem nie był Maciejkiem mo-
 jej Mamę.

Następna sprawa - już po napisaniu życiorysów
 Babci i Mamę w siedzibie Fundacji otrzyma-
 kam od mojej ciociasnej siostry kopię wspomnień
 Heleny Grudzińskiej, starszej o 6 lat siostry mojej
 Babci. Je napisałam tak, jak się mówiło w
 rodzinie: "wymieszony na Sybir, zaginął". Okre-
 szyć się że było trochę inaczej, a ciocie Hela
 miała świetną pamięć. Dlatego posłałam sobie przes-
 kai Pani te kartki jej rękopisu, gdzie pisała o bra-
 cie Stanisławie oraz Calosi, przepisując do moich
 zbiorów przesłać mi je formacie A4 wraz z
 moimi komentarzami - "notkami redakcyjnymi".

Nie przypuszczam, by to w Calosi interesowało
 Panią ze względu na Pani pracę; to tylko
 taka ciekawostka. Dostałam też ostatnio kopię lis-
 tu pisanego przez mojego pradziadka - Antoniego
 Świątecznego do przyjaciela (nie wiem do kogo) w
 czasie pierwszej wojny światowej (4 czerwca 1914r.)
 Ale najstarszym listem w rodzinnych zbiorach jest
 list od koleżanki pisany do mojej praprababki
 - Julii Dzienińskiej (późniejszej Mianowskiej) z
 15. lutego 1845 roku! No, ale dość tego.

Jeszcze raz dziękuję za przesłany życiorys
 Kluczem się pisał wszystkim w Fundacji
 Panią serdecznie pozdrawiam

[Signature]
 175

Dnia 25. stycznia 1964 r. Wawer K/W⁴⁷

— 14/11/47

Rocznica powstania w 1863/4 r.

Urodziłam się w 1873r. w Kaliszu. Były to czasy, gdy żyli wszyscy wspomnieniami; nie dane było nikomu zapomnieć świeżo przeżytych lat — Polska była w niewoli, rozdarta na trzy zaborcy. Z dzieciństwa moich lat pamiętam opowiadania Matki o przeżyciach, ciężkich prześladowaniach, reżiszach, aresztowaniach, wyroczeniach na Sybir. Dziadek mój Antoni Mianowski po takiej bezlitosnej i brutalnej reżizji ciężko zachorował i umarł.

Udział w powstaniu brał ojciec mój Antoni Świątecki — walczył w oddziale Padlewskiego¹ i został ciężko ranny — po powrocie z zesłania osiadł w Kaliszu. Obecnie, gdy nadchodzi setna rocznica tych ciężkich zmagań, a ja skończyłam 90 lat, pragnęłabym przechować dla następujących pokoleń nieco wspomnień. Nie wiem, czy poddam zadaniu, bo i wzrok słaby i ręka słaba, ale spróbuję.

Najcięższym przeżyciem w moich młodszych latach był wyjazd z Kalisza. Rodzice moi mieli własny dom wygodny, nad rzeką, z ogrodem, drugi w rynku (dochodowy). Było nas siedmioro dzieci, czworo już w wieku szkolnym. W otoczeniu krewnych, przyjaciół, żyło się w naszym kochanym mieście. Wszystko to trzeba było porzucić i wyjechać do Warszawy. Ojciec uległ wtedy namowom przyjaciela, aby się przenieść na lepszą posadę do Warszawy, gdzie i dla

dzieci łatwiejsze dalsze studia. Był to krok ryzykowny, który odbił się ciężko na losach całej rodziny. Nie zapomnę nigdy jak boleśnie odczułam wyjazd z rodzinnego domu; tylu pozostawionych przyjaciół, ulubionych miejsc w parku, kościołach. Wyjazd do Warszawy, a już potem pierwszy w życiu podróż koleją, widok wysokich gmachów, sucha ulica — wszystko to ogromnie wznierało wrażeń. W Warszawie mieszkał wtedy i pracował bardzo kochany przez nas Wuj Oleś — brat mojej Matki — Aleksander Mianowski — inżynier. Pracował wtedy w kolejnictwie. Był to człowiek nadzwyczaj dobry, łagodny, a że był kawalerem i kochał dzieci, każdy wolny dzień spędzał z nimi. Obwoził nas po Warszawie, prowadził do teatru, na koncerty, na wystawy, pokazywał zabytłki historyczne Stolicy. Ogromne wrażenie zrobił na mnie Teatr Wielki — opera, chóry i balet. Były też wtedy w Warszawie teatryki t.zw. ogródkowe. Podczas letniego sezonu dawali przedstawienia w ogródkach — przeważnie operetki, wodewile. Występowali tam nieraz znani i zdolni aktorzy jak np. Solski. Bywały też ciekawe koncerty w Dolinie Sanajcarskiej. Filharmonia powstała później. Do wspomnień moich z ówczesnej Warszawy należą wyjeźdy do kościołów, szczególnie „na Groby”. Uzniewało się wtedy kościoły na Starym Mieście i najdalej położone. Felno jeszcze wtedy było świątyni popowstańcowskich pamiątek

DEFORM

11/11/1932

i opowiadań - szczególnie z kościoła Świętego Krzy-
ża i Katedry. Każdej niedzieli po nabożeństwie
w Świętego Krzyża szło się na wystawę obrazów. Nie
było jeszcze wówczas gmachu „Zeddyty”, a wystawa
mieściła się w pałacu Potockich na Krakowskim
Przedmieściu. I tu dużo niezapomnianych wrażeń:
wspaniałe obrazy i rzeźby. Nigdy nie zapomnę ob-
razów: „Śmierć Barbary Radziwiłłówny”, Karanice
Skarżi” czy „Hold Pruski”. Wszędzie Wuj Oleś był z
namami, woził nas i do Wilanowa i do Łazienek.
Kochaliśmy Go bardzo i ciężko odczuwaliśmy roz-
stanie z Nim, gdy wyjechał do Kalisza i tam zmarł.

Szkola.

Zapisano nas do Gimnazjum II na ulicy Wilczej.
Ja i Tosia poszliśmy od razu do 7. i 6. klasy
Summe to były czasy. Wszystkich przedmiotów uczo-
no w języku rosyjskim. Jedynie język polski i re-
ligia (2 razy w tygodniu) były w języku ojczystym.
Szczególniej historia Rosji była bardzo szczegółowo
i obszernie wykładana jak również i geografia.
Rozumie się, że historii ojczystej uczyliśmy się
prywatnie jak i języka polskiego. Rygor w szkole
był duży. W każdej klasie na lekcji oprócz nauczy-
cieli była stale t. zw. „dama klasowa”, która pilnowa-
ła nas i śledziła. Gdy jednak zdarzało się, że by-
ła to dosyć ludzka, pozostawiała nas na lekcjach
polskiego i religii bez swej opieki i wtedy mógł
wykładowca opowiadać nam coś zabronionego.

12/20
2
Maturę otrzymałam w 17. roku życia. Była to też osobliwa uroczystość. W mieszkaniu prelozowej w tym samym gmachu było przyjęcie dla maturystek i profesorów i był również kurator, t.j. „popiec-
czytel” - osławiony Polakozierca Apudtin. Ten nam rozdawał ogromne, złociste dyplomy i każde z nas „uszcześliwiał” podaniem wódki, a my umówiliśmy się, że wytrzymamy wódkę o biały fartuszek, obowiązującego wówczas mundurka.

Po ukończeniu II Gimnazjum, mające 17 lat, trzeba było pomyśleć o jakiejś pracy zarobkowej. Wówczas dla dziewcząt nie było to łatwe. Miałam jeszcze dwie braki w wykształceniu, ocsytanin, żadnej praktyki w naukach, a jednak pozostawała jedynie posada nauczycielki na wsi (w domu prywatnym). Nawarwie jednak trafiła się inna posada, mianowicie w redakcji tygodnika „Wzdrowiec”. Tam miałam zajęcie w administracji, odbieraniu i segregowaniu korespondencji, kasę. Spotykałam kilkun wbitnych wówczas literatów jak Siemieński historyk, Chmielowski², Adam Pług³, kilkun redaktorów Encyklopedii wydawanej jednocześnie z „Wzdrowcem”; również i kilkun malarzy. Praca w redakcji była przyjemna, otoczenie ludzi wykształconych, dyskusje, wszystko to wpływało na rozwój myślowy. Oprócz tego brałam lekcje muzyki i śpiewu, co mi się później nierzad przydało w pracy nauczycielskiej. Profesorem śpiewu był znany wówczas Miller⁴. Wszystko to kosztowało dużo, a placili w redakcji bardzo

10/11 (3)

mało. Rodzice sprzedali domy w Kaliszu i kupili za to kolonię Miłosno pod Warszawą, zwiózli miłośników kamie i przenieśli się na wieś na gospodarstwo. Był to zwyczaj fatalny, nieprzeuroczy krok. Trzeba było samej sobie radzić. W huszawie musiałam opłacać mieszkanie i utrzymanie i nic mi prawie nie zostawało na ubranie i inne wydatki. Musiałam rzucić redakcję i wziąć posadę nauczycielki na wsi. Trafiłam dobrze, do ludzi kulturalnych i szczerych. Miałam przygotować do szkoły dwie dziennicy i dyktando. Po dwóch latach moje uczennice zdały egzamin i zostały oddane na pensję pani Rudzkiej, którą odubnie ukochały. Ja zaś dostałam drugą, a potem trzecią posadę aż na Wołyniu. Lusia też po ukoniecznieniu szkoły (z odmaszerowaniem) jakiś czas pracowała na pensji pani Jastrzębskiej (wnuczka profesora Jastrzębskiego) - w Łazienkach Warszawskich jest też jej słoneczny na wielkim głacie - dzieło profesora Jastrzębskiego. Po jakimś czasie jednak i Lusia wyjechała na posadę aż nad Wołgą do Saratowa, do polskiego domu inżyniera, zatrudnionego tam w jednej z fabryk. Ogromnie wszyscy odculiśmy tak daleki wyjazd Lusi. Była ona wtedy młodzieńca, nadzwyczaj łagodna i dobra. Kochaliśmy ją bardzo, szczególnie dla mnie była ona najdroższą siostrą i przyjaciółką. Wspomnienie Lusi nigdy niezatałe przez całe moje życie. Obydaj bracia moi, starsi odemnie, byli później nieraz opiekunami

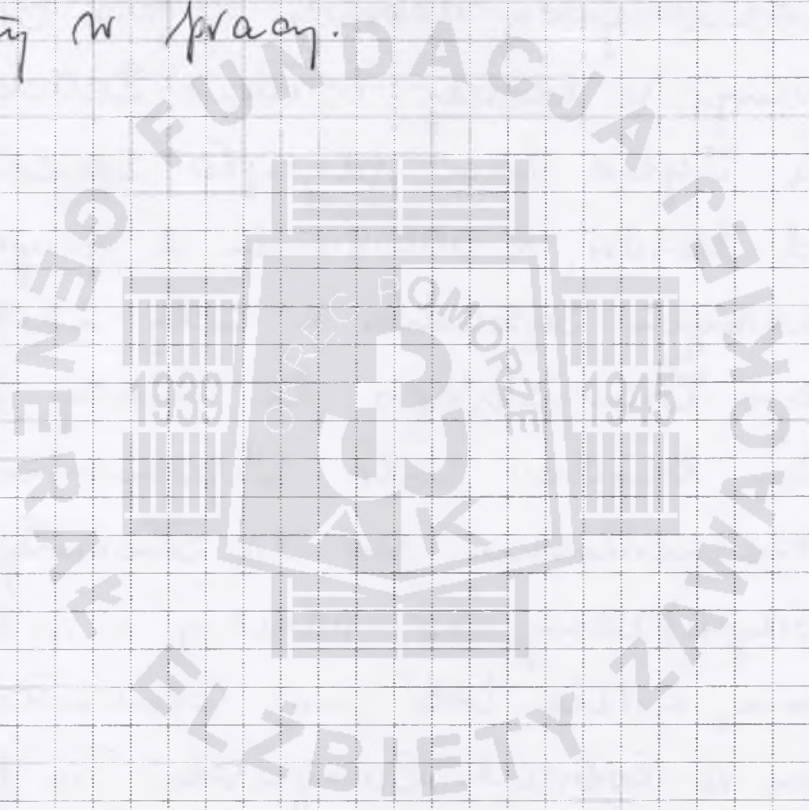
1911/22
nas, siostr. Starszy Staś był studentem Warszawskie-
go Uniwersytetu, gdy za patriotyczne manifestacje
w rocznicę Konstytucji Majowej został aresztowa-
ny i zesłany w głąb Rosji. Tuż bolesne rozstanie!
- widzę jeszcze krami zalaną twarz rodziców, gdy
Go wywozili. Do Warszawy już nie mógł powrócić.
Musiał kontynuować studia w Kijowie, skąd za otrzyma-
ne stypendium został jako lekarz do
Karkaralińska⁶ nad jezioro Bajkał - pisywał
stamtąd i obiecywał powrócić po odslużeniu kil-
ku lat. Tymczasem od chorego zaraził się tyfusem
i zmarł. Był to straszny cios. Ladażyło to na póź-
niejszym moim życiu. Wspomnienie Stasia, jego pre-
kowania, rozmowy z Nim, miały duży wpływ na uk-
ształtowanie moich poglądów. A żyliśmy z sobą bar-
dzo serdecznie, zwłaszcza podczas jego studiów w
Kijowie. Ja wtedy mieszkalam w Kijowszczyźnie,
gdzie mój pracował w lesnictwie Staś spędzał
u nas wakacje i święta i często przyjeżdżał.
Wybuchła wojna japońska. Antos, młodszy mój brat,
został powołany do wojska. Staś zmarł i Matka
nasza przeniósł się do Magnusaewa z młodszymi
siostrami, aby prowadzić aptekę Antosia do jego
powrotu z wojny. Antos szczęśliwie powrócił po skon-
czonej wojnie. Ożenił się i do końca prawie
życia mieszkał w Magnuszewie i prowadził ap-
tekę.

Wolyn

Posada moja na Wolyniu była ostatnią, bo nie-
bawem poznałam tam mego przyszłego męża i wysz-
łam za niego. Ślub nasz odbył się w Warszawie w
kościółce Świętego Krzyża 9. II 1899 r. Wszyscy moi
najbliżsi byli obecni: Rodzice, bracia i siostry -
było to ostatni raz, kiedy widzieliśmy się wszyscy.
Po ślubie wyjechaliśmy na Ukrainę, gdzie mój
był zatrudniony w dobrach Krócia Branickiego.
Mieszkaliśmy w lesnej osadzie Żebcewo, o 100 km
od Kijowa. Życie tam płynęło spokojnie i dostat-
nie wśród lasów, w obcowaniu z przyrodą. Towarys-
two przyjaznych sąsiadów i cały zarząd majątko-
mi hrabiego Branickiego to Polacy. Z owych czasów
zachowałam bardzo miłe wspomnienia. Po kilku
latach przenieśliśmy się do Staniuty. Mariusz bar-
dzo był przywiązany do rodziny i pragnął pracować
na Wolyniu, gdzie teści mój Grudziński był pełno-
mocnikiem w dobrach Sanguszek. Tu było już inne
życie - więcej towarzysstwa, rozrynek, ale i mniej spo-
koju. Potem wybuchła I wojna i tułaczka. Osiedli-
śmy w Rosji, guberni Woroneńskiej, w ogromnych
lasach państwowych. Po skończonej wojnie, i powrocie
do Kraju, Mariusz został komisarzem leśnym w Wie-
luniu i Częstochowie. Tam teści ciężko zachorował na
nerki i zmarł 18. VIII 1921 r. Zaczęłam pracować w
szkolnictwie. Początki mojej pracy były bardzo
ciężkie. Znałam jednak dobrych, zacnych ludzi

IV/1/24

i dzięki radom i pomocy kolegów i władzy zdobyłam potrzebny mi tytuł i wiedzę pedagogiczną. Z wdzięcznością wspominałam wszystkich tych kolegów. Dużą pomoc okazali mi też Witold i Stefania Modelscy⁽³⁾, którzy wzięli mnie na mieszkanie, dopóki nie dostałam osobnego od zarządu Kopalni. Tak płynęły lata w ciężkiej pracy, ale i nieraz miałam duże zadowolenie, gdy udawało się osiągnąć dobre rezultaty w pracy.



Notki redakcyjne - Marii Kozimińskiej 11/11/25

- 1) Padlewski Zygmunt, syn Władysława, generał, żył 1836-63, 1862-63 działacz lewicy „czerwony”, w powstaniu 1863 członek Centralnego Komitetu Narodowego, naczelnik m. Warszawy i naczelnik województwa płockiego, rozstrzelany. (Encyklopedia PWN)
- 2) Chmielowski Piotr (1848-1904) krytyk i historyk literatury, nauczyciel szkół prywatnych w W-wie do 1898 r.
- 3) Adam Plusz czyli Antoni Pietkiewicz (1823-1903) publicysta i pisarz, redaktor 1894-99 „Wędrowca”, od 1891 redaktor „Wielkiej encyklopedii powszechnej ilustrowanej”
- 4) Miller Władysław (syn Władysława-basa opery Władysławskiej) (1863-1929) - nauczyciel śpiewu, kompozytor, uczeń Zygmunta Noskowskiego
- 5) Wojciech Jastrzębowski (1799-1882) przyrodnik, pedagog, twórca arboretum w Broku nad Bugiem
- 6) Karkaralińsk - miasto w Kazachstanie, na pł.-ws. od Karagandy. Na południe od Karkaralińska znajduje się bardzo duże jezioro Balchasz, a nie Bajkał. Przepuszczeniem, że prawdziwa jest raczej nazwa miasta, niż jeziora.
- 7) Witold Modelski (ziona Stefania) był ciociarnym bratem autorki wspomnień - synem Klemensa i Marii z domu Mianowskiej - pracował w Dąbrowie Górniczej. Jego wnuk - też Witold (Dwidus) był np. przekazywaczem wspomnień najmłodszemu marcelem polepszy w Powstaniu Warszawskim w 1944 r.

~~nr Powstańca Waleśki w 1844 r.~~

IV/1/2/6

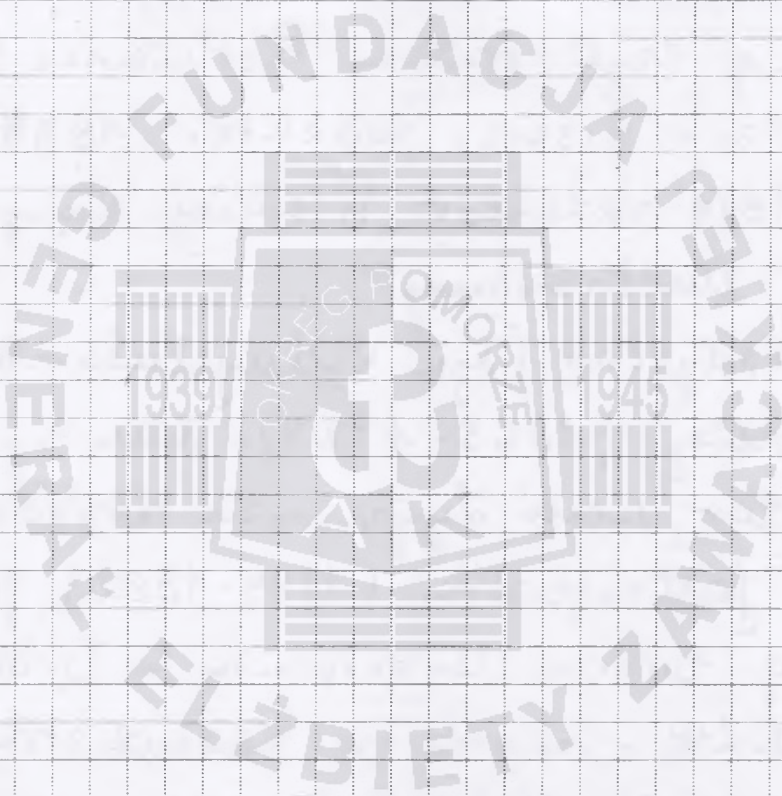
208 F13

209 E16

179 E8

Te wspomnienia pisala Helena Gudziska,
starsza o 6 lat siostra Marii Lysakiewicz

M. Lysakiewicz



10/11/27 (1)

Szanowna Pani Elżbieto!

Mimo to dłużej tygodnie od udzielenia Pani listu z tak
pochlebną Pani oceną mojego pamiętnikarstwa
Przyznam się, że zdziwiły mi się try w ośrodku, bo
dotąd tylko mój Mąż chciał mi re to pisać.
Najpierw przeczytałam to, co wysłała do Pani. Uwer-
nie.

Nie myślałam nigdy o wydaniu tego w sensie
ogólnodostępnej "Książki" a zwłaszcza do sprzedania!
(Inna sprawa, że Chyba nie powiedzielibyśmy to w kilku
egzemplarzach, by móc szukać to ludzkiem
w rodzinie, bo ostatecznie taki był cel mojego
zbieractwa i pisanie)

Próczymy są różne. Pomijając jakość, jest to
zbyt osobiste, wiem, że są ludzie, którzy z upo-
dobieniem myślenie mającym więcej swoje spr-
my. Nie czytają tabloidów, nie interesują się
"kto z kim", itd, itp. Nadawcyraj natomiast
"lubią i podziwiają wspomnienia księżki o ro-
dzinach ("w ogrodzie pamięci" Janiny Olcud-
Rozikier), książki pisane przez córki o stau-
mych Ojca ("Ojciec" - o generale Stefanie Rowe-
kim i o Panie Janinie Emory Bejar-Crecnot),
czy o miejscach "sążeń" "Kobry" (Cerkanka J. Janichowej)
Moje pisanie nie dorasta in do figt. Są w
nim powtórzenia, o których wiem, ale to sy-
nikalo w domnym momencie z konieczności
- np. mnie - zachowanie tolu narracji.

Drugie sprawa: To co Pani dostała, to dyl-
ko Jesi pisanie. Oprócz tego, w dwóch segreg-
gotorach, włączone są: alty urodzenie, ślubów,
zgonów, dokumenty - Dziadka i inne, niele-
głue 'kserokopie' fragmentów map - z Czer-
nikowem, Rokitnem - plan Czerwikowa z ne-
niesionymi przez mnie objaśnieniami 186 kto

gdzie mieszkał itp, wspomnienia i pamiętniki
 harcerskie Rodziców, zyciorys Stanisławy Ja-
 worskiej, krótki "Ryśki" a moimi dopiskami
 i zdjęciami. "Kupa" zdjęć bo jak napisałam na
 końcu "wstępu po raz drugi" - za mało zdjęć
 moim wykorzystał przy pisaniu, czy drukowaniu
 na formacie A4, bo freść nie nadaje za zdję-
 ciami a chciałam wykorzystać wszystkie zdjęcia,
 jakie "pomierzały się" - te z naszego przedwojen-
 nego dzieciństwa i te, zwłaszcza, z okresu wojny.
 Umieszcza je osobno na kartach A4, tylko z
 podpisami, przeważnie bez dokładnej daty.
 Zdjęć jest około 120! (w tym tylko 26 już
 wydrukowanych)

Moje to rarys stanowi jakis całosc - tzn życie
 "naszej pigtli" z okresu okupacji z dodatkowa-
 "mi wstecz (moje dzieciństwo) i tymi "post scrip-
 tami" - o końcu życia Babci i Dziadka (nie
 mogłam się jeszcze przeżyć, by napisać o Mamie,
 oraz o moim dobrużciu do matury - jako jedno
 spraw zwycięzcy z kulis, a raczej jej bra-
 kien w czasie wojny. Moje to stanowi, ale
 je oprócz tego napisałam wspomnienie o bra-
 ciach mej Mamy. Napisałam, korzystając z
 udostępnionych mi dokumentów przez syro-
 wę Jadwigę - o Władysławie Łysalińskim (to
 mój wydrulowany) i ostatnio o najmłod-
 szym - Janie Łysalińskim, którego życie od 1931
 roku aż do jego śmierci było związane z
 Czerwikowem z przerwą na lata wojny (1939-45)
 Oporcie mi idzie pisanie o rodzinie Sul-
 cow - boogram, Ojca jest "względny", bo nie re-
 mówienie o braciach specjalnych G.B.L, a o naj-
 młodniej siostrze mego Ojca - Jadwidze Marii
 Sulcównie (je byłam Maria Jadwiga Sulcówna),

IV/1/29

która zginęła w Toruniu w 1940 roku, napisała na podstawie odnalezionych dokumentów z miejsca jej pracy - PKP-Torun.

Dokumenty te - wraz z kopiami - oddałam do Archiwum Akt Nowych w W-wie, kierując się myślą, że najwięcej potomków rodziny Szulców będzie w W-wie.

Piszę teraz z moją siostrą po przedkach "Swięteckich" opowieści o losach aptekarzy z rodziny - Stefana Lysaliewicza, Antoniego Swięteckiego (brat Marii Lysaliewiczy), Bolesława Jędrzejewskiego (swagier Marii Lysaliewiczy) i Jana Lysaliewicza. Namówiły mnie na to pani - dyrektorka i archiwistka Muzeum Farmacji z W-wy, gdy oddawałam pamiętniki po Dziadku. W związku z tym starałam się i jań dotąd bezskutecznie, o otrzymanie z IPN treści przesłuchań Jana Lysaliewicza, prowadzonych przez W.V.B.P. w Bydgoszczy, o których wiedziałem wien od Sp. Bogdana Liótkowskiego. Narazie powiadomiono mnie, że sprawa została przekazana do krakowskiego IPN i to drugi raz po mojej interwencji.

Poszukuję też śladów rodzinnych Lysaliewiczków. Ta kartka - tabelka to przykład - wysłałam ją do Sublicha, gdzie na starym cmentarzu jest nagrobek Wandy Lysaliewiczy. Pamiętam z miejscami urodzeń i pochówków, bo to bliżej Torunia. Sprawa jest tylko miejsc. Wracam do zasadniczej sprawy. W Czerwikowie jest ktoś, kto zbiera dokumenty z przeszłości Czerwikowa i jego mieszkańców, jest to dyrektor Szlachy Podstawowej - pan Józef Chrobaki, historyk. Znamy się. Przyznam, że gdyby

zapytala o to, czy chce mieć te materia-
ly, to może by je "zamówić", ale w sprawie
jakiegoś publikowania ich na terenie Czer-
nikowa mogłoby się zdarzyć, że jedni
mieliby pretensję, że ich wymienia, a
inni, że nie wymienia. Póki mogłan
czegoś nie wiedzieć, ale niczego nie sula-
matan, nikogo nie ocieruła bezpodstawa-
nie.

A teraz o możliwości skorzystania przez
Pauig, do celów archiwalnych, jakichkolwiek
wiadomości o osobach, czy faktach, które
mogą się przydać, coś wymyślić, czy cho-
by nasunąć myśl w pewnym kierunku —
jak najbardziej z góry.

Myślę jednak, że ja niewiele nowego wniesić
mogę do zasobów Archiwum.
Jeśli zaś chodzi o ewentualny druk frag-
mentów w Biuletynie, to redakcja tego
mogłaby usunąć te nadane, rodzinne
"Macie i Maci" i następnie je przez "Babcie,
"Dziadeli", żeby uniknąć tłumaczenia, Słysz
to się kręgi (autorke tych imion — to
Janina Konopachna, pochowana w Toruniu)
Trochę sobie jednak nie wyobrażam, co mogło
by byćbrane pod uwagę, chyba, że myśla-
łoby Biuletyn ^{poświęcając} konkretnemu te-
matowi (praca dzieci, różne możliwości nau-
ki w zależności od terenu, wielkości i
miejscowości, zachowanie przy życiu nauca-
cieli itp.)

Pytałam, czy wkrótce, zgodnie z prawdą
napisać do WSK-AK. Państwo opinia
jest dla mnie bardzo ważne, choć rozu-
mieniem, że może proszę o za wiele.

IV/11/31 (3)

Proszę sobie przestać Pani moje oprecowa-
nie zyciowym Jadwigi Szulcówny. Może ktoś
obierający Straty Torunia trafi kiedyś na
jej ślad. Ja zgłosiłam ją do wyhasu
"www.straty.pl". Zgłosiliśmy 2 moim
stryjeckim bratem, Wiesławem Szulcem,
5 osób z naszej rodziny. Uważaliśmy to
za nasz obowiązek.
Może przyjmie to ode mnie Pani Sylwia Gro-
chowina?

Zupełnie dużo napisałam, nie umiem krótko
i treściwie. Bardzo lubię, gdy ktoś używa
mojego imienia i dlatego też proszę o
sobie użyć imienia Pani.

Serdecznie pozdrawiam

W. Kucielna

Słoneczko,
5. X 2010 r.

P.S. Jm' trochę chodzę.

FUNDACJA	
"Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek w Toruniu"	
Wpłynęło dnia:	19. 10. 2010
L. dz.	3299/Pom-410/10
Załączniki:
Referent:


TV/11/32

Szulcowie

Jadwiga-Maria Szulcówna

Tak, właśnie takiej postaci nazwiska używała Ciocia Jadzia, tak się podpisywała na dokumentach.

Imię i Nazwisko pracownika.wyraźnie:.....*Szulc Jadwiga*.....
 Data /dzień,miesiąc,rok/urodzenia.....*2. czerwca 1912 r.*.....



Własnoręczny podpis pracownika.....*Jadwiga Szulcówna*.....
 /sposób zwykłego podpisania się/

Identyczność podpisanej osoby z naklejoną fotografią stwierdzam
1/10.2015
*W. Szczerba*.....
 podpis nacz.miejsca służbowego

Od Niej zaczynam opowieść o rodzinie Szulców, a nie od pradziadków, o których, nawiasem mówiąc, prawie nic nie wiem. Nawet o Jej Ojcu, a moim Dziadku wiem bardzo mało.

Na zdjęciu rodzinnym, które zostało wykonane w 1912 r. nie ma jeszcze Jadwigi, która urodzi się dopiero 2. czerwca 1912 r. Na kolanach Matki – Stanisławy siedzi najmłodszy Tadeusz, obok Ojca – Seweryna stoi Helena, pomiędzy Rodzicami – Kazimierz, stoją z tyłu od lewej – najstarszy Wacław i Józef.

W moich poszukiwaniach wiadomości o rodzinie często punktem wyjścia był akt zgonu. Z niego dowiadywałam się o miejscu i dacie urodzenia, o imionach i wieku rodziców tej osoby. Ciocia Jadzia wyszła z domu w Toruniu w styczniu 1940 r. i ślad po Niej zaginął. Nie znam daty ni miejsca Jej śmierci, ani, zbiorowej prawdopodobnie, mogiły. Nie wiedziałam także nic bliższego o Niej, chociaż Jej zdjęcie stało zawsze na biurku mego Ojca, ponieważ Jej temat był tematem tabu. Myślę, że była ukochaną siostrą starszego rodzeństwa. I to Ona, wraz ze swym bratem



Józefem i Dzidkiem (Eugeniuszem), synem Wacława, stała się ofiarą wojny, poniesioną przez rodzinę Szulców. Latem 1999 r. szukałam w ZBOWiDzie i w Państwowym Archiwum

zaw. do listu - data wptywu 19.10.2010 191

10/11/33

w Toruniu wiadomości o ofiarach egzekucji przeprowadzanych przez Niemców. Niestety, niczego się nie dowiedziałam. Chodziło mi o jakiś punkt zaczepienia w sprawie Cioci Jadzi. Nie mogłam także znaleźć Jej metryki urodzenia, ani w Choceniu, ani we Włocławku. Nie wiedziałam, że Dziadkowie mieszkali jakiś czas w Osiecinach, skąd pochodziła Babcia. Teraz są w moim posiadaniu dokumenty Cioci z miejsca Jej pracy, tj. Polskich Kolei Państwowych. Dokumenty te znalazłam w 2000 r. w domu mego Ojca. Myślę, że Ciocia otrzymała je z PKP na początku wojny, a od Cioci Heleny Baranowskiej, u której mieszkała, dostał je mój Ojciec. W aktach personalnych Jadwigi Szulcówny znajdują się: odpis metryki urodzenia i świadectwa maturalnego, poświadczenie obywatelstwa, krótki życiorys, oświadczenie o narodowości, kwestionariusz o karalności i poświadczenie Ministerstwa Sprawiedliwości o niekaralności, kwestionariusz osobowy, a także karta stanu zdrowia wypełniona przed przyjęciem do pracy w październiku 1935 roku, umowa o pracę, zgłoszenie o złożeniu przysięgi służbowej, protokół egzaminu ścisłego oraz wykaz stanu służby.

Jaka była, ta młoda, dwudziestotrzyletnia dziewczyna, która 4. października 1935 r. została przyjęta na stanowisko „pracownika kontraktowego PKP”? Czego się uczyła, co skończyła? Od 1926 r. mieszkała w Toruniu u Ciotki Heleny Baranowskiej – Matki nie miała już od 1923 roku, w 1934 roku zmarł także Jej ojciec. W Toruniu zdaje maturę w 1931 roku i kończy kurs „buchalteryjny” w 1934 roku. Jest młoda, zdrowa, wysportowana (gra w tenisa – pamięta Zosia-Gusia Szulcowa). W karcie stanu zdrowia dr St. Zmyślony podaje na podstawie wywiadu z Nią, że nie chorowała na żadne poważniejsze lub często powtarzające się choroby. Na podstawie badania doktor wpisuje do karty: ma 162 cm wzrostu, prawidłową budowę ciała, głos mocny i czysty, nie jest daltonistką, nie nosi okularów, wzrok i słuch zaliczony do pierwszej kategorii.

Za pięć lat nie będzie już śladu po Niej na tym świecie.

Tymczasem jest przyjęta jako maszynistka kancelaryjna i siła biurowa do biura personalnego z uposażeniem wg dwunastej grupy, z pensją 150 zł miesięcznie.

W 1937 roku (4. lutego) zdała z wynikiem dobrym, egzamin „ścisły na telegrafistkę w pełnym zakresie”, a 22. sierpnia 1939 roku, również z wynikiem dobrym, „ścisły na adiunkta ogólnej służby nietechnicznej”. Zmiana nazwy służbowej z „pracownika kontraktowego” na „umownego stałego” (1. marca 1938 roku) nie wiązała się ze zmianą uposażenia. W Jej aktach personalnych pozostały bez wpisów karty: kary dyscyplinarne, choroby, kary porządkowe oraz ostatnia rubryka – data śmierci, wypowiedzenie służby, „spensjonowania z podaniem rozporządzenia” oraz wymiar emerytury. Tych rubryk nikt już nie mógł Jej wpisać, na zawsze pozostaną puste. Nie wiem, co robiła od zajęcia Torunia przez Niemców aż do swej śmierci.

A czego możemy dowiedzieć się z dokumentów o Jej życiu, zanim zaczęła pracować na PKP? Przytoczę najpierw napisany przez Nią życiorys.

„Urodziłam się 2. czerwca 1912 roku w Osiecinach, pow. Nieszawa, woj. warszawskie. Jestem wyznania rzymsko-katolickiego. Wkrótce rodzice moi przenieśli się do Włocławka, gdzie pobierałam pierwsze nauki. Po ukończeniu czterech klas gimnazjum Janiny Steinbokówny we Włocławku wstąpiłam do klasy piątej Miejskiego Gimnazjum Żeńskiego w Toruniu, zamieszkując u ciotki Heleny Baranowskiej, która mnie wychowuje. W 1931 r. ukończyłam gimnazjum, otrzymując maturę. Od r. 1932-1933 przebywałam u stryja Ignaca Szulca w Ostoi gm. Skorosze, pow. Pęcice. W 1933 r. powróciłam do Torunia, wstępując na kurs buchalteryjny im. Bergera, kończąc go w 1934 roku. Od 1. sierpnia 1934 r. do 6. maja 1935 pracowałam w „Księgarni Toruńskiej” J. Markiewicza, Wielkie Garbary Nr 21 jako bibliotekarka. Rodzice moi nie żyją, matka Stanisława z Bączkowskich Szulcowa umarła w 1922 r., natomiast Ojciec w 1934.

Jadwiga Szulcówna”

Uwaga: matka Jadwigi – Stanisława zmarła wg aktu zgonu 26. maja 1923r., aktu zgonu Seweryna Szulca nie znalazłam dotąd, jest to więc jedyna wiadomość o roku Jego śmierci.

IV/10/34

W swym zyciorysie Ciocia Jadzia nie podaje odkad mieszkała w Toruniu. Z innych dokumentów wynika, że już na rok przed wstąpieniem do piątej klasy gimnazjum, czyli od 1926 roku. Odpis aktu urodzenia, wydany w 1931 r. przez proboszcza ks. W. Matuszczaka podaje za aktem nr 40 z 1912 roku, że Jadwiga Maria Szulc, córka Seweryna Antoniego i Stanisławy z Bączkowskich urodziła się w Osięcinach 2. czerwca 1912 roku i została ochrzczona 21. czerwca 1912 roku. Ze świadectwa maturalnego dowiadujemy się, że naukę w gimnazjum toruńskim rozpoczęła 1. września 1927 roku, maturę zdała w 1931 roku na kierunku humanistycznym z następujących przedmiotów: religii, języka polskiego, języka francuskiego, historii wraz z nauką o Polsce współczesnej i matematyki. Oprócz tego na świadectwie otrzymała stopnie z języka łacińskiego, z fizyki i chemii, z propedeutyki filozofii i ze śpiewu z muzyką. Nie były to wspaniałe wyniki: ze śpiewu dobry, z religii bardzo dobry, reszta dostateczne. Ale komisja egzaminacyjna pod przewodnictwem Floriana Kozaneckiego, p.o. okręgowego wizytatora szkół uznała Ją za dojrzałą do studiów wyższych. Myślę, że gdyby miała możliwości finansowe, to mogłaby skończyć studia. Pamiętam, że mój Ojciec mówił, że oprócz religii, sprawowania i gimnastyki, z których miał piątki, z reszty przedmiotów miał trójki, co nie przeszkodziło Mu skończyć studiów. Widocznie dawne „dostateczne” miały dużo większy ciężar gatunkowy niż obecnie.

W zyciorysie Cioci Jadzi jest wzmianka o Jej rocznym pobycie u „Stryja Ignaca”. Ostoja leży tuż pod Warszawą. Może to była jakaś próba studiów? Po roku zdecydowała się na roczny „kurs buchalteryjny” w Toruniu (w tym czasie nie było jeszcze uniwersytetu w Toruniu). Gdy go skończyła zmarł Jej Ojciec.



A Stryj Ignac, to ten, który istniał w anegdocie mego Ojca i zwykł był mawiać: „moja rada, jak uważasz” i „Kaziu, nie kupuj rzeczy potrzebnych, bo ci zabraknie na konieczne”. Ta ostatnia rada zapewne wiązała się ze znaną w tej rodzinie oszczędnością, która w skrajnych przypadkach mogła przechodzić w skąpstwo.

Kto z naszego pokolenia pamięta Ciocię Jadzię? Jedynym wspomnieniem Zosi Szulcowej było to, że przychodziła nocować z nimi, gdy Rodzice wyjeżdżali za granicę. Nie była więc dla dzieci zbyt pożądanym gościem, bo wróżyła wyjazd Rodziców. Mnie Ciocia Jadzia nie kojarzy się w ten sposób. Przed wojną mieszkaliśmy na kresach wschodnich, w Rokitnie, pow. Sarny.



Ciocia Jadzia była u nas wiosną 1939 roku. Zdjęcie Jej z moją Mamą zostało zrobione na granicy polsko-radzieckiej 29. kwietnia. Bywała też w Czernikowie, u moich Dziadków Łysakiewiczów. Na zdjęciu jesteśmy oboje z Bratem i Ciocią Jadzię w ogrodzie za domem, który Dziadkowie wynajmowali przed zbudowaniem własnego. Zdjęcie zostało zrobione w 1936 lub 1937 roku. Pamiętam także ten moment, kiedy doszła do nas,

mieszkających wówczas w Czernikowie, wiadomość o Jej śmierci.

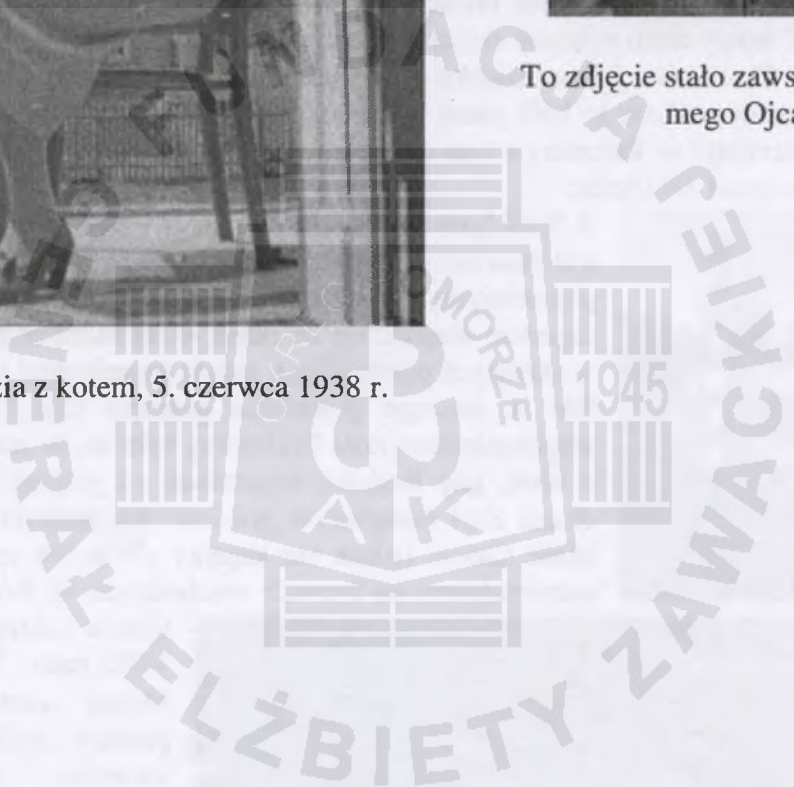
verte!

IV/1/35



To zdjęcie stało zawsze na biurku mego Ojca.

Ciocia Jadzia z kotem, 5. czerwca 1938 r.



zaw. do listu z 19.10.2010
- data wpływu

11/11/36

Jadwiga Maria Szulc została zgłoszona
do wykazu "WVWstraty PL", a na
grobie Józefi i Kazimierza Szulców (brat
Jadwigi) jest umieszczona przez siostrę
tablica (wymiaru tej samej osoby)
z napisem: Jadwiga Szulcówna, 1912-1940,
grób symboliczny. Grób bez określenia
numeracji na cmentarzu parafii św. Józefa
w Skarżysku-Kamiennym

Mania Kosińska
Kosińskiego 31-16
26-110 Skarżysko-Kamienna

1902
1903
1904
1905
1906
1907
1908
1909
1910
1911
1912
1913
1914
1915
1916
1917
1918
1919
1920
1921
1922
1923
1924
1925
1926
1927
1928
1929
1930
1931
1932
1933
1934
1935
1936
1937
1938
1939
1940
1941
1942
1943
1944
1945
1946
1947
1948
1949
1950
1951
1952
1953
1954
1955
1956
1957
1958
1959
1960
1961
1962
1963
1964
1965
1966
1967
1968
1969
1970
1971
1972
1973
1974
1975
1976
1977
1978
1979
1980
1981
1982
1983
1984
1985
1986
1987
1988
1989
1990
1991
1992
1993
1994
1995
1996
1997
1998
1999
2000
2001
2002
2003
2004
2005
2006
2007
2008
2009
2010
2011
2012
2013
2014
2015
2016
2017
2018
2019
2020
2021
2022
2023
2024
2025

Ta tabelka (pusta) byla zrobiona w olweislonym celu.
Byla zatytuLOWANA: "Tak jing i tak odradzaj sie mowisla"
(Bylo to w zwiqzeniu z poszukiwaniem sledow dysakwienicidow
na starym cmentarzu w Sublicie - miejsce wrodzenia Ste-
fana Dysakwienicza - Sublin).
Dla Pana wypeLnikam jez mielo maciej - sa tu podane
miejsca wrodzenia i pochownkow ciekawych rodzin:
Torun, Cmentarz na ulicy Antarka (w jednym grobie Wladyslaw Lysa-
kiewicz i Janina Kowpaczek) w Czerminkowie (Maria, Stefan
i Jan Dysakwienicowie) I w okolicy: Kikot (też mowisla
ze dwie osoby) Skępe.

Matki mlodych Dysakwienicow: jedna po narodzie zwi-
nila mowisko, druga mowi swoje, Anecia - podwojnie wisc
jej spis miedzony nie miedziwie, tylio dwie Jadwigi -
Starsza i mlodsza. Sa 0 tym mowiska.
Feili, to mowie byci delegow do dokumentow Dysakwie-
nicow - mowie kiedy komuni do czego sie przyda.
Feili nie - prona, potratowai jako ciekawostka, pop-
kista i mowicaj, mowicaj w poszukiwaniach
mowicaj.

Dawne abstrakcyjne ma dnia 29 mowisla 2010 roku

1902
1903
1904
1905
1906
1907
1908
1909
1910
1911
1912
1913
1914
1915
1916
1917
1918
1919
1920
1921
1922
1923
1924
1925
1926
1927
1928
1929
1930
1931
1932
1933
1934
1935
1936
1937
1938
1939
1940
1941
1942
1943
1944
1945
1946
1947
1948
1949
1950
1951
1952
1953
1954
1955
1956
1957
1958
1959
1960
1961
1962
1963
1964
1965
1966
1967
1968
1969
1970
1971
1972
1973
1974
1975
1976
1977
1978
1979
1980
1981
1982
1983
1984
1985
1986
1987
1988
1989
1990
1991
1992
1993
1994
1995
1996
1997
1998
1999
2000
2001
2002
2003
2004
2005
2006
2007
2008
2009
2010
2011
2012
2013
2014
2015
2016
2017
2018
2019
2020
2021
2022
2023
2024
2025

P.S.1. Kowicaj i Sublicowie mowicaj, ale to juz inne mowisla
P.S.2. Kowicaj jest 8000 mowisla, Sublicowie mowicaj, ale to widzi dotychczas

IV/1/39

Ps. A jalky dodatek do dyktu: "tali ginq...."

15 marca	1898	zmarł	Władysław Łysaliewicz (senior)
15 marca	1959	zmarł	Jan Łysaliewicz
15 marca	1955	wrodził się	Andrzej Łysaliewicz



IV/11 402



RZECZPOSPOLITA POLSKA

Województwo kujawsko-pomorskie

Urząd Stanu Cywilnego w Osięcinach

Nr 40 Osięciny, data 21 czerwca 1912 roku

ODPIS ZUPEŁNY AKTU URODZENIA

I. Dane dotyczące dziecka:

1. Nazwisko Szulc

2. Imię (imiona) Jadwiga Maria

3. Płeć żeńska

4. Data urodzenia drugiego czerwca tysiąc dziewięćset dwunastego roku

5. Miejsce urodzenia Osięciny

II. Dane dotyczące rodziców:

	Ojciec	Matka
1. Nazwisko	Szulc	
2. Imię (imiona)	Seweryn Antoni	Stanisława
3. Nazwisko rodowe		Bączkowska
4. Data urodzenia	46 lat	36 lat
5. Miejsce urodzenia		
6. Miejsce zamieszkania w chwili urodzenia dziecka	Osięciny	

zat. do listu z 19.10.2010 - data 18 1912

10/1/31

III. Dane dotyczące osoby (zakładu) zgłaszającej urodzenie:

1. Nazwisko i imię (nazwa zakładu) Szulc Seweryn Antoni -----

2. Miejsce zamieszkania (siedziba zakładu) Osięciny -----

IV. Uwagi: -----

Podpis osoby zgłaszającej
/-/ podpis nieczytelny

KIEROWNIK

Urzędu Stanu Cywilnego
/-/podpis nieczytelny

Wzmianki dodatkowe: -----

Miejsce
na opłatę
skarbową



Poświadczam zgodność powyższego odpisu z treścią aktu w księdze urodzeń.

Osięciny data 2001.03.09

KIEROWNIK

Urzędu Stanu Cywilnego
Z-ca Kierownika USC
Elżbieta Kowalska
Elżbieta Kowalska

Pani Krystyna Trepczyńska

Naczelnik IPN-u - Delegatura w Bydgoszczy

10/11/41

Maria Koźmińska
z d. Szulc

Krasieńskiego 31 - 16

26-110 Skarżysko-Kamienna

Zwracam się do IPN-u z następującym prośbami:

1. O wzmianie Jadwigi Marii Szulc jako ofiary okupacji niemieckiej 1939-1945 r.
2. J - o ile to jest możliwe - określenie przypuszczalnej daty jej śmierci i miejsca pochówku.

Jadwiga Maria Szulc, córka Seweryna Anto-
niego Szulca i Stanisławy-Kostki Marianny
z d. Bączkowskiej, urodziła się 2. czerwca 1912 r.
w Osiecinach. Miała pięcioro starszego rodzeń-
stwa, a byli to: Wacław (1898-1973), Józef (1900-1940),
Helena (1901-1971), Kazimierz - mój ojciec (1904-1992)
i Tadeusz (1910-1987). Matka jej zmarła w 1923 r.,
ojciec w 1934(?) i Jadwiga była przez wiele
lat pod opieką starszej siostry swej matki,
Heleny Baranowskiej, zamieszkałej w Toruniu.
Tu zastała ją wojna, pracującą w biurze PKP.

11/1/42
25/42

W styczniu 1940 r. Jadwiga Szulc wyszła z domu i ślad po niej zaginął.

O ile jest mi wiadome, nikt z jej rodzeństwa nie starał się po wojnie o usunięcie Jadwigi Marii Szulc za zmarłą. Nie była zaangażowana, nie miała dzieci, nie miała żadnych dóbr materialnych.

Z następnego pokolenia, tj. bratanic i bratanek Jadwigi Szulc, żyje nas już tylko czworo (z dziesięciorga). W wiele lat po śmierci mego ojca znalazłam w jego dokumentach treściwy akt personalny Jadwigi Szulc. Pisząc wspomnienie o niej do kroniki rodzinnej, wykorzystałam dane tam zawarte, a dokumenty skłóżyłam w Archiwum Akt Nowych w Warszawie, na ręce pana dr. Tadeusza Kranca.

W moich wspomnieniach brak jednak tego, co pisać o wszystkich, którzy odeszli - daty śmierci i miejsca pochówku.

Z pozdrowieniami

W. Kurkiewicz

Skaryszko-Kamienie, 25.01.2006 r.

P.S. Dołączam kserokopie odpisów aktów urodzenia, czolowej kartki z dokumentów PKP i dwóch zdjęć.

W. Kurkiewicz

zat. do listu - data wpływu 19.10.2010

sew. do listu z 19.10.2010

MS
12/11/43

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
DELEGATURA W BYDGOSZCZY

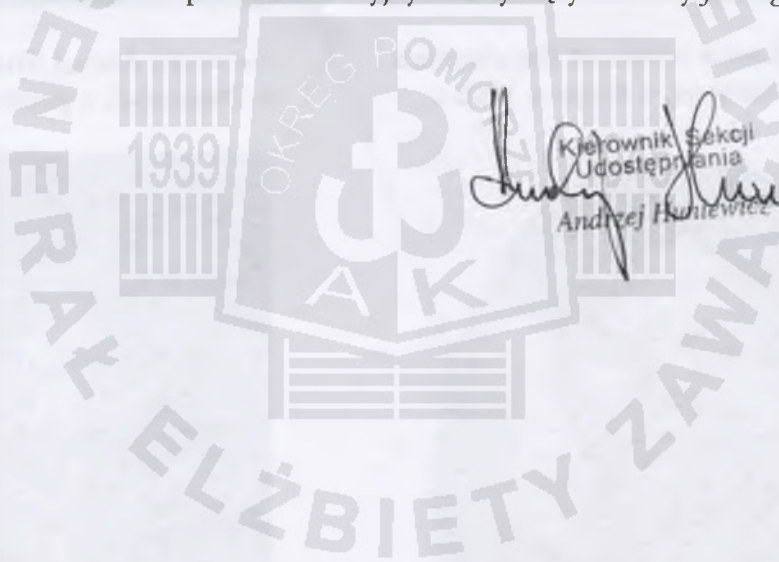
Wydział Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów

Maria Koźmińska
ul. Krasińskiego 31 m 16
26-110 Skarżysko Kamienna

Nasz znak:
DBy 5531-19/06

Data:
02/02.06 r.

W odpowiedzi na Pani pismo z 25 stycznia br. w sprawie uznania **Jadwigi Marii Szulc, c. Seweryna**, ur. 2 czerwca 1912 r. jako ofiary okupacji niemieckiej w latach drugiej wojny światowej oraz określenia daty jej śmierci i miejsca pochówku z przykrością informuję, że po przeprowadzeniu kwerendy archiwalnej w zasobie WUiAD Delegatury IPN w Bydgoszczy nie odnaleziono dokumentów i zapisów ewidencyjnych dotyczących osoby **Jadwigi Szulc**.



Kierownik Sekcji
Udostępniania
Andrzej Kuniewicz
Andrzej Kuniewicz

Wyk. w 2 egz.:
Egz. nr 1 – adresat.
Egz. nr 2 – a/a.
Wyk. Piotr Rybarczyk

Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
Delegatura w Bydgoszczy Wydział Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów
85 – 130 Bydgoszcz, ul. Grudziądzka 9 – 15, tel./fax 0-52 372 98 90, 345 65 12

Szanowna Pani !

TV/1/1/44

Pokusiłam się o powtórne przeczytanie wspomnień Pań Anny Starosz i Eulalii Olsiewicz, które obiecałam przesłać do Archiwum. Dodam parę słów od siebie. Pani Anna Starosz była nauczycielką w Skarżysku-Kamiennej, ale ani mnie, ani moich dzieci nie uczyła. Poznałam ją na imieninach u naszej, mojej i mego męża, nauczycielki – Pani Krystyny Szczęsnowicz. Była to więc znajomość „przypadkowa”, a dedykacja autorki powstała stąd, że kupowaliśmy tę książkę w Wąchocku, na pogrzebie majora „Nurta”. Pani Anna Starosz zmarła 15.11.2007. i jest pochowana w Skarżysku –Kamiennej, razem ze swoimi Rodzicami, na cmentarzu parafii Najświętszego Serca Jezusowego, w kwaterze partyzanckiej. Na tym samym cmentarzu jest grób doktora Kazimierza Łotkowskiego, wspomnianego przez autorkę. Doktor Kazimierz Łotkowski jest pochowany ze swą Matką, na „cywilnej” części cmentarza. Z osobą doktora Łotkowskiego łączą się nasze, już powojenne, wspomnienia. W 1957 roku mój mąż był poważnie chory i leczony, bezskutecznie, w poradni przeciwgruźliczej. Kiedy ta choroba została wykluczona, śp. dr. Władysław Lewandowski napisał „skierowanie” na onkologię do szpitala w Gliwicach tej treści: „Kochany Kaziu, zaopiekuj się zieńciem mego kolegi” Doktor Łotkowski zoperował męża, mnie wyjaśnił przyczynę bardzo dolegliwej przypadłości, która mogła zakończyć się nowotworem. Polecił spokojnie poczekać na wynik badania histopatologicznego. Po dziesięciu latach mąż dostał list ze szpitala w Gliwicach z zapytaniem jak się czuje. Nie odpisał, pojechał osobiście. Co za „skierowania”, jaka solidarność koleżeńska, w dobrym tego słowa znaczeniu, jaka troska o byłych pacjentów! Na trasie wywózki rodziny Pani Eulalii Olsiewicz były Sarny. Gdyby mój Ojciec latem 1939 roku nie został przeniesiony służbowo z Rokitna, powiat Sarny, do Warszawy, to mógł znaleźć się na liście katyńskiej, a my z Mamą pod Archangielskiem. Pani Eulalia Olsiewicz mieszka nadal w Skarżysku-Kamiennej. Jest wdową po drugim mężu, opiekują się nią „pasierbiczki”. jak je podobno, serdecznie nazywa – wychowała je po śmierci ich matki. Mapę okolic Kielc dodaję dla ewentualnego czytelnika wspomnień Pani Anny Starosz – lubię takie książki czytać „jeżdżąc” po mapie.

Przesyłam całemu zespołowi Archiwum serdeczne życzenia wszelkiej pomyślności – w pracy i w życiu osobistym - dziękując za to wszystko, co Państwo robicie, by ocalić od zapomnienia Ludzi i ich bohaterstwo.

Skarżysko-Kamienna, 3. stycznia 2012 roku.

Maria Koźmińska

FUNDACJA
Zwyczwym i Muzeum Pomorskie
Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polskiej
w Toruniu

Wpłynęło dnia: 5.01.2012
L. dz. 4/Pom-420/12
Załączniki:
Referent:

Mapa przesłana do
kielc. Fundacji
M

IV/11/45

Szanowna Pani Elżbieto!

Z otrzymanego ostatnio „Biuletynu” dwie pozycje ożywiły moje wspomnienia z okresu wojny.

Są to „Pomorzanie w Wehrmachcie” i „Wojskowy Sąd Specjalny Komendy Okręgu Pomorze Armii Krajowej”.

W czasie okupacji wiedziałam, że Polacy znajdujący się na różnych listach DVL są wcielani do Wehrmachtu, nie znałam jednak rozmiaru tej akcji.

Nie mnie recenzować ten artykuł. Mogę tylko wyrazić podziw dla ogromu pracy, włożonej w zdobycie dokumentów i obiektywne, ludzkie podejście autora do tych ofiar niemieckiej podłości. Historia niestety lubi się powtarzać – Polacy walczący przeciw sobie na frontach pierwszej wojny światowej, Polacy wcielani na długie lata do armii carskiej, Polacy walczący w wojnie Rosji z Japonią.....

Drugi temat, tzn. Wojskowy Sąd Specjalny był mi jako dziecku zupełnie nieznanym. Wydawało się, że skoro nawet dzieci wiedzą kto jest szpiclem, to jego pozycja była w tamtych warunkach niezachwiana, a „bezpieczeństwo” całkowite.

Przeczytałam wczoraj całą naszą korespondencję, trwającą od paru lat. Pisałam Pani, w odpowiedzi na pytanie o ewentualne wydanie moich wspomnień, że dokumenty i zdjęcia, których jest bardzo dużo, stanowią nieodłączną całość z treścią. Trochę zmieniło się od tamtego czasu. Mam komputer, ale chyba już nie nauczę się korzystać ze wszystkich jego możliwości. Natomiast zdjęcia z okresu wojny i wiele starszych, dokumentujących naszych przodków, zostało sfotografowanych przez moją córkę i są na dysku. Mogę więc kilka odbitek, związanych z Panem Leonem Garsteckim, przesłać jako mały wycinek moich zbiorów. Starłam się każdą z nich opisać, powtarzając nazwiska osób, aby były osobno dokumentowane.

Tak się złożyło, że ten dziewięcioletni wówczas Władysław Szulc, ze zdjęć Pana Leona Garsteckiego, będzie prawdopodobnie, jeśli Mu zdrowie pozwoli, uczestniczyć w otwarciu wystawy „50 x 50” - w Dworze Artusa w Toruniu w pierwszych dniach czerwca tego roku. Pytany przeze mnie, czy w Toruniu będą katalogi w dostatecznej ilości, odpowiedział, że nie wie. Pozwalam więc sobie przesłać Pani ten katalog (mam drugi).

Przesyłam wyrazy szacunku dla całego zespołu Archiwum,
Panią – dodatkowo – serdecznie pozdrawiam

Maria Koźmińska

Skarżysko-Kamienna, 12.05. 2013 roku.

Maria Koźmińska

Biuro Regionalne Muzeum Pomorskie
Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polak
w Toruniu

Wpłynęło dnia: 22.05.2013

L. dz.: 923/Pom-410/13

Załączniki:

Referent:

Pomorzanie w Wehrmachcie.

eat. do listu
o 12.05.2013

IV/1/46

Leon Garstecki.

Mieszkał w Toruniu z Rodzicami (lub z Matką) na ulicy Mickiewicza. Przed wojną był prawdopodobnie w seminarium duchownym. W czasie wojny pracował – możliwe, że u jakiegoś fotografa – Niemca. Znał dobrze język niemiecki. Rodzina mogła mieć jakichś przodków ziemczających, bo opowiadał nam o jakiejś ciotce, która po polsku umiała do nich, jako dzieci, powiedzieć tylko: „paciorek, siusiu, spać”. Czy te powiązania, czy inne okoliczności skłoniły rodzinę do podpisania listy DVL – nie wiem. Może w ogóle nie podpisali?

Jak poznaliśmy się z Panem Leonem Garsteckim?

Jego siostra Lusia (Alina, Alicja?) wyszła za mąż za kapitana Kasprzykowskiego i zamieszkała w Warszawie na ulicy Bałuckiego. W tej samej klatce schodowej znaleźli mieszkanie moi Rodzice latem 1939 roku, po przeniesieniu służbowym mego Ojca z Rokitna do Warszawy, do szpitala wojskowego. Wybuch wojny, bombardowania, konieczność schodzenia do schronu – ułatwiły poznanie samotnej sąsiadki, która sprowadziła się do nas na parter z trzeciego piętra (miała uszkodzony sufit jakimś odłamkiem)

Kiedy Pan Leon Garstecki zaczął bywać u mych Dziadków Łysakiewiczów w Czernikowie – nie pamiętam. (Zdjęcia z lat 1940 i 1941 są robione przez pastora Lucjana Lewandowskiego) Mogło to być w 1941 lub 1942 roku. Dokładna data jest dopiero na zdjęciach z Torunia, gdy Pani Lusia dostawszy przepustkę z G.G, przyjechała na pogrzeb ich Matki. Ostatnie zdjęcia – to czerwiec 1943 roku. Potem wyrzucono nas z domu Dziadków, wynieśliśmy się na Czernikówkę i tam już nie pamiętam przyjeżdżającego Pana Leona. Czy był już wtedy powołany do wojska, czy później – nie wiem. Na szczęście znalazł się na froncie zachodnim i zdołał zdezerterować lub dostał się do niewoli. Możliwe, że był w 4. Dywizji Piechoty I Korpusu Polskiego w Szkocji. Wydaje mi się bowiem, że spotkał go tam mój Ojciec, który w styczniu 1945 roku został skierowany do Szkocji i był dowódcą 13. kompanii sanitarnej w tej dywizji. Po wojnie Pan Leon Garstecki nie powrócił do Polski. W Wielkiej Brytanii był też kapitan Kasprzykowski, który ściągnął tam żonę – Panią Lusię.

W spisie słuchaczy WS Woj, zamieszczonym w książce Mariana Porwita pt. „Spojrzenia poprzez moje życie” - Czytelnik 1986 – znalazłam Konstantego Adama Kasprzykowskiego (artylerzystę, a więc Toruń), kapitana ze starszeństwem od 19. 03. 1938, przydział 8 dapł (nie wiem co to było).

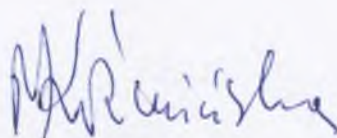
Andrzej von Przewoski.

Z Czernikowa został powołany do Wehrmachtu syn lekarza, Andrzej Przewoski. Rodzina ta mieszkała w Czernikowie w „środkowym” okresie okupacji, przybyła z Wyrzyska. Po wojnie dr Leon Tadeusz Przewoski (już bez „von”) był kierownikiem Ośrodka Zdrowia w Rzeczkowie pow. Toruń – wg Polskiego Almanachu

Medycznego na rok 1956. Co stało się z jego synem – nie wiem.

IV/1/47

Maria Koźmińska



1/2. Korespondencja Marii Rozimińskiej
z dr. Szulc z Marią Sobocimską i
dr. Bogdanem Liótkowskim:

1. Pismo M. Rozimińskiej do Marii
Sobocimskiej, rękop. bez daty, kserokop. k. 2 s 1-4
- dopisek z 1.02. 2010
2. Pismo dra B. Liótkowskiego - dot.
materiałów o działalności rodziny
- dot. S. Sysakiewicza. m. in., rękop.
bez daty, kserokop. k. 1 s 5-6



Szanowna Pani Pułkownik! (Maria Sobocińska) 1

W czasie wojny mieszkaliśmy blisko siebie, ale ja nie miałam prawa wiedzieć o Pani istnieniu i działalności. I nie wiedziałam, choć gdy wypraszano z domu w czasie wizyt pewnych osób - nas, dzieci - domyślaliśmy się, że "musi to być coś bardzo tajnego". A to dlatego, że wiadomości polityczne (z nielegalnych źródeł) oraz fakt, że "Ciocia Kasia", do której pisałam listy, to nasz "Ojciec" - były nam znane. Ufało nam - do pewnych granic. Po styczniu 1945 roku, gdy Pani cierpiała za swe "winy" z okresu okupacji, ja starałam się jak mogłam "ciej nadrobić" stracone dla państwa lata. W młodości tym gronie nie wspominaliśmy wojny - uczyliśmy się i bawiliśmy. I choć w miarę upływu lat poznawaliśmy zakłamane i denuncjatorskie nowego reżimu - też nie wiedzieliśmy wszystkiego.

Okres wojny (nasza Mama i ja z bratem) spędziliśmy w Czerwikowie u Dziadków - Marii i Stefana Łysakiewiczów. Dziadek mój był aptekarzem.

Po powrocie z wojny mój Ojciec do 1948 roku mieszkaliśmy w Czerwikowie, a następnie rodzina Sulców przeniósł się do Skarżynka - Kamiennej.

Mama - Zofia Sulcowa - i Babcia - Maria Łysakiewiczowa nie ujawniły się po wojnie. "Bo im nie wierzę" - skwitowała krótko Mama, gdy zapytałam ją o przynależność do podziemia. Wtedy, a były to ciężkie lata pięćdziesiąte, prawie przerażała się (a jednocześnie bardzo zdziwiała) gdy jej powiedziałam, że w czasie wojny domyślaliśmy się przemyśleń.

Przez wszystkie lata, aż do swej śmierci w 1971 roku przetrwała bardzo boleśnie wszystkie sfiingowane procesy celentów AK, nie wierzyła w przemyśle

2) się dobrowolnie do niepopelnionych win wobec Polski, do współpracy z okupantem. Ostatnim akordem rozprawy w jej życiu był Grudzień 1970 roku.

W latach dwudziestych zacząłam pisać wspomnienia rodzinne. Nie miałam kłopotu z biografiami mężycym - Dziadek i Dzia. Dokumenty, świadectwa. Książeczka wystrona i ankiety, ankiety, ankiety... pisane przez Dzia w nieskończoność, z dokładnością co do jednego dnia. Gdy jednak przyszło mi pisać o Kocietach - Babci i Mamie - nie miałam prawie nic. Mama nie pracowała zawodowo, nie musiała więc wypełniać ankiet. Pisałam to, co wiedziałam i pamiętałam. Nie chciałam tylko, bez potwierdzenia, napisać o ich przynależności do AK. Wprawdzie w kwietniu 1993 roku pani Aleksandra Kolańczyńska (zam. Glasser) potwierdziła mi, że należały razem, ale: "nie pamiętam ich pseudonimów". Pani Aleksandra "zmarła" pół roku po naszej rozmowie, a od jej córki wiem, że nigdy nie chciała mówić o swej działalności, wręcz ją bagatelizowała. W czasie wojny pracowała w Jumiule, chyba jako tłumaczka, była bardzo czystym gościem w naszym domu.

O istnieniu Fundacji APAK w Toruniu wiedziałam od dość dawna, ale nie napisałam. Może obawiałam się, że nie dostanę odpowiedzi, a z drugiej strony - zawsze rolę bezpośrednich rozmów. Dopiero we wrześniu 2001 roku odwiedziłam Fundację i spotkałam się z miłym, życzliwym i powściągliwym - rodzinnym przyjacielem. Nie znalazłam wprawdzie niczego o myśli bliskich z rodziny, ale w książce Pani Profesor Elżbiety Zanlackiej znalazłam wspomnienia o mgr. Stanisłanie Okońskiej i nauczycielce Wandzie Merdaszyskiej (zam. Donarskiej), a były to osoby z kręgu bliskich, zaufanych rodziny Lysakiewiczów. Pamięć

Stanisław Okoński pamiętam doskonale - przez

kilka miesięcy mieszkała (ze swą Matką) w jednym z pokoi naszego mieszkania i pracowała w aptece. Wspomniała ten fakt w ankiecie, złożonej w APAK w 1977 roku, jednak bez określenia ram czasowych. We wrześniu 2001 roku dowiedziałam się z USC w Rybniku, że zmarła 3.02.2001 roku.

W listopadzie 2001 roku otrzymałam z Fundacji do wypełnienia ankiety - „Schemat relacji o działalności - ci podziemnej”. Naturalnie nie miałam jej wypełnić z braku konkretnych danych. Gdy byłam w Toruniu (czerwiec w 2002 roku), napisałam takie zsyłkę, krótkie życiorysy mej Babcie i Mamie i to, co wiem o okresie wojny. Dostałam wtedy z Fundacji kserokopię strony cy z książki Krystyny Wojtoniewicz pt. „Marylka” z krótkim życiorysem Pani. Patrzyłam sobie ze zdziwieniem - „Ryńska”. Nie miałam wtedy odwagi prosić o Pani adres. Fundacja APAK nie wspominała o mnie, otrzymałam biuletyn, zaproszenia, z którymi niestety nie bardzo mogłam korzystać. Niedawno w ramachie telefonicznej wspominałam o Pani i o tym, że Pani świadectwo, ze względu na rolę, jaką pełniła Pani w WSK-PAK na tym terenie, byłoby dla mnie bardzo ważne. Zarządca, że nie chodzi mi o żadne splendory, a jedynie o to, bym mogła swym dzieciom i wnukom przekazać prawdę z najlepszego źródła. Dlatego jeśli w Pani pamięci tkwi cokolwiek o aptece w Czerwinkowie, rodzinie Łysakiewiczów i Lejki Szulcowej, a mogłaby Pani przekazać mi te wiadomości, byłabym niesamowicie wdzięczna i szczęśliwa.

Z pozdrowieniem
i serdecznymi życzeniami zdrowia -

W. Kłimińska

4

11/2/4

PS.

Proszę sobie przekaż Pani reprodukcje
zdjęć pani Stanisławy Okoniskiej i naszej
rodziny w takim składzie, w jakim prze-
nalismy wojnę w Czerwikowie - sob.
dział ikonografii

Skarżysko, 1.02.2010 roku

Maria Kozmińska
Kraśnickiego 51 n 16
26-110 Skarżysko-Kamienna



T: K-798/1998 Pom.

Lipno

Ściana Łofia

W. Marty informacyjne

K. 4

1
Maria Lysakiewicz
Lopia Szulcaz d. Lysakiewic
material 2002 w sierpniu
2002 przez Marię Kozimierską
(córka i siostra)
Książki z nr 16
26-110 Skarżysko-Kam.

Szulec Lofia

Lipno 2
AN

zob. Okręślenie Stanisława

J:K: 555/555 Pam. imp. Witost

Wł. VIII '03

Przyta DvD se adje uam 3
-5- dołarowa do obiorom
i kompozif. - koperta Senka
Lofia

1x* 2010
M.

Senka Łofia
& d. Eysaliewicza

Lipno 4
WSK

zob. Bogdan Liotkowski,
Polskie Podziemie na Łujawach..., Toruń 2008, s. 488.

Mr. 11/15

Szulec Zofia

